

PROF. ANDRZEJ FRISZKE
TADEUSZ MAZOWIECKI
– PREMIER PRZEŁOMU**PROF. EWA ŁĘTOWSKA**
JAK ZOSTAŁAM RZECZNIKIEM**PAP – HIENY I ANTYGWIAZDY****JACEK PAŁKIEWICZ**
NA CAMEL TROPHY

Z PAŁACU DO CELI



DARIA
Dawczyni szpiku

Zrób to na 1,5%

Pomóż w stu procentach walczyć z nowotworami krwi!

1,5% podatku. Tyle wystarczy, aby wspierać Pacjentów chorych na nowotwory krwi.

Wpisz w formularzu PIT numer **KRS 0000 318 602**

lub pobierz darmowy program do rozliczeń na dkms.pl/1.5procent

Otrzymane fundusze przeznaczymy na wsparcie Pacjentów hematologicznych na każdym etapie leczenia oraz sfinansowanie specjalistycznego sprzętu dla wielu szpitali i klinik hematologicznych w Polsce.

Wspierając nas, przyczyniasz się do ratowania życia!

Rozlicz PIT na
dkms.pl/1.5procent



Fundacja **DKMS**
ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa
T +48 22 882 94 36 • F +48 22 882 94 02
darowizny@dkms.pl • dkms.pl





Duda ciągle kręci

Sypie się wiara ludu pisowskiego, że cokolwiek by zrobili, nic im nie grozi. Kamiński i Wąsik za kratami to ledwie początek przywracania w Polsce faktycznego prawa i rzeczywistej sprawiedliwości. Obydwoję siedzą za przestępstwa przeciwko elementarnym zasadom państwa prawa. Ofiarą tego, co zrobili i za co odpowiadają, był Andrzej Lepper. Jego syn, Tomasz Lepper, uważa, że za to, co zrobili ojcu, nie zasługują na akt łaski. Tyle lat minęło, że zaczynamy zapominać o tej paskudnej robocie polityków PiS, których celem było rozbicie i przejęcie Samoobrony. Lepper miał zapłacić za stawianie warunków Kaczyńskiemu. I zapłacił własnym życiem. Gdy słuchałem zeznań wicepremiera Gowina, który postawił się prezesowi w sprawie wyborów kopertowych, usłyszałem, jakie groźby padały ze strony Kaczyńskiego. Czasy się zmieniają, ale kłamstwa i groźby prezesa nie. Politycy wiążący się z Kaczyńskim wykazują się bezmyślnością, masochizmem lub bezgraniczną chciwością w sięganiu po frukta władzy. Dotąd nie brali pod uwagę, że w finale mogą mieć spotkania z prokuratorami i sądami. Skala nadużyć, korupcji i złodziejstwa była w ostatnich latach tak wielka, że liczba procesów nie może być śladowa. Każde środowisko zawodowe zna takie przypadki. I teraz od sprawiedliwego rozliczania przestępców wyborcy będą uzależniać swoje poparcie dla Koalicji 15 Października. Jeśli ta ekipa da się sparaliżować krzykami zamykanych

złodziei i czerpiących zyski z tego złodziejstwa rozmaitych grup, będzie to znaczyło, że nie zasługuje na zaufanie wyborców.

Trzeba jednak pamiętać, że naprawę państwa po takiej demolce można przeprowadzić tylko przy silnym wsparciu ze strony wyborców.

Z tej sytuacji korzysta przede wszystkim Kaczyński. Człowiek, który osobiście decydował o setkach przestępczych działań. Musi za nie ponieść odpowiedzialność. To na jego żądanie działali Kamiński i Wąsik, montując aferę przeciwko Lepperowi. A Pegasus? Podłuchiwanie opozycji? Bezkarność Obajtka? Czy TVP i Info, które były robione głównie tak, by zadowolić jednego widza – prezesa.

W praworządnym państwie ktoś taki jak Kaczyński byłby więźniem podróżującym z celi na kolejne rozprawy. Rządy PiS doprowadziły do tego, że te liczne skandale nie mogą nie zakończyć się wyrokami. Jedynie w ten sposób klasa polityczna zrozumie, że skończył się czas bezkarności pod hasłem odpowiedzialności tylko politycznej. Widok polityków za kratami będzie wychowawczą przestrogą. Zawsze może się trafić przestępcę, ale nie będzie to już tak masowe zjawisko jak przez ostatnie osiem lat.

I jeszcze słowo o prezydencie Dudzie. Takiego krętacza ze świecą szukać. To, co zrobił w sprawie Kamińskiego i Wąsika, jest kolejną grubą kompromitacją.



CO WARTO PRZECZYTAĆ ZIMĄ?

Mamy zapas e-booków!

Tylko do końca STYCZNIA e-booki od 9,90 zł

sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Spokojnie, to tylko Kaczyński**
Czy grozi nam zimna wojna domowa?
- 9 Zlecenie na Leppera**
Kamiński i Wąsik nie zastępują
na ulaskawienie
- 14 Wszystkie grzechy**
Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika
To dopiero początek
- 18 Agencja informacji PiS**
Miotła kadrowa dotarła do PAP
- 26 Koniec dziadocenu**
Nie ma przyzwolenia na przemoc
- 29 Ja jestem stałocieplna**
– rozmowa z prof. Ewą Łętowską

ROZMOWA WALENCIAKA

- 22 Tadeusz Mazowiecki:**
sztuka stąpania po cienkim lodzie
– rozmowa z prof. Andrzejem Friszkiem

ZAGRANICA

- 32 Wielki proces kalabryjskiej mafii**
Korespondencja z Rzymu

OPINIE

- 36 Magdalena Górska**
Przybieżeli do Betlejem żołnierze

KULTURA

- 38 Cenzurę nosimy w naszych głowach**
– rozmowa z Volkerem Schlöndorffem
- 42 Najlepszym scenarzystą jest życie**
Teatr na faktach
- 46 Culturalia**
- 66 Zakopane. Wyrzeźbione. Namalowane**

ZWIERZĘTA

- 48 Sowiej głowie dość dwie słowie**
Ptaki z lornetką w oku

EKOLOGIA

- 52 Drzewa lubią być blisko siebie**
Pozwólmy Puszczy Kampinoskiej żyć

OBSERWACJE

- 54 Jak ramen stał się częścią**
kuchni japońskiej
Zupa z historią
- 57 Jacek Pańkiewicz na Camel Trophy**
- 60 Kalendarze 2024**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Duda ciągle kręci
- 17 Jan Widacki**
Łańcuch zdarzeń
- 21 Roman Kurkiewicz**
Czy wszystko jest zawsze inaczej?
- 35 Tomasz Jastrun**
Zagnani w ciemny kąt
- 45 Wojciech Kuczok**
Pragnienie jatk
- 47 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Ślonie w archiwach

38

KULTURA



CENZURĘ NOSIMY W NASZYCH GŁOWACH

– rozmowa z Volkerem Schlöndorffem



48

ZWIERZĘTA

SOWIEJ GŁOWIE DOŚĆ DWIE SŁOWIE

Ptaki z lornetką w oku

60

OBSERWACJE



KALENDARZE 2024

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MICHAŁ ŻEBROWSKI/EAST NEWS, PIOTR BŁAWICKI/EAST NEWS,
JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl b3234c8bfc





Amnezja partyzantów

Chcę dorzucić kilka zdań do stwierdzenia red. Domańskiego: „Najgorzej w tej partii [PiS] jest z pamięcią. Zapomnieli, co z mediami zrobili osiem lat temu. Jak je zdobyli, łamiąc wszystkie zasady. I jak

je później upodlili”. Proces demontażu mediów publicznych PiS rozpoczęło w 2005 r., zaraz po zdobyciu władzy. Duża nowelizacja ustawy o radiofonii i telewizji z 29 grudnia 1992 r., dokonana 29 grudnia 2005 r., pozbawiła mandatów dziewięciu członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji i zlikwidowała ich rotacyjny wybór, który zabezpieczał przed upartyjnieniem telewizji i radia. W miejsce dziewięciu powołano pięciu członków rady, wybieranych w jednym terminie na pięcioletnie, a nieco później na sześcioletnie kadencje. Jeszcze nie odebrano KRRiT ustawowego uprawnienia do powoływania władz mediów publicznych. Wspomnę, że postem sprawozdawcą tej haniebnej nowelizacji był członek PiS Antoni Mężydło, a przewodniczącym sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu był Paweł Kowal. Obaj dość szybko przeszli do Platformy Obywatelskiej i stali się demokratami. PO nie sprzeciwiła się wtedy ustawie. Po szybkim procedowaniu nowelizację uchwalono 29 grudnia, następnego dnia podpisał ją prezydent Lech Kaczyński, a w ostatnim dniu roku opublikowano ją w Dzienniku Ustaw.

Trybunał Konstytucyjny pod prezesurą prof. dr. hab. Marka Safjana orzekł w marcu 2006 r. o konstytucyjności nowelizacji, uznając, że jedynie art. 21 był niekonstytucyjny z uwagi na brak vacatio legis dla pozbawionych mandatów członków Krajowej

Rady Radiofonii i Telewizji. Mimo pewnych prób przez osiem lat rządów PO-PSL nic nie zmieniono w tej szkodliwej nowelizacji. To otworzyło PiS możliwości dokonania przez osiem lat rządów, od 2015 do 2023 r., haniebnych manewrów wokół mediów publicznych.

Ryszard Stawiński



Dlaczego PiS czuje się bezkarne

Całkowita bezkarność dotyczy nie tylko pisowców, ale też innych ekip rządzących. Czy Lechowi Wałęsie wytakano naciąganie prawa według rad prof. Falandysza? Czy Andrzeja Milczanowskiego ukarano za pomówienie Józefa Oleksego i doprowadzenie tym do ustąpienia premiera? Kto poniósł konsekwencje za zmuszenie Włodzimierza Cimoszewicza do wycofania się z ubiegania o wybór na prezydenta Polski? Poczucie bezkarności dotyczy wszystkich partii, w tym tych „demokratycznych” i „liberalnych”. Praktykowana przez kilkadziesiąt lat bezkarność doprowadziła PiS do skrajnej bezczelności i przekraczania wszelkich granic, ale podążało ono już wcześniej przetartym szlakiem. Zmiana postępowania musi dotyczyć wszystkich partii oraz polityków wszystkich szczebli, bez „świętych krów”, zasłużonych opozycjonistów itp. Być może pomocna będzie rzeczywista jawność działań i decyzji publicznych.

Andrzej Tomasiak

ZDJĘCIE TYGODNIA



Wicepremier z Krakowa w Warszawie. Posiedzenie komisji śledczej ds. wyborów kopertowych, przesłuchanie byłego wicepremiera i ministra w rządzie PiS Jarosława Gowina. 9 stycznia 2024 r.

Prezydent Andrzej Duda wszczął postępowanie ulaskawieniowe w sprawie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Czyli **przerzucił odpowiedzialność na Adama Bodnara**, prokuratora generalnego. Teraz on może, choć nie musi, przychylić się do wniosku prezydenta, uważającego na dodatek, że Kamiński i Wąsik ciągle są postami. **Miejsce ewidentnych przestępców jest za kratami. Co potwierdza większość Polaków.**

Minister zdrowia **Izabela Leszczyna odwołała prof. Łukasza Szumowskiego** z funkcji dyrektora Narodowego Instytutu Kardiologii w Aninie, którą pełnił od stycznia 2022 r. Szumowski jako były minister współodpowiada za zakup od znajomego instruktora narciarstwa kilku milionów trefnych maseczek. A także za zakup od handlarza bronią respiratorów za 200 mln zł i bezużytecznych testów z Korei za 120 mln zł. Do tego dochodzi budowanie wraz z bratem sieci spółek żyjących z rządowych dotacji. Prokuraturę czeka wiele pracy.

Jarosław Gowin, były wicepremier w rządzie PiS, **zeznał** przed sejmową komisją śledczą ds. wyborów kopertowych, że **prezes PiS Jarosław Kaczyński domagał się przeprowadzenia tych wyborów.**

Zmarł ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Był wyrazistą postacią polskiego Kościoła. Apelowal o lustrację duchowieństwa, piętnował homoseksualizm kapłanów, nawoływał do rozliczenia afer pedofilskich. Krytykował Jana Pawła II za ukrywanie przestępstw księży w czasach, gdy ten był

metropolitą krakowskim. Twardo i konsekwentnie walczył o rozliczenie zbrodni na Wołyniu.

Powiększony skład Izby Karnej Sądu Najwyższego orzekł, że wyroki Trybunału Konstytucyjnego wydane z udziałem dublerów nie mają mocy powszechnie obowiązującej i nie są ostateczne.

Rok 2023 skończyliśmy z inflacją wynoszącą w grudniu 6,1% (GUS).

Amerykański dziennik „The Wall Street Journal” oskarżył polskie władze i służby specjalne o brak współpracy w śledztwie dotyczącym wysadzenia rurociągów Nord Stream we wrześniu 2022 r. O przeprowadzenie zamachu podejrzewa Ukraińców.

Na granicy z Białorusią w grudniu 2023 r. było 3655 żołnierzy wspierających Straż Graniczną. MON podniosło im podstawową stawkę diety do 400%. Daje to podniesienie zarobków o 5400 zł miesięcznie.

Na wniosek ministra infrastruktury Dariusza Klimczaka **odwołano generalnego dyrektora dróg krajowych i autostrad Tomasza Żuchowskiego i głównego inspektora transportu drogowego Alvina Gajadhura.**

Szacuje się, że **Polacy zjedli w czasie świąt 11 mln karpi.**

W Warszawie są 393 całodobowe sklepy alkoholowe. Rada Warszawy nie zgadza się na wprowadzenie zakazu sprzedaży alkoholu w godz. 23-6, jak to zrobiono w Krakowie i innych miastach.

PRZEBŁYSKI

Prokurator Janeczek. I wszystko czarne

To już nie są ciemne chmury. To chmury czarne jak przestępstwa dojrzałej zmiany. Słyszymy, że prokuratorzy zakładają się, kto z ich branży trafi pod sąd. Liderem na liście jest Tomasz Janeczek. Ulokowany przez Ziobrę na funkcji zastępcy prokuratora generalnego ds. wojskowych. Za zasługi dla rodziny eksministra. To Janeczek brał czynny udział w wojnie toczzonej przez Ziobrę z lekarzami, którzy leczyli jego ojca. A później z sędziami, którzy zajmowali się oskarżeniami Ziobrów. I prokuratorami z Lex Super Omnia.



Wiele ciekawego materiału dla sądu. A jeszcze ochrona bandytów z Bielska-Białej, wobec których Janeczek uchylił postanowienie o zatrzymaniu i przymusowym doprowadzeniu przez policję. Warto też sprawdzić, kto Janeczce skrzywił sprawę waluńięcia w Zawierciu w prawidłowo jadące renault clio. Janeczek swoją wypasioną mazdą CX-3 wymusił pierwszeństwo. I co? Nic. Policja sprawy nie wykryła! Prokuratorzy, zróbcie wreszcie coś z tym Janeczkiem.

Wildstein broni Pietrzaka

Specjalista od odwracania kota prezesa ogonem pobił swoje wcześniejsze osiągnięcia. Dawid Wildstein, syn Bronisława, pyta w „Gazecie Polskiej”: „Dlaczego powinniśmy bronić Pietrzaka”. Pyta dla jaj. Bo od razu ujawnia prawdziwy cel ataku na satyrę. Zdaniem Wildsteina za „faktycznie wyjątkowo nieudany żart spotkał go frontalny atak szajki Tuska”. Apokalipsa. Zagrożone są wolność słowa i media opozycji. Coś strasznego. Kolejny cios po wyborach. Nawet się Wildsteinowi nie dziwny, że jako wolny człowiek broni Pietrzaka. Barda dojrzałej zmiany.



Czy prokurator zapuka do Bortniczuka?

Co z ludzi robi kontakt z PiS, świetnie widać na przykładzie Kamila Bortniczuka. Dostał posadę ministra sportu i turystyki, gdy krążąc od partii Gowina do partii Bielana, dotarł do PiS. A tam wiadomo. Działania na wydrę. Chamowa bez trzymanki. I wspieranie swoich za kasę z budżetu. Obsadzony przez sympatyków PiS PZPN dostał od Bortniczuka ponad 300 mln zł. Na Narodowe Centrum Szkolenia, Badań i Treningu w Otwocku. Bo właśnie tam rządzi partia Kaczyńskiego. Nowy minister Sławomir Nitras dostał paskudny pasztet. Decyzję podjętą z naruszeniem prawa, sprzeczną z procedurami i niekompletną. A na dodatek boiska, hale, basen i hotel miały być budowane na gruncie, który nie należy do PZPN. Najwyższy czas na prokuratora, by zbadał tę kuriozalną decyzję Bortniczuka.



Najazd na stolicę

Kierowcy w Polsce znają rejestracje warszawskich pojazdów. I warszawskich taksówek. Tym większe jest zdumienie na widok nowych stołecznych taksówek. Mają dumny pasek WARSZAWA. Ale rejestracje od Sasa do Lasa. Trochę nam ich podrzucili czytelnicy: CNA, SK, TST, SZC, DW, NO, CB. I wiele innych. Wystarczy na zawrót głowy. Skąd ten wysyp czy raczej najazd na stolicę? Jedni mówią, że to oszczędzanie na stawkach ubezpieczenia. Drudzy – że zorganizowana grupa zarabiająca na gorzej wynagradzanych imigrantach. A jaka jest prawda? Kto wie, niech napisze.



PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego pisowcy okazali się tacy pazerni?

DR ALEKSANDRA JAWORSKA-SURMA,

psycholożka i prawniczka

Mam wrażenie, że PiS początkowo korzystało z państwowej kasy, kierując się przekonaniem, że „to im się po prostu należało”. Przez długi czas pisowcy nie byli u władzy, więc uznali, że trzeba odrobić te wszystkie lata, kiedy oni, ich rodziny i znajomi nie mieli dostępu do państwowych posad czy stanowisk w spółkach skarbu państwa. A kiedy okazało się, że wyprowadzanie pieniędzy np. „na dotację dla fundacji” jest łatwiejsze, niż się wydaje, i nie grożą za to żadne konsekwencje, pokusa okazała się zbyt wielka. Skala zjawiska była tak duża, że zauważyli je wyborcy, których coraz bardziej irytowało poczucie bezkarności władzy i jej rosnąca arogancja. Prawdopodobnie te dwie cechy nakreśliły pazerność ludzi związanych z PiS, szczególnie w ostatnim okresie rządów tej partii.

MAREK BOROWSKI, senator RP

Nie wiem!

DR WOJCIECH PESZYŃSKI,

politolog, UMK

Jest to pewna natura polityki, która nie dotyczy wyłącznie ludzi Prawa i Sprawiedliwości. Jednak pisowcy zbyt mocno uwierzyli, że będą trwać u władzy do końca świata i jeden dzień dłużej. Widać to po reakcjach polityków tej formacji – już

w połowie listopada, kiedy zebrał się Sejm, ludzie PiS nie mogli uwierzyć w to, co się dzieje – że przegrywają każde głosowanie. Jednocześnie politycy z partii Kaczyńskiego nie widzą charakterystycznych dla ustrojów demokratycznych zależności. Na przykład tego, że raz się jest u władzy, a raz wybory się przegrywa i przechodzi do opozycji. Wtedy taka przegrana formacja stara się odzyskać władzę, ale, podkreślimy to, w legalny sposób.

GALOPUJĄCY MAJOR,

komentator polityczny, autor książki „Przedwojnie”

Myślę, że są trzy powody. Po pierwsze, PiS jako partia wyznaje rewolucyjną zasadę „grab zagrabione”. W ich opinii pozyskiwany przez nich majątek był majątkiem zagrabionym wcześniej przez PO i Donalda Tuska. Pamiętajmy, że pisowscy działacze uważają się za tych lepszych, więc niejako odzyskiwali majątek narodowy dla tej najlepszej tkanki narodowej, jaką jest PiS. Po drugie, pisowskie kadry często nie spełniały wymogów merytorycznych. Dlatego spora część pisowców nie miała dużych szans na awans. W grę wchodził również pewien brak układów polityczno-towarzyskich. Dlatego wyszarpnięcie pieniędzy zapewniało awans klasowy. Po trzecie, skok na pieniądze miał na celu budowę nowej kasty. Ta partia przed przejęciem władzy dobrze pokazywała patologie III RP. Później, jak mówi prof. Jarosław Flis, podnieśli te patologie do entej potęgi. Zagarnięcie środków miało posłużyć całemu środowisku wokół PiS przetrwać chude lata. Czas pokaże, czy im się uda.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Spokojnie, to tylko Kaczyński

Czy grozi nam zimna wojna domowa? Kto na tym zyskuje?

Robert Walenciak

Miniony tydzień miał być jednym z najgorętszych w polskiej polityce. Do tego stopnia, że marszałek Hołownia przełożył posiedzenie Sejmu.

Według różnych zapowiedzi Warszawę miała sparaliżować wielka manifestacja PiS w obronie mediów. Gmach TVP miał być szturmowany, podobnie jak Sejm. Strach ma wielkie oczy. Zwolennicy PiS z kolei karmieni byli opowieściami o zamachu stanu, końcu demokracji, cenzurze i więzniach politycznych.

Mamy więc podkręcanie atmosfery. I teraz pytanie: czy to celowa gra? Jeśli tak – czyja? No i co dalej?

Nikt nie żywi złudzeń – głównym podpalaczem jest Jarosław Kaczyński. Zależy mu na eskalacji z kilku powodów. Gdy trwa wojna z Tuskiem, w prezesa nie uderzą rozliczenia po nieudanej kampanii z 2023 r. i może mieć nadzieję na zachowanie spoistości Zjednoczonej Prawicy. Po części kopiuje też zachowanie PiS po porażce z roku 2010. W przemówieniu 11 stycznia zapowiedział zresztą, że najbliższe wybory trzeba wygrać i już nie oddać władzy.

Ale do tych wyborów jeszcze daleko – ma więc nadzieję, że uda mu się tak rozchwiać sytuację i sparaliżować Polskę, że władza sama wpadnie mu w ręce. Sekundują mu ludzie PiS, którzy tracą stanowiska. Ich frustracja jest uzasadniona, a niektórym towarzyszy też strach – że będą musieli odpowiadać za różne działania z czasu rządów PiS. Kazus Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika jest tu poważnym ostrzeżeniem. I to dwojakim.

Piszemy o tym obok, Kamiński i Wąsik pod pretekstem walki z korupcją zbierali haki na ludzi, którzy zawadzali Kaczyńskiemu. W przypadku Andrzeja Leppera chodziło o to, żeby wpłatać go w aferę korupcyjną, oskarżyć, wsadzić do więzienia i przejąć jego partię. Kamiński i Wąsik na swój wyrok w pełni więc zasłużyli. To także tłumaczy, dlaczego Kaczyński tak ich broni. On przecież był ich zwierzchnikiem, tajne operacje przeprowadzali dla niego. Jeżeli będą odpowiadać karnie za łamanie prawa, to znaczy, że pociągnięci do odpowiedzialności zostaną też inni, którzy z nimi współdziałali (dwóch oficerów CBA już w tej sprawie zostało skazanych). Czy nie znajdują się wówczas tacy, którzy – zyskując status świadka koronnego – będą mieli ochotę powiedzieć, jak było?

Teoretycznie Kamińskiemu i Wąsikowi mógłby pomóc inny ważny gracz na politycznej scenie – Andrzej Duda.

Mógłby ich utaskawić i wyciągnąć w ten sposób z więzienia. Ale gdy piszę te słowa, prezydent nie chce tego zrobić, upiera się, że utaskawił ich w roku 2015. Wymyślił za to „wszczęcie postępowania utaskawieniowego”, tak by więźniów uwolnił prokurator generalny, czyli Adam Bodnar. Czy Bodnar wejdzie w tę pułapkę?

Raczej nie powinien, szczególnie że Andrzej Duda gra jak gracz III ligi. Na przykład próbował tę grę prowadzić, przyjmując Kamińskiego i Wąsika w Pałacu Prezydenckim w charakterze „gości”. Ale jeszcze tego samego dnia, gdy wyjechał na spotkanie do Belwederu, do Pałacu Prezydenckiego weszła policja i „gości” wyprowadziła. Oczywiście taka operacja mogła się powieść wyłącznie dzięki temu, że z policją współdziałała Służba Ochrony Państwa. Wiemy już zatem, kogo służby w Polsce słuchają.

A czy eskalacja napięcia służy Donaldowi Tuskowi i jego ekipie? Najłatwiej byłoby napisać, że również, ale tak do końca nie jest. Owszem, znaczna część 11,5-milionowego elektoratu, który oddał głos na partię demokratyczne, chce rozliczenia PiS. I twarda postawa wobec ludzi PiS tej grupie się podoba. Ale zimna wojna domowa Tuskowi też przeszkadza. Zapowiedź wetowania przez prezydenta wszystkich ustaw to zwiastun wielkich utrudnień. Choćby w kluczowej kwestii, jaką jest naprawa polskiego sądownictwa. Mamy dziś w polskich sądach dualizm, na dłuższą metę tak działać się nie da.

Gra Kaczyńskiego jest czytelna. Jak po roku 2010 zbudował mit smoleński, tak teraz próbuje wykreować nową opowieść – woła, że agent Tusk realizuje niemieckie plany, że grozi nam „likwidacja państwa polskiego”.

Czy więc czas się bać? Na razie wojna na górze, którą wywołał Kaczyński, porywa jedynie twardy elektorat PiS. To wystarczy, żeby mieć w Sejmie największy klub, ale rządów nie zapewni. Opowieściami, że Tusk to niemiecki agent, Kaczyński nie tylko nie porywa, ale wręcz zraża do siebie polityczne centrum. Polacy, owszem, chętnie oglądają kolejne odcinki serialu pod tytułem „Polityka”, tym ciekawszego, że aktorzy są dobrze znani, a scenariusz układa życie, ale pozostają zdystansowani.

Zwłaszcza że każdego dnia Tusk podejmuje kolejne decyzje kadrowe, każdego dnia kolejni ludzie PiS są zwalniani. I każdego dnia władza jest coraz mocniejsza, ma coraz więcej możliwości wpływu.

A potem? Wszystko będzie zależało od tego, jak władza będzie żyła i jak będzie się żyło Polakom. Bo jeśli coś pójdzie nie tak – to wtedy ten Kaczyński wypięknie.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Rzeczywistym celem operacji „Odra” był przeszkadzający premierowi Kaczyńskiemu w budowaniu IV RP wicepremier Andrzej Lepper.



Zlecenie na Leppera

Tomasz Lepper: Za to, co zrobili ojcu, Kamiński i Wąsik nie zasługują na ułaskawienie

Maciej Mikołajczyk

Zanim twórcy CBA stali się pierwszymi w dziejach świata więźniami politycznymi szukającymi schronienia w pałacu prezydenta zasługującego na odsiadkę za upolitycznienie sądownictwa, Ziemia kręciła się w przeciwnym kierunku i trudno było sobie wyobrazić Nawalnego szukającego azylu w sypialni Władimira Putina. Za sprawą polityków PiS doszło do kopernikańskiego przewrotu. Żeby poznać jego mechanizm, sięgnęliśmy do akt procesu

Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

Kontekst

Rok 2006. Rządzi koalicja PiS-Samoobrona-Liga Polskich Rodzin. Samoobrona ma trzy ministerstwa – rolnictwa, pracy i polityki społecznej oraz budownictwa. Tym pierwszym kieruje Andrzej Lepper, jednocześnie piastując stanowisko wicepremiera. W lipcu koalicja trzeszczy, dochodzi do przetasowań – Kazimierz Marcinkiewicz podaje się do dymisji i premierem zostaje Jarosław Kaczyński.

Lepper podskakuje – nie godzi się, żeby służby specjalne i resorty mundurowe były kontrolowane wyłącznie przez PiS, i domaga się większego wpływu na kształt polityki rolnej. Kaczyński wyrzuca go z rządu, Samoobrona wychodzi z koalicji, PiS szuka nowej większości, wdzierając się do PSL i poszczególnych posłów Samoobrony, ale bez skutku. Renata Beger, jedna z liderów Samoobrony, nagrywa korupcyjną propozycję Adama Lipińskiego, wiceprezesa PiS, oferującego posady rządowe, pomoc w załatwieniu spraw sądowych i biorące miejsca na liście ▶

► wyborczej w zamian za zmianę barw politycznych. Posiadaczka kurwików w oczach do PiS nie przechodzi, a nagranie przekazuje TVN. Wybuch skandal. PiS przestaje szukać nowej większości i chcąc nie chcąc, wraca do starej, Samoobrona przystępuje do koalicji, którą kilka tygodni wcześniej opuściła, a Lepper ponownie obejmuje stanowisko wicepremiera.

Kaczyński jednak takich afrotów nie wybacza. Pod ręką ma dopiero co utworzone Centralne Biuro Antykorupcyjne. No i szefów nowej jednostki – Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Obaj to bez reszty oddani partii i rewolucji towarzysze.

Odra

W tym samym czasie Andrzej K., wiceprezes zarządu Dialogu, firmy telekomunikacyjnej należącej do KGHM, czyli spółki skarbu państwa, rozpowiada, że ma dojścia do Ministerstwa Rolnictwa i korzystając z pomocy Piotra Ryby, doradcy Leppera, może załatwić odrolnienie każdej działki. Za nie mniej niż pół miliona złotych obiecuje wydanie decyzji „prawie in blanco”, ale chętnych nie widać. Nie ma on dobrej opinii – prezes zarządu i rada nadzorcza Dialogu

szefa CBA. Kamiński nie podejmuje żadnych działań.

Adam Lipiński, w nagrodę za kumpowanie Beger szef gabinetu politycznego Jarosława Kaczyńskiego, powiadamia Andrzeja Leppera o zachowaniach Andrzeja K. i składanych przez niego propozycjach odrolnienia w zamian za łapówkę. Jednocześnie informuje, że o sprawie wie Mariusz Kamiński. Lepper kontaktuje się z CBA, by umówić spotkanie, ale do niego nie dochodzi.

Kierownictwo CBA z Kamińskim i Wąsikiem na czele podejmuje decyzję o przeprowadzeniu operacji specjalnej polegającej na kontrolowanym wręczeniu łapówki Andrzejowi K. Operacji nadają kryptonim „Odra”. Ciąg dalszy wskazuje, że prawdziwym celem nie jest jednak „rycerz bez skazy” i walka z korupcją, ale przeszkadzający premierowi Kaczyńskiemu w budowaniu IV RP wicepremier Lepper. I że, choć formalnie rzecz biorąc decyzje podejmowali Kamiński z Wąsikiem, w istocie inni szatani są tam czynni.

Fałszywki

Od stycznia do czerwca 2007 r. policja na zlecenie CBA wytwarza 10 dokumentów mających wywołać wrażenie, że agent pod przykryciem

wystawionych przez CBA w imieniu różnych instytucji i wszczęciem na ich podstawie nielegalnej procedury odrolnienia. Kamiński i Wąsik wiedzą zatem, że będą stąpać po kruchym lodzie, naruszając interesy osób fizycznych i prawnych. I że powinni szczególnie dbać, by ich działania były zgodne z prawem.

Niespodzianka

Jednak oni stanem prawnym się nie przejmują, mimo że komendant główny policji zawiadamia ich, że ustawa o CBA nakazuje wydanie przez premiera zarządzenia szczegółowo regulującego tryb wydawania dokumentów wytwarzanych na użytek operacji specjalnych i posługiwania się nimi oraz ich przechowywania, a takiego zarządzenia Kaczyński nie wydał. Na co Kamińskiemu i Wąsikowi zwrócono również uwagę w ekspertyzie sporządzonej na potrzeby Międzyresortowego Zespołu ds. Legalizacji Krajowej. Niespodzianka: jej autorką jest dr hab. Krystyna Pawłowicz, dziś sędzia Trybunału Konstytucyjnego i wyznawczyni tezy, że szefowie CBA są więźniami politycznymi.

Mimo zastrzeżeń Pawłowicz operacja „Odra” startuje: funkcjonariusz pod przykryciem przekazuje Andrzejowi K. fałszywe dokumenty dotyczące odrolnienia 39 ha, a ten obiecuje, że sprawę pchnie tak szybko, jak to możliwe.

Słuchowisko

CBA zakłada podsłuchy. Nie tylko Andrzejowi K. Kontrolą operacyjną objęte są także komórki 10 osób z kierownictwa Ministerstwa Rolnictwa i Samoobrony, w tym Andrzeja Leppera, Krzysztofa Filipka, Janusza Maksymiuka i Stanisława Łyżwińskiego. Ale nie objęto nią wiceministra rolnictwa Henryka Kowalczyka, choć to on kieruje departamentem gospodarki ziemią zajmującym się odrolnianiem gruntów i prowadzi sprawę sfingowanego przez CBA odrolnienia. Gdyby Kamiński z Wąsikiem faktycznie chcieli wykryć korupcję, a nie szukać haków na przewodniczącego Samoobrony, CBA

Kontrolą operacyjną nie objęto wiceministra rolnictwa Henryka Kowalczyka, choć to on prowadził sprawę sfingowanego przez CBA odrolnienia.

podejrzewają, że ustawia przetargi na zakup samochodów służbowych i remonty nieruchomości. Wzywają go do wyjaśnień. Andrzej K. twierdzi, że jest „rycerzem zawzięcie walczącym z korupcją”, ale informacja o tym, iż znalazł się w kręgu podejrzeń, jest kolportowana w pakiecie z newsem o zdolnościach odrolnieniowych, co nie zachęca biznesmenów do nawiązania relacji.

W grudniu wieści o działaniach Andrzeja K. na niwie odrolnieniowej i przetargowej docierają do Mariusza Kamińskiego, świeżo upieczonego

jest biznesmenem handlującym ziemią, gotowym wręczyć 3 mln zł łapówki za odrolnienie gruntu pod budowę hotelu. Fałszuje m.in. wniosek wójta gminy Mrągowo do Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi o odrolnienie, opinię do wniosku z podrobioną pieczęcią o treści: „z up. Marszałka Województwa – Dyrektora Departamentu Infrastruktury i Geodezji” i uchwałę zarządu izby rolniczej.

Przebieg operacji od początku jest więc związany z wprowadzeniem do obiegu fałszywych dokumentów

podstuchiwałoby Kowalczyka na wszelkie możliwe sposoby. Lecz tak się nie dzieje, za to na podsłuchu jest pięć telefonów używanych przez Andrzeja Leppera.

Lepper zwraca się do szefa swojego gabinetu politycznego, by ten monitorował sprawę odrolnienia gruntu pod budowę hotelu w Muntowie, zaznaczając, że wskazany jest pośpiech. Dodaje, że nie widzi przeszkód dla pozytywnego załatwienia wniosku, o ile wszystkie dokumenty są w porządku, i przedstawia Piotra Rybę jako pełnomocnika gminy ds. odrolnienia gruntów, informując, że będzie on się dowiadywał o dalszy bieg sprawy. To jedyna wypowiedź Leppera, którą można uznać za poszlakę, ale trudno stwierdzić, że jednoznacznie wskazuje ona na udział w procederze. A na pewno nie można jej potraktować jako dowodu, że wicepremier zgodził się na załatwienie sprawy za łapówkę i szykował się do przyjęcia pieniędzy. Zwłaszcza że wokół lipnego wniosku nie dzieje się nic szczególnego – traktowany jest w ministerstwie dokładnie tak samo jak inne wnioski o odrolnienie.

Co więcej, ministerialni urzędnicy wyłapują, że dokumentacja złożona przez CBA jest niekompletna. Do wójta gminy Mrągowo dociera pismo w tej sprawie. Wójt nic nie wie o odrolnieniu gruntu, więc nabiera podejrzeń. Chce powiadomić policję. Odwiedzają go funkcjonariusze CBA. Przedstawiają się, że są z Centralnego Biura Śledczego Policji (sic!), prowadzą tajną operację i proszą o dyskrecję.

Udający biznesmena agent CBA jeszcze kilkakrotnie spotyka się z Andrzejem K. Ten później zezna, że miał wrażenie, iż spotykał się z gangsterem, bo gdy chciał się wycofać z układu, usłyszał, że owszem, to możliwe, ale będzie musiał zapłacić co najmniej kilkaset tysięcy kary.

Fiasko

Latem 2007 r. projekt dokumentu zapewniającego odrolnienie gruntu jest gotowy, podpisuje go Henryk Kowalczyk. Do kompletu brakuje akceptacji kierownictwa resortu.

CBA kreśli scenariusz: po przyklepaniu wniosku wręczy 3 mln zł Andrzejowi K., ten łapówką podzieli się z Piotrem Rybą, Ryba zanieśe dolę Lepperowi. Ale do przekazania łapówki K. nigdy nie dochodzi i, co oczywiste, pieniędzy nie biorą ani Ryba, ani Lepper. Powód? Przeciek. Do dziś nie ustalono, kto ostrzegł Leppera, że CBA szykuje prowokację, ani jak ta informacja dotarła do Andrzeja K. Proces w tej sprawie umorzono, bo Lepper najpierw nie stawiał się na rozprawę, a w 2011 r. znaleziono go martwego w biurze Samoobrony.

Kamiński świadomie wprowadzał w błąd prokuratora generalnego i Sąd Okręgowy w Warszawie, wyłudzając zgodę na kontrole operacyjne konkretnych osób.

Ale wróćmy do roku 2007 i fiaska operacji „Odra”: Jarosław Kaczyński wyrzucił Leppera z rządu z powodu – jak to określił – poważnych podejrzeń, koalicja się rozpadła, czego skutkiem były przedterminowe wybory, które PiS przegrało z kretesem. Władzę przejął Tusk.

Zemsta

W 2010 r. Prokuratura Okręgowa w Rzeszowie wszczęła śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień przez Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika i dwóch agentów CBA. Zakończyło się ono wniesieniem aktu oskarżenia.

Kamiński i Wąsik nigdy nie przyznali się do winy i od początku przedstawiali się jako ofiary wendety Platformy Obywatelskiej. „Doszło do nadużycia władzy ze strony prokuratury. Postawienie mi zarzutów to przejaw bezprawnych działań wobec mnie jako szefa CBA. Istnieje nieprzypadkowa koincydencja czasowa między faktem postawienia mi zarzutów przez prokuraturę a sprawą ujawnienia przez CBA afery hazardowej. Poinformowałem premiera Tuska, iż doszło do nielegalnych działań członków jego rządu oraz polityków związanych z obecną ekipą rządową

wokół ustawy o grach hazardowych. Ujawnienie sprawy przed premierem o działaniach CBA doprowadziło do sytuacji, w której przestępcy rozpracowywani przez CBA zostali ostrzeżeni. Jest wysoce prawdopodobne, że mogła zapaść decyzja w kręgach najwyższych funkcjonariuszy ekipy rządowej doprowadzenia do sytuacji, w której nie będę mógł wykonywać funkcji szefa CBA”, zeznał Kamiński.

„Zarzuty uważam za absurdalne, ponieważ wszystkie moje działania w Centralnym Biurze Antykorupcyjnym były zgodne z prawem, a czynności wykonywałem z myślą o inte-

resie służby i Polski. Sprawę traktuję jako polityczną, zwłaszcza że na osoby prowadzące śledztwo wywierano naciski”, wtórował mu Wąsik.

Wyrok

30 marca 2015 r., po 32 rozprawach, Sąd Rejonowy Warszawa-Śródmieście w pierwszej instancji wydał orzeczenie: Kamiński i Wąsik zostali skazani na trzy lata więzienia i 10-letni zakaz sprawowania funkcji publicznych za to, że jako szefowie CBA nadużyli swoich uprawnień, wyłudziali zgody prokuratury i sądu na stosowanie kontroli operacyjnej, fałszowali dokumenty legalizacyjne mimo braku podstaw prawnych do takich działań oraz kreowali przestępstwo łapówkarstwa biernego, choć zebrany materiał dowodowy wskazywał na to, że mają do czynienia z powoływaniem się na wpływy przez Andrzeja K. i Piotra Rybę, czyli z przestępstwem płatnej protekcji.

„Mariusz Kamiński świadomie wprowadzał w błąd tak Prokuratora Generalnego, jak i Sąd Okręgowy w Warszawie, wyłudzając zgodę na przeprowadzenie określonych działań obejmujących kontrole operacyjne konkretnych osób lub

► prowadzenie kombinacji operacyjnej pozwalającej na kontrolowane wręczenie korzyści majątkowej. Nic dziwnego zatem, że zarówno Prokurator Generalny, jak i Sąd Okręgowy w Warszawie wydawali decyzje pozytywne, skoro we wnioskach zawarte były okoliczności pozwalające na ich wydanie, które skądinąd nie miały odzwierciedlenia w materiałach operacyjnych, a Mariusz Kamiński, podpisując wnioski określonej treści, manipulował faktami, co umożliwiało mu uzyskiwanie akceptacji dla określonych działań”, czytamy w uzasadnieniu wyroku.

Łaska

Kamiński i Wąsik wnieśli apelację, ale sąd drugiej instancji nie zdołał ich rozpatrzyć – prezydent Andrzej Duda postanowił „uwolnić wymiar sprawiedliwości od tej sprawy” i ułaskawił obu panów. Dzięki temu wrócili oni do swojej ulubionej roboty, czyli knucia przeciw politycznym przeciwnikom i wykorzystywania do tego celu aparatu państwa oraz podporządkowanych PiS mediów.

Kamiński, jak tylko PiS w 2015 r. dorwało się do władzy, został koordynatorem służb specjalnych, a cztery lata później powierzono mu tekę ministra spraw wewnętrznych i administracji. Wąsik podążał ścieżką Kamińskiego – w 2015 r. mianowano go zastępcą koordynatora służb specjalnych, a w 2019 r. zasiadł na stołku wiceministra spraw wewnętrznych. Obaj mieli przełożony wpływ na działanie służb specjalnych, a że nie próżnowali, świadczy choćby historia postać Krzysztofa Brejzy.

Pegasus

Jego telefon w 2019 r., gdy był szefem sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej, hakowano za pomocą Pegasus, oprogramowania szpiegowskiego zakupionego przez CBA za pieniądze pochodzące z Funduszu Sprawiedliwości, teoretycznie mającego służyć ofiarom przestępstw. Materiały pozyskane przez służby z telefonu postać zostały

tak spreparowane, by wskazywały, że Brejza bierze udział w przestępczym procederze, a następnie przekazano je mediom publicznym. Te rozpoczęły trwającą miesiącami nagonkę, z pasków TVP nie schodziły informacje o „wydziale nienawiści w inowrocławskim ratuszu kierowanym przez Krzysztofa Breję”. „Inowrocławski ratusz” wziął się stąd, że ojciec Krzysztofa Brejzy był prezydentem Inowrocławia i podległe Kamińskiemu i Wąsikowi CBA usiłowało go zrobić w korupcję, przy okazji topiąc Breję juniora. Przebieierający z TVPiS nie kryli, że posługują się informacjami uzyskanymi od służb, co rusz używając określenia: „jak wynika z materiałów ze śledztwa”, co miało podbić wartość przekazu. A w istocie stanowiło dowód popełnienia przestępstwa. Zawiadomiliśmy o tym Prokuraturę Okręgową

nie mogę pozwolić na bezradność państwa w tym zakresie. Tym bardziej że odrzucać muszę tak zwaną »doktrynę Neumanna«, która zakłada w istocie zgodę na bezkarność niektórych osób z racji ich powiązań towarzyskich i politycznych. Opozycja chce jedynie prowadzić antyrządową kampanię, której skutkiem ubocznym może być sparaliżowanie działań służb. Krzysztof Brejza pojawia się w śledztwie dotyczącym korupcji w urzędzie w Inowrocławiu, w tym funkcjonowania tzw. wydziału nienawiści i nielegalnego finansowania kampanii wyborczej jednej z partii. To śledztwo dotyczy także wykorzystywania środków publicznych do zwalczania przeciwników politycznych rodziny Brejzów”, stwierdził, dowodząc, że wciąż utożsamia interes państwa z interesem prezesa Kaczyńskiego.

Kamiński i Wąsik zostawili po sobie szafy pełne trupów. Trzeba te sprawy zbadać, a winnych ukarać.

w Gdańsku, która wszczęła postępowanie dotyczące nielegalnego upublicznienia materiałów ze śledztwa, ale tylko po to, by umyć ręce i przekazać sprawę innej jednostce „z uwagi na konieczność uniknięcia zarzutu stronniczości”.

Interes

Właściwej do prowadzenia sprawy jednostki szukano aż do wyborów. Gdy okazało się, że PiS je wygrało, prokuratura orzekła, że dziennikarze mediów publicznych co prawda nielegalnie wykorzystywali materiały z postępowania, ale zarazem korzystali z wolności słowa, więc nie można ich skazać, ergo sprawie ukrecono łeb.

Szpiegowaniem za pomocą Pegasusu w 2022 r. zajęła się nadzwyczajna komisja senacka. Mariusz Kamiński stanowczo odmówił stawienia się przed nią, ale przedstawił pisemne oświadczenie. „Jako osoba odpowiedzialna za nadzór i koordynowanie służb uprawnionych do ścigania przestępczości

Brejza do dziś jest na wolności – tak pieczętowiec zbierany przez Kamińskiego i jego siepaczy materiału dowodowy nie wystarczył nawet do postawienia zarzutów. Niedawno zaś poseł wygrał proces o wykorzystanie w mediach publicznych materiałów spreparowanych przez CBA, za co TVP ma zapłacić mu 200 tys. zł odszkodowania.

Ofiary

Trzeba wnikliwie się przyjrzeć schedzie po Kamińskim i Wąsiku. Używanie Pegasusu do szpiegowania Brejzy, Romana Giertycha czy nieposłusznej władzy prokurator Ewy Wrzosek to wierzchołek góry lodowej, w szafach hunwejbiniów Kaczyńskiego trupów z pewnością jest więcej. Wydobycie ich i osądzenie sprawców to jedna z ważniejszych powinności koalicji rządzącej. Na czczych płaszcach komisji śledczych i chwilowym pozbawieniu wolności Kamińskiego i Wąsika nie można poprzestać, bo jak tylko zawieje wiatr historii, wróćą do obiegu, pokażą

gest Kozakiewicza i z oddaniem będą służyć żoliborskiemu mocodawcy lub jego następcy.

Po akcie łaski wydanym przez prezydenta Dudę w 2015 r. Sąd Okręgowy w Warszawie uchylił wyrok skazujący Kamińskiego i Wąsika oraz umorzył sprawę. Przewodniczącym składu sędziowskiego był Piotr Schab, jedna z twarzy pisowskiej deformy sądownictwa. Kasację od umorzenia wniosli pokrzywdzeni akcją CBA politycy Samoobrony. Sąd Najwyższy rozpatrzył ją i w 2017 r. orzekł, że prezydent nie może ułaskawiać, nim zapadnie prawomocny wyrok, ale dopiero sześć lat później sprawę Kamińskiego i Wąsika przekazano do ponownego rozpatrzenia. W grudniu 2023 r. Sąd Okręgowy w Warszawie skazał ich na dwa lata pozbawienia wolności i pięcioletni zakaz pełnienia funkcji publicznych. Gdy trafili za kraty, Kaczyński podpalił Polskę, a pobierający pensję prezydenta Andrzej Duda bez mrugnięcia okiem wykorzystał żony osadzonych.

Rozpaczające na wizji małżonki stały się dla głowy państwa pretekstem do wszczęcia procedury ułaskawienia i zaszantażowania ministra sprawiedliwości Adama Bodnara żądaniem natychmiastowego wypuszczenia na wolność „bohaterów walki z korupcją”.

Nie ma sensu demonizować głupoty i cynizmu Dudy, bo w PiS wykorzystywanie ma charakter powszechny, a na szczycie łańcucha pokarmowego stoi drapieżnik alfa, czyli pożerający wszystkich Kaczyński. To oczywista oczywistość, że prezydent nie wypuścił z więzienia twórców CBA w trybie natychmiastowym – choć mógł to zrobić jednym pstryknięciem – nie z troski o praworządność. Po prostu prezes PiS uznał, że dłuższy pobyt za kratami w roli więźniów politycznych ma większy potencjał dramatyczny niż przebywanie na wolności w charakterze obdarzonych łaską. Bodnar nie powinien występować w przedstawieniu reżyserowanym przez Kaczyńskiego.

Maciej Mikołajczyk

KSIAŻKA ROKU 2023 TYGODNIKA PRZEGLĄD

Warto poznać historię Polski Ludowej autorstwa prof. Andrzeja Werblana.

PRAWDA I REALIZM to dwa tomy pozwalające lepiej zrozumieć te ciekawe czasy. I wiele ważnych argumentów w obronie Polski Ludowej.



PAKIET ~~157 zł~~ 140 zł

**Najlepszy prezent
na DZIEŃ BABCI
i DZIADKA,
bo broni ich
życiorysów i dokonań.**



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta,

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.



WSZYSTKIE GRZECHY

Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika

**Afera gruntowa to wierzchołek góry nadużyć
byłych ministrów i nadzorców CBA.
Należy się spodziewać kolejnych aktów oskarżenia**

Andrzej Sikorski

Pegasus

W Sejmie ma powstać komisja śledcza ds. inwigilacji cyberbronią Pegasus. Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik jako nadzorcy służb nie tylko mieli wiedzę, kto był nielegalnie inwigilowany, ale jest wielce prawdopodobne, że sami wydawali polecenia, kogo wziąć na celownik. Z dotychczasowych ustaleń wiadomo, że wbrew kłamliwym twierdzeniom polityków PiS rozpracowywano nie terrorystów (do tego właśnie program został stworzony przez firmę z Izraela), lecz polityków opozycji i osoby, które PiS uznało za niebezpieczne dla partii. Między innymi Krzysztofa Brejzę, szefa sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej w wyborach 2019 r., i jego ojca, prezydenta Inowrocławia, a teraz senatora, Ryszarda Brejzę, posłankę Koalicji Obywatelskiej Magdalenę Łośko (współpracowała z Krzysztofem Brejzą), adwokata Romana Giertycha, prokurator Ewę Wrzosek, która wszczęła śledztwo w sprawie legalności wyborów kaptowych w czasie pandemii, lidera Agrounii, a teraz posła i wiceministra rolnictwa Michała Kołodziejczaka, dziennikarza Tomasza Szwejgiertę, współautora biografii Mariusza Kamińskiego, a nawet osobistego wroga Zbigniewa Ziobry, kontrowersyjnego biznesmena i twórcę internetowego Zbigniewa Stonogę.

Pegasus ma opinię broni zabójczej nie tylko dlatego, że jest niewykrywalny, ale także dlatego, że za jego pomocą można tworzyć fałszywe

dowody obciążające inwigilowane osoby. Tak się stało w przypadku Krzysztofa Brejzy – włamano się do jego telefonu i przejęto nad nim kontrolę, wykradzono z niego m.in. wiadomości SMS, które przerobiono (z kilku osobnych, wysyłanych w różnym czasie i do różnych osób), a tak spreparowany materiał przekazano potem rządowej TVP, która rozpętała nagonkę, insynuując, że polityk zamieszany jest w przestępczy proceder.

Kwaśniewscy

Śledztwo w sprawie majątku Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich zostało wszczęte w 2007 r., za pierwszych rządów PiS. Stało się tak po ujawnieniu nagranej potajemnie rozmowy między Józefem Oleksym i Aleksandrem Gudzowatym.

To, w czym Kamiński i Wąsik się specjalizują, czyli szukanie haków na przeciwników i wrabianie ludzi w przestępstwa, było praktykowane w państwach totalitarnych.

Podpity i rozżalony na towarzyszy partyjnych były premier i marszałek Sejmu mówił biznesmenowi m.in., że Kwaśniewski ma majątek niewspółmierny do dochodów, jeśli brał łapówki, „to nie osobiście”, kupił „całe wzgórze w Kazimierzu”, ale „nie wiem na kogo, bo nie na siebie”.

Bajdurzenia Oleksego zostały potraktowane przez PiS bardzo poważnie. Choć nie było do tego żadnych podstaw, uruchomiono potężną machinę śledczą. Majątek byłej pary prezydenckiej został dokładnie

prześwietlony, a ponieważ niczego podejrzanego nie znaleziono, Kamiński z Wąsikiem postanowili zagrać *va banque* i zrobić Kwaśniewskich w przestępstwo.

Wedle plotek Kwaśniewscy mieli być nieformalnymi właścicielami willi w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą. Jednak posiadłość była własnością ich przyjaciół. Pierwotną właścicielką willi była Maria J., która sprzedała ją biznesmenowi Markowi Michałowskiemu. Po sprzedaży nieruchomości kobieta nie wyprowadziła się, nowy właściciel ustanowił ją i jej syna zarządcami.

Kwaśniewscy, Michałowski i administratorzy zostali objęci inwigilacją. Jako przynętę CBA wypuściło agenta o pseudonimie operacyjnym Tomasz Małecki (Tomasza Kaczmarka, późniejszego posła PiS), który udawał

bogatego biznesmena zainteresowanego kupnem nieruchomości. Agent Tomek zaprzyjaźnił się z Marią J. i jej synem. Namówił ich, aby skłonili Michałowskiego do sprzedaży willi. Zaproponował ponad 3 mln zł, czyli dwa razy tyle, ile wynosiła wartość rynkowa. Michałowski podpisał z agentem Tomkiem akt notarialny na 1,6 mln zł. Po transakcji agent przekazał synowi Marii J. jeszcze 1,5 mln zł – jako cichą część zapłaty, na którą się umówiono, by podatek był niższy. Akcja została przerwana,



9 stycznia Andrzej Duda zaprosił Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika do Pałacu Prezydenckiego pod pretekstem uroczystości powołania na swoich doradców Stanisława Żaryna (nz. po lewej) i Błażeja Pobożnego (nz. z prawej).

bo mężczyzna wyjął gotówkę z teczki, a teczki nie chciał wziąć. A to w niej umieszczono nadajnik, który – jak liczyło CBA – doprowadzi do Jolanty Kwaśniewskiej.

Wyszło też na jaw, że Mariusz Kamiński chciał aresztować byłą pierwszą damę. „Pan Mariusz Kamiński w ostatnim czasie zachowuje się dość osobliwie. Kilka tygodni temu zjawił się u mnie i zażądał, żebyśmy zaarrestowali panią Kwaśniewską. Ja oczy w stęp i mówię: »A jakie to dowody są mianowicie?«. Ano takie, że przypuszczalnie jej koleżanka dopuściła się czegoś takiego, że sprzedała swoją działkę i chciała uniknąć podatku i po cichutku pieniądze wziąć w garść. (...) Chyba sam pan Mariusz Kamiński albo jego zastępca z całą powagą zawieźli te materiały do prokuratury katowickiej i tam zażądali aresztowania pani Jolanty. Trafili na profesjonalistów, prokurator powiedział, że za to, iż ktoś chciał coś uszczknąć z podatku, to trzeba oczywiście kary stosować, ale po pierwsze nigdy aresztu, a pani Jolanta nie ma z tym nic wspólnego”, mówił Andrzej Czuma, minister sprawiedliwości i prokurator generalny w Radiu ZET (1 października 2009 r.).

Okazało się, że CBA pod wodzą Kamińskiego, polując na byłą parę prezydencką, dopuszczało się

przestępstw. W 2014 r. prokuratura chciała postawić Kamińskiemu zarzuty nadużycia prawa i wykorzystania zajmowanego stanowiska, ale Sejm na tajnym posiedzeniu nie zgodził się na uchylenie mu immunitetu. W 2016 r., gdy PiS przejęło kontrolę nad prokuraturą, wszczęto ponownie śledztwo w sprawie Kamińskiego i tego samego dnia je umorzono. Pod decyzją o umorzeniu podpisał się prokurator Mariusz Matys, który w nagrodę został awansowany z prokuratury rejonowej do Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga. Takie pozorne wznowienie śledztwa i błyskawiczne umorzenie miało zapewnić Kamińskiemu bezkarność.

Sensacyjne zeznania (już po latach) złożył Tomasz Kaczmarek. „Miałem wytworzyć przeświadczenie, że dom w Kazimierzu Dolnym należy do Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich. Moje notatki i złożone zeznania są efektem nacisków ze strony moich byłych przełożonych Mariusza Kamińskiego oraz Macieja Wąsika”, stwierdził, prosząc Kwaśniewskich o wybaczenie. Bulwersujące jest przede wszystkim to, że Kamiński z Wąsikiem nakłaniali Kaczmarka, aby uwikłał w przestępstwo byłą parę prezydencką, ale na dokładkę działało się to na suto zakrapianych spotkaniach.

Sawicka i Wądołowski

Nie tylko w sprawie Kwaśniewskich Wąsik i Kamiński wykorzystali agenta Tomka do wrabiania ludzi w przestępstwa. Tak było m.in. z posłanką PO Beatą Sawicką i burmistrzem Helu Mirosławem Wądołowskim, z których próbowano zrobić łapówkarzy. Sawicką Kaczmarek uwiódł, a zakochaną w nim kobietę nakłonił do przyjęcia łapówki. Wądołowski i Sawicka zostali uniewinnieni, a sądy uznały, że działania CBA były nielegalne, gdyż demokratyczne państwo nie może testować uczciwości obywateli i ich podatności na łamanie prawa, kierując agentów służb przeciw przypadkowo, losowo wybranym obywatelom w oczekiwaniu, że dana osoba da się skusić.

Marczuk i Seredyński

Niemal identyczny mechanizm zastosowano w przypadku prawniczki i celebrytki Weroniki Marczuk, którą agent Tomek też chciał uwieść i wrobić w przestępstwo korupcyjne. Przez Marczuk Kamiński z Wąsikiem chcieli uderzyć w znenawidzoną przez PiS telewizję TVN. Marczuk była bowiem gwiazdą popularnego programu „You Can Dance”. Razem z celebrytką o korupcję oskarżono Bogusława Seredyńskiego, szanowanego dyrektora Wydawnictw Naukowo-Technicznych ▶

► (WNT). Oboje trafili do aresztu. Jednak już na etapie śledztwa Marczuk i Serdyński zostali oczyszczeni z zarzutów. Okazało się, że Marczuk legalnie prowadziła prywatyzację WNT, a Seredyńskiego agenci upili, po czym nieprzytomnemu wcisnęli łapówkę, którą potem chciał im zwrócić. O ile Marczuk podniosła się po tej historii, o tyle Seredyński nie mógł po aresztowaniu i fałszywym oskarżeniu poradzić sobie w życiu. Nawet gdy już został oczyszczony, nie znalazł pracy, podupał na zdrowiu.

Gronkiewicz-Waltz

Nazwiska Kamińskiego i Wąsika przewijają się również w warszawskiej aferze reprivatyzacyjnej. Jeden z głównych oskarżonych, Jakub Rudnicki, były urzędnik stołecznego ratusza odpowiadający za wydawanie decyzji o zwrocie kamienic, przyjaźnił się z oboma. Gdy w latach 2005-2009 kierowali oni CBA, chcieli z niego zrobić agenta, by znalazł haki

prokuratorskie ciężkiego kalibru”, tłumaczył Rudnicki. Sprawa stała się nieaktualna, bo ówczesny premier Donald Tusk w 2009 r. odwołał Kamińskiego z CBA.

W następnych latach, gdy Wąsik kierował klubem PiS w Radzie Warszawy, miał „w imieniu kierownictwa partii” złożyć Rudnickiemu propozycję, aby ten wyszukiwał roszczenia dla poleconej kancelarii, która potem odzyskiwałaby nieruchomości, pieniądze zasilatyby zaś konta PiS. Wąsik miał także prosić Rudnickiego o listę adwokatów odzyskujących nieruchomości w BGN i denerwować się przy niektórych nazwiskach. Mówił o nich: „Sk... skoro oni dają radę, to my też”. Nic z tego nie wyszło, bo Rudnicki odszedł z BGN.

W 2016 r., gdy o dzikiej reprivatyzacji w Warszawie było głośno, Rudnicki skontaktował się z Wąsikiem (wtedy zastępcą koordynatora służb specjalnych). Spotkanie, w którym uczestniczył agent CBA Tomasz Prus,

w hotelach należących do Państwowego Holdingu Hotelowego. Jak ujawniła „Gazeta Wyborcza”, kierownikiem ds. bezpieczeństwa był tam Robert Ziółkowski, działacz PiS i bliski współpracownik Wąsika. Skruszony Ziółkowski przyznał, że miał współpracować ze służbami specjalnymi „w zakresie pozyskiwania informacji o gościach hotelowych”. Chodziło jednak nie o przestępców, ale o przeciwników politycznych PiS. Jesienią 2019 r. Ziółkowski został wezwany do gabinetu prezesa PHH Gheorghe Mariana Cristescu. Pan prezes zasugerował mu poinformowanie Wąsika, że częstym gościem Renaissance Warsaw Airport Hotel jest Bartosz Kramek. Kramek, jego żona Ludmiła Kozłowska i związana z nimi Fundacja Otwarty Dialog byli zwalczani przez rząd PiS i sprzyjające im media. Wąsik miał się ucieszyć, że jest możliwość zebrania materiałów kompromitujących Kramka. Ziółkowskiemu sugerowano, by pod nieobecność Kramka przeszukiwał jego pokój, miał też brać udział w prowokacji przeciw aktywistom. Działanie takie było przestępstwem.

Ziółkowski nie był jedynym donosicielem, a inwigilacja obejmowała także inne osoby. Na kanale Pouf-narozmowa.com, gdzie ujawniana jest korespondencja polityków PiS, opublikowano mejl, w którym prezes Cristescu informował Joachima Brudzińskiego, gdzie i kiedy odbędą się rozmowy postów PO z białoruską opozycjonistką Swiatłaną Cichanouską oraz kto będzie w nich uczestniczył. Z mejla wynikało, że spotkanie będzie potajemnie nagrywane przez służby, a miało się ono odbyć następnego dnia w sali VIP hotelu Courtyard by Marriott przy lotnisku Okęcie.

Jak widać, Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik nie cofną się przed niczym, aby zrealizować swój cel. To, w czym się specjalizują, czyli szukanie haków na przeciwników politycznych i wrabianie ludzi w przestępstwa, praktykowane było w państwach totalitarnych, gdzie w ten sposób usuwano niewygodne jednostki, a na wrogie środowiska rzucono kryminalne podejrzenia.

Andrzej Sikorski

W 2014 r. prokuratura chciała postawić Kamińskiemu zarzuty nadużycia prawa i wykorzystania zajmowanego stanowiska, ale Sejm nie zgodził się na uchylenie mu immunitetu.

na ówczesną prezydent stolicy Hannę Gronkiewicz-Waltz i urzędników związanych z PO. „Chodziło o prowadzenie przeze mnie rodzaju gry operacyjnej, której początkiem miało być wytypowanie (znalezienie) poprzez aktywne działania z mojej strony tzw. figuranta, czyli osoby, która dzięki moim zabiegom miała mieć do załatwienia konkretną sprawę w Biurze Gospodarowania Nieruchomościami”, twierdził Rudnicki. Jak relacjonował, dostał od szefów CBA kryteria doboru „figurantów”. Miał to być ktoś z otoczenia pani prezydent, najchętniej z legitymacją PO. „Istotne z ich punktu widzenia było dopadnięcie figury możliwie postawionej najwyżej w hierarchii PO (...), przy realizacji tego planu miałem korzystać z wiedzy operacyjnej Kamińskiego, Wąsika. (...) Chodziło o skorumpowanie członków PO w kontekście działań korupcyjnych przed wyborami samorządowymi 2010 r. Sprawa miała być duża. A późniejsze zarzuty

miało charakter luźnej rozmowy i odbyło się w prywatnym mieszkaniu. Rudnicki powiedział, że chce współpracować i „da im na talerzu, co będą chcieli”. Potem Rudnicki z Wąsikiem spotykali się już na osobności. Wąsik musiał być zawiedziony, bo nie dostał tego, czego oczekiwał, czyli informacji o udziale Hanny Gronkiewicz-Waltz i polityków PO w mafii reprivatyzacyjnej. Wkrótce Rudnicki i jego niemal 80-letnia matka trafili do aresztu pod zarzutem korupcji. Pomimo ciężkiego kalibru oskarżeń niczego im nie udowodniono, a Rudnicki wygrywa kolejne sprawy z prokuraturą. Natomiast powiązania Rudnickiego, Wąsika i Kamińskiego nigdy nie zostały wyjaśnione, choć politycy PO, gdy byli w opozycji, zwracali się o to do prokuratury i służb. Najwyższy czas wrócić do sprawy.

Kramek

Prokuratura powinna zainteresować się również inwigilacją gości

Z Galicji



Jan Widacki

Przeciętny Kowalski ma prawo nic nie rozumieć z tego, co się dzieje w tym polityczno-prawno-sądowym chaosie. Jedna izba Sądu Najwyższego wydaje „w imieniu Rzeczypospolitej” orzeczenie, z którego wynika, że Kamiński i Wąsik, skazani w grudniu 2023 r. prawomocnie przez sąd okręgowy – także „w imieniu Rzeczypospolitej” – mandatu jednak nie tracą, marszałek Sejmu nie miał prawa go wygasić, nadal są posłami i mają immunitet. Zdaniem tej izby skazanie nie jest ważne, bo w 2015 r. pan prezydent skorzystał wobec obu panów z prawa łaski. Druga izba tegoż Sądu Najwyższego („w imieniu Rzeczypospolitej”, a jakże!) orzeka, że ułaskawienie z 2015 r. jest nieważne, zażalenie panów Kamińskiego i Wąsika na wygaszenie mandatów poselskich jest bezzasadne, co więcej, złożona z pisowskich nominatów Izba Kontroli Nadzwyczajnej nie jest Sądem Najwyższym i nie jest uprawniona do rozpoznawania takich zażeń.

W międzyczasie policja, wykonując prawomocny wyrok sądowy, zatrzymuje obydwu panów na terenie... Pałacu Prezydenckiego i zgodnie z orzeczeniem sądowym odwozi

nonsens. Mówiąc prosto, ułaskawienie nieskazanego prawomocnie jest równie niemożliwe jak dokonanie aborcji niepoczętego. Ułaskawiając tych panów w 2015 r., prezydent bodaj po raz pierwszy złamał konstytucję.

To ułaskawienie nieskazanych ma jednak historyczny precedens. W czasie wojen kozackich jakiś fałszywy archimandryta udzielił Chmielnickiemu odpuszczenia „wszystkich grzechów przeszłych i przyszłych”. Pan prezydent i tak więc zachował umiar. Mógł przecież ułaskawić Kamińskiego i Wąsika także od wszystkich wyroków, jakie ewentualnie zapadną wobec nich w przyszłości, a on ograniczył się do wyroku wprawdzie nieprawomocnego, ale już zapadłego.

I jeszcze jedna rzecz, którą warto przypomnieć. Polska jest członkiem Unii Europejskiej. Póki nim jest, obowiązują w niej wyroki Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Wedle tych wyroków Izba Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego, podobnie jak nieistniejąca już Izba Dyscyplinarna, nie jest sądem. Krajowa Rada Sądownictwa jest organem niekonstytucyjnym, a wybrani przez nią sędziowie

Łańcuch zdarzeń

ich do kryminału. A dzieje się to krótko po tym, jak do pałacu zaprosił obydwu skazanych pan prezydent.

PiS ze swoim wodzem na czele wrzeszczy, że to niesłychane bezprawie, a obydwaj prawomocnie skazani i umieszczeni tam, gdzie znaleźć się powinni, są „pierwszymi więźniami politycznymi od 1989 r.”, „osobami, które walczyły z korupcją i zostały za to ukarane”.

No to po kolei. Kamiński i Wąsik nie zostali skazani za żadne przestępstwo polityczne, za poglądy, ich głoszenie, krytykę władzy czy coś podobnego. Tym bardziej nie zostali skazani za „walkę z korupcją”. Oni zostali skazani za bardzo poważne i bardzo groźne dla demokratycznego państwa i jego obywateli przestępstwo przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków. Mówiąc inaczej, za nadużycie władzy przeciw obywatelom. Za wielokrotne złamanie prawa, nadużycie władzy przy kierowaniu służbą specjalną, za bezprawne wykorzystanie możliwości tej służby. To, że przez tyle lat pozostawali bezkarni, ośmieliło ich samych i ich następców do posunięcia się jeszcze dalej. Do nielegalnego zakupu i wykorzystania Pegasusa oraz nadużycia innych metod inwigilacji w celu śledzenia opozycji i niewygodnych dla władzy obywateli.

A wszystko zaczęło się od bezprawnego ułaskawienia tych panów, gdy nie byli jeszcze prawomocnie skazani. Ułaskawić można tylko osobę prawomocnie skazaną. Ułaskawienie osoby, która jeszcze skazana prawomocnie nie jest, której służy domniemanie niewinności, to prawniczy

nie są sędziami, może im przysługiwać co najwyżej mało honorowy (i oby dożywotni) tytuł neosędziego. Nawiasem mówiąc, czas te orzeczenia wprowadzić w życie.

Podsumowując, prezydent nie mógł ułaskawić nieskazanych. Izba Kontroli Nadzwyczajnej nie mogła rozpatrywać zażeń na wygaśnięcie mandatu. Od pierwszego z tych wydarzeń rozpoczęła się tragikomedie z Kamińskim i Wąsikiem w rolach głównych. Czym się zakończy? Prezydent, od którego działania całe zamieszanie się zaczęło, a który tuż przed zatrzymaniem dwóch bohaterów gościł ich z honorami w swoim pałacu, zapewniał, że „nie spocznie”, dopóki nie odzyskają wolności, ale wszystko czynić będzie zgodnie z konstytucją (tak jak dotychczas?).

No i nie spoczął. Wszczął kolejną (tym razem legalną) procedurę ułaskawieniową. Cokolwiek przy tym by mówił – a znów mówił dużo, nerwowo i chyba wyćwiczył ze dwie nowe miny – de facto uznał, że w 2015 r. nie ułaskawił ich skutecznie. To rozładowuje doraźny konflikt, ale nie załatwia sprawy. Teraz będą trwały spory, jak się ma ułaskawienie do utraty mandatu i co dalej z Izbą Kontroli Nadzwyczajnej (której orzeczenie, wszczynając procedurę ponownego ułaskawienia, prezydent faktycznie zignorował). Chaos w wymiarze sprawiedliwości pozostał. W efekcie staliśmy się pośmiewiskiem świata. Autorytet wymiaru sprawiedliwości upadł jeszcze niżej, a zaufanie do państwa i jego instytucji, które w Polsce nigdy nie było nadmierne, osłabło jeszcze bardziej. ■



Antoni Macierewicz dopuścił się przemocy wobec jednego z pracowników PAP
Warszawa, 21 grudnia 2023 r.

Agencja informacji PiS

PAP była nie tylko organem propagandowym usługowym wobec partii rządzącej, ale też agencją tworzącą fake newsy

Andrzej Sikorski

Zmiana władz Polskiej Agencji Prasowej wywołała histerię wśród polityków Prawa i Sprawiedliwości, którzy wkroczyli do siedziby spółki, tłumacząc to interwencją poselską. W rzeczywistości nie miało to nic wspólnego z instrumentem kontrolnym przysługującym parlamentarzystom, było to raczej siłowe najście. Politycy PiS krążyli po budynku, kontrolując niemal każdy krok nowego prezesa PAP Marka Błońskiego, blokowali drzwi, próbowali legitymować i zastraszać pracowników. Prym wiodł Antoni Macierewicz, który dopuścił się przemocy wobec jednego z pracowników. „O tym niedopuszczalnym incydencie powiadomiliśmy policję, złożymy także formalne doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa, polegającego na zmuszeniu pracownika PAP do określonego zachowania”, stwierdził prezes Błoński.

Postronnemu obserwatorowi postawa polityków PiS może się wydawać przesadzona. Jednak PAP była ważnym elementem w partyjnym przekazie formacji Jarosława Kaczyńskiego, gdyż jest podstawowym źródłem informacji dla gazet, stacji telewizyjnych i radiowych oraz portali internetowych.

Zgodnie z ustawą o PAP agencja „uzyskuje i przekazuje odbiorcom rzetelne, obiektywne i wszechstronne informacje z kraju i z zagranicy” i „nie może znaleźć się pod prawną, ekonomiczną lub inną kontrolą jakiegokolwiek ugrupowania ideologicznego, politycznego lub gospodarczego”. Te dwa kluczowe zapisy ustawy były przez ostatnie osiem lat brutalnie łamane przez PiS, bez jakichkolwiek konsekwencji dla obozu władzy.

Partyjny zaciąg kadrowy

Wiosną 2016 r. prezesem PAP został Artur Dmochowski, którego

nominację zatwierdził Jarosław Kaczyński. Dmochowski to były dziennikarz pisowskich biuletynów propagandowych – „Gazety Polskiej”, „Gazety Polskiej Codziennie” i portalu Niezależna, które poprzez sieć spółek kontroluje prezes PiS. Dmochowski do PAP ściągnął zaufanych ludzi z gazet wspierających PiS. Pierwszym zastępcą redaktora naczelnego został Cezary Bielakowski, który pod koniec rządów PO-PSL pisał we „Wprost” o aferze podsłuchowej i rzekomych nadużyciach przy kontrakcie na zakup śmigłowców Caracal. Oba tematy były maczugą, którą PiS w czasie kampanii wyborczej waliło w PO i PSL.

Na czele redakcji krajowej stanął Piotr Kotomski, były sekretarz redakcji portalu Niezależna i dziennikarz „Gazety Polskiej Codziennie”. Jako zastępcę Kotomski wziął sobie Jakuba Pilarka z „Gazety Polskiej Codziennie”, który nazwał rząd PO-PSL „aferyalno-agenturalnym”, Donalda Tuska „największym szkodnikiem III RP”,

a prezydenta Bronisława Komorowskiego „błaznem, którego kocha Moskwa”.

Szefem redakcji anglojęzycznej został z kolei publicysta wspierającego PiS tygodnika „Sieci” Paweł Korsun. Ten w felietonach nazywał TVN „TFałszN”, Grzegorza Schetynę „S(he)hieną”, a PO „padlinożercami”.

Dmochowski prezesem PAP długo nie pobył. W październiku 2017 r. odszedł w atmosferze skandalu. Za jego rządów spółka stanęła na krawędzi bankructwa. Jak informowały media, jednym z powodów zadłużenia PAP były wysokie zarobki kadry menedżerskiej. Spółka musiała się ratować kredytem i dotacją z budżetu państwa. Dmochowskiemu krzywdą się nie stała, został ambasadorem w Czarnogórze, a od czerwca 2023 r. jest ambasadorem w Tajlandii.

Jego miejsce zajął Wojciech Surmacz, były pracownik związanej ze SKOK-ami spółki medialnej Fratria wydającej tygodnik „Sieci”. Surmacz był m.in. redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej” i portalu wGospodarce.pl.

Również do rady nadzorczej PAP obóz władzy skierował zaufanych ludzi. Przewodniczącym został Janusz Niedziela, towarzysz partyjny Jarosława Kaczyńskiego jeszcze z czasów Porozumienia Centrum. Na stołku wiceprzewodniczącego rady ulokowano Macieja Świrskiego, który teraz jest prezesem KRRiT. Świrski słynie z pieniactwa. Założył Fundację Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga Przeciw Zniesławieniom. Walczył m.in. z nagrodzoną Oscarem „Idą” – twierdził, że film „może wywołać w widzach fałszywe przeświadczenie, że to Polacy wymordowali europejskich Żydów”. Domagał się od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej umieszczenia w czołówce filmu informacji o sytuacji Polaków podczas II wojny światowej. Do prezydenta Andrzeja Dudy skierował natomiast petycję z żądaniem pozbawienia historyka Jana Tomasza Grossa Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi RP. Twierdził, że „Gross to wyjątkowo szkodliwy oszczerca, który pod pozorem pracy naukowej prowadzi kampanię zniesławień i zniewag przeciwko Polsce”. Świrski znany jest

z wytaczania procesów za rzekome szkalowanie Polski i Polaków. Podpadli mu m.in. były premier Belgii Guy Verhofstadt, argentyński portal Página 12 i niemiecki dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

Barwne towarzystwo uzupełniali powołani przez Radę Mediów Narodowych członkowie Rady Programowej PAP, organu opiniotawczono-doradczego spółki, w skład którego „wchodzą osoby wyróżniające się doświadczeniem dziennikarskim oraz wiedzą z zakresu funkcjonowania środków masowego przekazu”. Członkami Rady Programowej PAP zostali m.in. minister rolnictwa i poseł PiS Robert Telus, szef gabinetu politycznego Zbigniewa Ziobry Marcin Sławewski, posłanki PiS Mirosława Stachowiak-Różecka i Barbara Bartuś i Cezary Krysztopa, publicysta propiśowskiego tygodnika „Do Rzeczy”, który o sobie pisze: „Z wykształcenia architekt, z zamiłowania rysownik, ze złości dziennikarz”.

Rzeczywistość według PiS

Pod wodzą takich specjalistów PAP, ceniona niegdyś za profesjonalizm i rzetelność, stała się nie tylko organem propagandowym usługowym wobec partii rządzącej, ale też agencją tworzącą fake newsy.

Na przykład we wtorek 4 kwietnia 2017 r., kilka dni przed rocznicą katastrofy smoleńskiej, PAP poinformowała o wezwaniu na świadka Donalda Tuska w procesie Tomasza Arabskiego, którego część rodzin ofiar katastrofy oskarżyła o niedopełnienie obowiązków podczas organizacji lotu prezydenta Lecha Kaczyńskiego. „We wtorek przed Sądem Okręgowym w Warszawie prok. Przemysław Scibisz wniósł o przesłuchanie Tuska jako świadka; sąd na razie nie wyznaczył terminu przesłuchania. Prokuratura uczestniczy w rozprawach jako »strażnik praworządności«, napisano w depeszy. News szybko stał się sensacją dnia. Jednak prokuratura wszystkiemu zaprzeczyła. „W związku z informacjami medialnymi wskazującymi, że w dniu dzisiejszym na rozprawie przed Sądem Okręgowym w Warszawie prokurator złożył wniosek o przesłuchanie

byłego Prezesa Rady Ministrów Pana Donalda Tuska, uprzejmie informuję, że powyższe doniesienia nie są prawdziwe”, oświadczył rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Aby odwrócić uwagę od dywagacji na temat motywów Stefana W., który zamordował prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, PAP wypuściła sensacyjną informację, że Stefan W. próbował się wdrzeć na teren Pałacu Prezydenckiego, by zamordować Andrzeja Dudę. Tymczasem Służba Ochrony Państwa i rzecznik prezydenta zaprzeczyli, by miało dojść do takiego zdarzenia. Gdy kłamstwo wyszło na jaw, PAP powołując się na prokuraturę, napisała, że po opuszczeniu zakładu karnego W. był w Warszawie w okolicach Pałacu Prezydenckiego, gdzie „mógł planować popełnienie przestępstwa”. „Nieprawdziwa, jak się okazuje, informacja, podana przez państwową agencję, zdaniem dziennikarzy mogła być na rękę rządzącym. (...) Pozostają pytania o możliwe manipulacje informacjami ze śledztwa ws. zamachu w Gdańsku”, zauważył dziennikarz TVN 24 Bertold Kittel.

Równie rzetelnie przedstawiana była przez PAP afery spółki Srebrna. Propagandziści partii rządzącej próbowali zdyskredytować poszkodowanego Austriaka, a wybielić Jarosława Kaczyńskiego. Zamieszczono więc „ekskluzywny” wywiad z prezesem PiS, bez trudnych i krępujących pytań. Gdy zaś „Gazeta Wyborcza” opublikowała fakturę wystawioną na spółkę Srebrna, której Kaczyński nie chciał zapłacić, czujni reporterzy PAP ustalili, że Gerald Birgfellner korzystał z pirackiego oprogramowania. Do takiego newsa dodano wypowiedź rzeczniczki PiS Beaty Mazurek, która stwierdziła, że faktura nie jest podstawą do dokonania płatności, bo nie wiadomo, o co w niej chodzi, i oświadczenie prezeski Srebrnej Małgorzaty Kujdy, że faktura nigdy nie została doręczona i nie była księgowana.

Kara za uczciwość

Jak wygląda praca w PAP, ujawnił dziennikarz gospodarczy agencji Aleksander Pudłowski, któremu ▶

► usunięto depeszę o tym, że prezes NBP Adam Glapiński jest krytyczny wobec sztandarowego programu rządu PiS, dotyczącego pracowniczych planów kapitałowych (PPK). Pudłowski na znak protestu złożył wypowiedzenie i odszedł z PAP. „Moje odejście traktuję jako zwrócenie uwagi na krytyczny problem i bezprecedensowe zachowanie kierownictwa, które nie powinno mieć nigdy miejsca”, napisał dziennikarz w liście pożegnającym do współpracowników.

Sprawą zainteresował się rzecznik praw obywatelskich, który wyraził „zaniepokojenie zaistniałą sytuacją, dotyczącą polityki kadrowej w Polskiej Agencji Prasowej” oraz „niezagwarantowaniem dziennikarzom możliwości wykonywania swojej pracy bez nacisków i niepotrzebnej ingerencji”.

Prezes PAP zaangażował się w pisanie dla Jarosława Kaczyńskiego raportu „Walka o prawdę” o publikowanych za granicą informacjach o polskiej historii.

Jak szczególnie rzetelne jest szefostwo PAP, przekonali się wieloletni dziennikarze agencji Anna Kisicka i Robert Pietrzak, którzy przygotowali depeszę opisującą wyrok sądu w sprawie Muzeum II Wojny Światowej. Sąd uznał, że dyrekcja muzeum pod kierownictwem wspieranego przez PiS Karola Nawrockiego naruszyła prawa autorskie twórców wystawy, tj. zespołu prof. Pawła Machcewicza, który był pierwszym dyrektorem placówki. Kisicka i Pietrzak, relacjonując wyrok, przedstawili komentarze obu stron sporu. Tymczasem PAP depeszę z komentarzem Machcewicza usunęła i przedstawiła tylko stanowisko Nawrockiego. Kisicka wysłała w tej sprawie mejl do pracowników. Wkrótce potem została zwolniona. Podobny los spotkał Pietrzaka.

Dziennikarska Hiena

Dla uczciwych dziennikarzy w PAP nie było miejsca, za to do pracy przyjęto Ewę Bąkowską, dziennikarkę tygodnika „7 Dni Kalisza”, która otrzymała Hienę, dziennikarską

antynagrodę przyznaną przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, za podszywanie się pod psycholożkę podczas zbierania materiałów do tekstu o romansie 14-letniego gimnazjalisty z jego nauczycielką. W związku z tą sprawą Bąkowska przegrała proces i została zobowiązana do zapłaty ponad 50 tys. zł zadośćuczynienia oszukanej kobiecie za bezprawne pozyskanie i upublicznienie informacji z życia prywatnego. Choć Bąkowska zapewniała, że zapłaci, wymigała się od tego, ogłaszając upadłość konsumencką.

Wstrząsającą historię z udziałem Bąkowskiej opisała „Gazeta Wyborcza”. Przedstawiając się jako dziennikarka PAP, Bąkowska szantażowała i zastraszała administratorkę grupy „Kosmetolodzy, kosmetyczki, lekarze – opinie” na Facebooku tylko dlatego,

że jedna z internatek zamieściła wpis o jej córce, która, prowadząc gabinet urody, podszywała się pod lekarza. Bąkowska ma jednak mocne plecy. Według informacji „GW” jest koleżanką Joanny Lichockiej, posłanki PiS i członkini Rady Mediów Narodowych.

Na łączach z władzą

Bezcennej wiedzy o tym, jak funkcjonowała PAP pod rządami PiS, dostarczył portal Poufnarozmowa.com, który od czerwca 2021 r. publikuje mejle ze skrzynki ministra Michała Dworczyka. Z ujawnionej korespondencji można było się dowiedzieć, że prezes PAP często korespondował z premierem Mateuszem Morawieckim, utożsamiał się z PiS i rządem, był po prostu na usługach władzy.

W jednym z mejli Morawiecki prosił prezesa Surmacza o wytypowanie „sprytnego dziennikarza, aby przeprowadził bardzo pilnie wywiad z panem prezydentem” na temat Funduszu Medycznego. Nie chodziło o to, by dziennikarz mógł zadać Andrzejowi Dudzie niewygodne pytania.

Jak stwierdził Morawiecki, „narracja jest gotowa, tylko trzeba ładnie to wszystko ująć i poprzecinać pytaniami”. Pół godziny później prezes PAP odpisał premierowi: „Działamy. Pytania są już gotowe, pójdą do Błażeja Spychalskiego (rzecznika prezydenta – przyp. aut.)”. Surmacz obiecał Morawieckiemu, że następnego dnia PAP opublikuje rozmowę z premierem, „ale to już na spokojnie”. Jeszcze tego samego dnia wieczorem na stronie internetowej PAP ukazała się rozmowa z Dudą na temat Funduszu Medycznego.

Gdy postowie Konfederacji zarzucili urodzonemu w Wielkiej Brytanii ministrowi finansów Tadeuszowi Kościńskiemu, że nie skończył studiów w Polsce i ma dyplom brytyjskiej uczelni, która nie spełnia polskich kryteriów szkoły wyższej, Tomasz Fill, jeden z doradców premiera, napisał do Morawieckiego: „(...) w związku z atakami konfederacyjnych trolli na Tadeusza w poniedziałek pójdzie rano w PAP krótka rozmowa, a we wtorek krótka sylwetka autorstwa Wojtki Surmacza. Wszystko pod kontrolą i omówione z dyrektorem CIR (Centrum Informacyjnego Rządu – przyp. aut.)”.

Prezes PAP zaangażował się też w pisanie raportu dla Jarosława Kaczyńskiego na temat publikowanych za granicą rzekomo nieprawdziwych informacji o polskiej historii. Napisanie raportu zlecił Surmaczowi Zbigniew Jagiełło, zaufany człowiek Morawieckiego i prezes banku PKO BP. Raport miał nosić tytuł „Walka o prawdę”.

W innym mejlu prezes Surmacz w entuzjastyczny sposób informował Morawieckiego o pozytywnym odbiorze wywiadu, którego premier udzielił hiszpańskiemu dziennikowi „El Mundo”. „Strategia pozycjonowania PMM (premiera Mateusza Morawieckiego – przyp. aut.) w mediach zagranicznych świetnie buduje wizerunek Polski i polskiego rządu”, pisał Surmacz, dołączając raport o tym, jak wywiad odebrali zagraniczni dziennikarze, którym rozestął jego tłumaczenie. Według prezesa PAP wywiad – w omówieniach – miał nawet 530 mln odbiorców na całym świecie.

Andrzej Sikorski



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Czy wszystko jest zawsze inaczej?

Na przełomie roku dotarło do mnie, jak wiele oczywistych „prawd” o postaciach czy wydarzeniach nie tak odległych, sprzed 30-40 lat, opuściło status „oczywistości” na rzecz „było jednak inaczej”. Moje rozumienie świata zmienia się nawet nie tyle pod wpływem przyswajanych nowych faktów, ile raczej wraz ze zmianą ich ocen i analiz w formie tekstów. Ostatnio było podobnie. Końcówka 2023 r. i początek 2024 upłynęły mi pod znakiem lektury m.in. tych trzech książek.

Pierwsza to „Na Szewskiej” Cezarego Łazarewicza – reporterskie śledztwo historyczne wokół śmierci Stanisława Pyjasa, krakowskiego studenta związanego z ówczesną opozycją. Śmierć tę, głównie dzięki impetowi interpretacyjnemu jego przyjaciela Bronisława Wildsteina, przypisano Służbie Bezpieczeństwa, co stało się powodem radykalnego zaktywizowania politycznego środowiska studenckiego. Łazarewicz ze skrupulatną dociekliwością chyba ostatecznie obala tę wersję. Druga książka to „Nie nasz papież” Mirosława Wlekłego – napisany z chłodnym dystansem, doskonale udokumentowany portret Jana Pawła II, niemożliwy wcześniej do pokazania obraz papieża jako polityka, uzależnionego od polityki USA, od własnej, antysoberowej, konserwatywnej optyki i antykomunizmu, człowieka o osobowości autorytarnej i o bardzo ograniczonej możliwości rozumienia skomplikowanego świata. Kogoś, kto wykorzystywał hierarchów kościelnych – drapieżców seksualnych i przestępców – do swoich operacji finansowych, w tym wsparcia podmiemia solidarnościowego. I książka trzecia – opublikowana w rocznicę śmierci Jerzego Urbana biografia autorstwa Doroty Karaś i Marka Sterlingowa. Opowiadając całą historię jego życia i kariery dziennikarskiej, faktycznie dokonują oni fundamentalnej reinterpretacji oceny „rzecznika stanu wojennego”. Pokazują na jego przykładzie nie tylko pasjonującą historię prasy XX i XXI w., ale przede wszystkim kreślą zniuansowany, uczciwy portret osobowości nietuzinkowej, wybitnej, przekornej aż poza dopuszczalne granice, przenikliwe, odważnej i intelektualnie fascynującej.

Te trzy książki są de facto wywróceniem na nice „dogmatów oczywistości” politycznego świata opozycji solidarnościowej, która po 1989 r. przejęła zasadniczo stery władzy w Polsce. Odczarowanie śmierci Pyjasa, zdesakralizowanie i obnażenie słabości politykierskiego wymiaru funkcjonowania papieża Polaka, oddanie sprawiedliwości demonizowanej przez dekady postaci Jerzego Urbana – wszystko to powinno, bo mogłoby, rozwinać

dogłębną i autokrytyczną debatę o umiejętności, lub raczej jej braku, rozumienia polskiej historii najnowszej. Ukazanie się i lektura tych książek każe mi zadać sobie pytanie o zdolność zajmowania krytycznej postawy wobec teraźniejszości. Latami byłem przekonany, że Pyjas padł ofiarą mordu politycznego, papież, nawet gdy definitywnie rozstałem się z jakąkolwiek formą wiary religijnej, wciąż wydawał się ważny, uznanie dla Jerzego Urbana, po apogeum niechęci, na granicy z nienawiścią, z lat 80., wymagało ode mnie jeszcze sporo czasu.

Dziś te kwestie nie budzą ani moich emocji, ani potrzeby dyskusowania o nich, ten obraz stał się pełniejszy, spójny, bardziej racjonalny. Może to po prostu służąca ocenie moc upływającego czasu, która przynosi dystans, pozwala zdjąć ograniczające klapki z oczu? Dzisiaj myślę, że fałszywa interpretacja śmierci Pyjasa przyniosła istotny i wartościowy impuls polityczny, że rozwiane złudzenia co do papieża i jego roli, znaczenia i wyjątkowości – po prostu znalazły swoje miejsce na cmentarzysku fałszywych oczekiwań i bezpodstawnych uwielbień, a to,

że Jerzy Urban odzyskuje należne mu miejsce w pantheonie polskiego dziennikarstwa, przyszło, podobnie jak tamte dwie historie, za późno. Zastanawiam się i niepokoję,

dłaczego nie potrafiliśmy wcześniej wydać z siebie takich odkoloryzowanych ocen. Gdzie się podziała krytyczność i zauważanie sygnałów ostrzegawczych? Na ile wciąż jesteśmy zanurzeni w fałszywej ocenie naszego czasu?

Zimny pot mnie oblewa, kiedy dociera do mnie, czy aby nie jest możliwa inna ocena Jarosława Kaczyńskiego, pisowskich mediów i prezydenckich szpagatów prawniczych. Uspokajam się jednak. Wygranie wyborów przy 70-procentowej frekwencji w niczym nie przypomina stanu wojennego. Model propagandowego skonstruowania przekazu mediów za PiS zostawił w tyle osiągnięcia dawnej propagandy. Wśród funkcjonariuszy medialnego frontu nie ma nikogo, kogo można postawić obok Jerzego Urbana. A Jarosław Kaczyński? Dobrze, że jeszcze w czasie, w którym odgrywa realną rolę w polskiej polityce, ujawniła się jego autorytarna, prowincjonalna, ograniczona technologia sprawowania władzy.

Na odczarowanie w długiej kolejce czeka jeszcze polska opowieść o ekonomii i mam nadzieję, że nadchodzi moment, kiedy w miejsce neoliberalnych dogmatyzmów, używanych do obrony najsilniejszych, pojawi się takie rozumienie ekonomii, które uwalnia jej społeczny wymiar i tym samym energię do zmiany świata, w którym żyjemy. ■

Na odczarowanie czeka w długiej kolejce polska opowieść o ekonomii.

Tadeusz Mazowiecki: sztuka stąpania po cienkim lodzie

Istniały rachunki krzywd!
Ale nie było nastroju, żeby żądać rewanżu

Rozmawia Robert Walenciak

Pięknie nam Tadeusz Mazowiecki. Z każdym rokiem patyna na jego postaci jest coraz szlachetniejsza.

– Wspomnienie o nim pokazuje nam inny wymiar polityki, zachowania na scenie publicznej. Trochę tęsknimy za czymś szlachetniejszym.

Co go ukształtowało?

– Środowisko polskiej inteligencji, w tym założycieli „Więzi”, z którymi Mazowiecki współpracował jeszcze przed 1956 r. Znałem ich. To byli ludzie reprezentujący polską inteligencję, z korzeniami przedwojennymi, często z elementem doświadczeń wojennych. To ich ukształtowało – II wojna światowa, pamięć o niej. To, że Polska może przestać istnieć. Że mogą być tak straszne zbrodnie. Że wartością ogromną, również w polityce, jest nie grać ryzykownie i za ostro. Trzeba grać, ale nie tak, żeby spowodować groźbę eksplozji, jakiejś hekatombi, zniszczenia tego, co już mamy. Nie ryzykujemy wszystkim. Cały też czas w myśleniu o polityce była obecna perspektywa tego, czego chcemy, do czego dążymy. A z drugiej strony – kosztów. Realnej oceny. W gruncie rzeczy w tym środowisku chodziło o poszerzenie granic wolności i szukania tych granic, na ile sytuacja kraju to umożliwia.

Żeby nie zaryzykować katastrofy

Trwanie na swoich pozycjach...

Mazowiecki przecież nie miał gwarancji, że dojdzie do roku 1989, do przełomu.

– Taka była perspektywa ludzi opozycji. Że nie zbudujemy łatwo

PROF. ANDRZEJ FRISZKE

– historyk, członek korespondent Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności, autor wielu publikacji na temat opozycji w PRL



Polski, jakiej chcemy, bo geopolityka nie pozwala. Staramy się jednak popularyzować nasze wyobrażenie polityki i Polski i przekonywać do niego, a sukcesem jest to, że coraz więcej ludzi też tak uważa. Że mamy projekt demokratycznej Polski i chcemy go przybliżyć. A czy on może być zrealizowany w perspektywie naszego życia? Tylko wielcy optymiści tak uważali, bo Związek Radziecki wydawał się niewzruszony. To była więc polityka raczej rozumiana tak jak w XIX w. – upominamy się o niepodległość, podejmujemy jakieś działania i one kończą się porażką. Tylko że w naszym wypadku nie kończyły się taką porażką, takimi stratami, bo nie było powstań. Istniało natomiast poczucie, że po każdym dużym kryzysie jest o krok lepiej. Po 1956 r. było dużo lepiej niż przed. Za Gierka było lepiej niż za Gomułki. Większa była przestrzeń wolności, możliwość budowania instytucji opozycji, powstał nieocenzurowany obieg

prasy... W ten sposób ukształtowano mnóstwo ludzi – że walczymy o wolność, o podmiotowość ludzi w Polsce i ostatecznie samej Polski. Że im więcej jest tej wolności w ludziach, tym i w Polsce. Stwarza to pewien nastrój, klimat. I jest perspektywa – Polski jako kraju demokratycznego, pogodzonego z sąsiadami, który chce być częścią Europy.

Charakterystyczne było to, co Mazowiecki pisał w pierwszym numerze odrodzonego „Tygodnika Solidarność”, w tekście „Wierność”. Że tworzymy podwaliny pod demokratyczną, wolną Polskę, że budujemy. To był jego nastrój z roku 1989. Uzupełnieniem był artykuł „Spiesz się powoli” z „Gazety Wyborczej”. Zalecający ostrożność.

– Ostrożność, żeby nie zaryzykować katastrofy. Bo możliwość katastrofy cały czas była realna. Żeby nie sięgać w odległe czasy, w roku 1981 było poczucie, że może nastąpić sowiecka interwencja. Gramy

więc tak, żeby nie sprowokować. Doświadczeniem są Węgry z 1956 r., Czechosłowacja z roku 1968. W roku 1989 inaczej to wszystko wyglądało, ale też było poczucie, że nie należy sprowokować kontrakcji partii, wojska, MSW. Mazowiecki z tym się liczył. Że oni mogą w pewnym momencie zrobić coś nieobliczalnego.

Mieliby sojuszników na wschodzie.

– On wiedział, że mają tam sojuszników. I chodzi nie o Gorbaczowa, ale o jego wrogów z aparatu KPZR i służb mundurowych. To tworzyło pewną sytuację. Mazowiecki w Polsce i Gorbaczow tam mieli poczucie, że potrzebują stabilizacji. To też określało politykę Polski wobec Moskwy – żeby jej nie prowokować.

Nie wszyscy w Polsce to rozumieli.

– Mazowiecki był krytykowany za to, że nie chce, nie popiera, a nawet przeciwstawia się różnym eksplozjom radości – że dokopujemy, że Lenina obsmarujemy, rozwalimy pomnik Dzierżyńskiego! Takie rzeczy Mazowieckiemu się nie podobały. On chyba nawet nie rozumiał tej potrzeby emocji, która była wśród ludzi. Bał się takiej polityki, w której emocje napędzają zachowanie.

Miał trudną sytuację. Z jednej strony, nacisk ludzi z Solidarności, żeby rozliczać. Z drugiej – aparat władzy, ludzi, którym obiecał wspólne państwo.

– Historia jest prosta, choć potem zakłamana. Solidarność od roku 1980 walczyła, i są liczne deklaracje na ten temat, żeby Polska była państwem wspólnym dla wszystkich obywateli, a nie tylko dla jednej partii – PZPR. To samo było w roku 1989. To było dążenie do tego, żeby znieść monopol! Po kilku latach, niewielu, przez bardzo ostry nurt antykomunistyczny zostało to zastąpione rozumowaniem, że należało zniszczyć PZPR, by ustanowić monopol opozycji. Ale Mazowieckiemu nigdy o nic takiego nie chodziło – żeby monopol PZPR został zastąpiony monopołem opozycji! Chodziło o to, żeby stworzyć system, w którym każdy obywatel ma prawo do samorealizacji, również politycznej.

W tekście „Wierność” pisał

o Okrągłym Stole, że to nie jest prezydent władzy dla ludu. Ale i apelował,

żeby docenić drugą stronę, bo musiała dokonać przewartościowania, przezwyciężyć opór twardogłowych.

– W tym czasie tak rozumował Mazowiecki i właściwie cały nasz obóz. A przynajmniej jego kierownictwo. Że partia, PZPR, przekroczyła Rubikon, odeszła od koncepcji obrony monopolu swojej władzy. I zaczyna się cywilizowany spór, gra polityczna, nie jesteśmy już na etapie totalizmu.

Dlatego – jak pisał – musimy nauczyć się żyć w pluralizmie.

– Nauczyć się kłócić demokratycznie, przekonywać, zawierać kompromisy, ustalać, co nas dzieli i co nas łączy. Żeby budować Polskę.

Przecież się udało!

Nie za dużo chciał?

– Przecież to się udało! Jeżeli popatrzymy na wyzwania roku 1989, 1990, 1991 – cały świat się zmieniał. To jest czas, kiedy zaczęły się jednoczyć Niemcy, rozpadł się cały blok wschodni, nastąpił rozpad Związku Radzieckiego. Polska musiała zatem ułożyć swoje stosunki i z Rosją, i z Litwą, Ukrainą, Białorusią. W sensie politycznym II wojna światowa skończyła się tym, że Sowieci narzucili nam nowe granice – na Odrze i Nysie, i na Bugu. Po 45 latach trzeba było z tym się ułożyć i to zaakceptować już nie pod przymusem, ale dobrowolnie. Dzięki Bogu, po drodze był Giedroyc i elity opozycyjne nie miały wątpliwości, że granice są nienaruszalne. Ale społeczeństwo w swojej masie? Tego nie było wiadomo. Mazowiecki tego się bał! Że jak to wszystko się otworzy, to wyjdzie fala rewindykacji i odreagowywania emocji – na Moskwę, na Sowieć. Że nie zapanujemy nad tym. I emocjonalna fala, że wracamy do Lwowa, do Wilna... Mogło tak być?

Mogło.

– Na szczęście ośrodki opinii publicznej, media, narzuciły w tym czasie pewien ton, język, horyzont. Wracamy do tego, o czym już mówiliśmy – że na wcześniejszych etapach, kiedy jeszcze nie było szans na odzyskanie suwerenności, miało miejsce wychowywanie opozycyjnych elit. Ukształtowano je tak, że

one wiedziały, co jest ważne, a co nie, co można podnosić, a czego podnosić nie należy, bo to zaszkodzi wszystkim. Nie mieliśmy więc eksplozji nacjonalizmu, żądań rewindykacji terytorialnych, pretensji do sąsiadów...

I wiedzieliśmy, że chcemy iść do Europy Zachodniej.

– Jak się słucha tych prawników, którzy dziś są w PiS i wypowiadają się na temat Europy – to ogarnia zdumienie, że można takie głupoty mówić. Na szczęście wtedy byli marginesem. Ale gdyby wówczas zdołali obalić układ postokrugłostołowy, to nie wiadomo, w jakiej sytuacji byśmy się znaleźli. Jak łatwo poszczuć na Niemcy, widzimy dzisiaj. Na szczęście nikomu wtedy do głowy to nie przychodziło. I chyba nie dałoby się w taki sposób jak teraz, bo wtedy Kościół był gdzie indziej, dbał o stosunki z Niemcami. A prawica liczyła się z Kościołem.

A Kościół z Mazowieckim.

– To jest mało przypomniane, a to ważny moment. Otóż na przełomie 1986 i 1987 r. Mazowiecki wyjechał na Zachód po pięciu latach blokowania mu paszportu. Przebywał tam dłuższy czas i odbył wiele rozmów. Wśród osób, z którymi rozmawiał, byli prezydent Niemiec Richard von Weizsäcker, przewodniczący Komisji Europejskiej Jacques Delors... Miał też długie rozmowy z papieżem w Rzymie, przed jego wizytą w Polsce. O czym te rozmowy mogły być? Wiadomo, o polityce. Co jest istotne, a co nie... To o tyle istotne, że później świat zewnętrzny wiedział, kto to jest Mazowiecki. A on też wiedział, jaki jest horyzont świata. W jakiej rzeczywistości Polska się znajduje.

Moskwa z kolei zaraz po jego wyborze na premiera wysłała do Warszawy Władimira Kriuczkowa, szefa KGB. Kriuczkow przyleciał do Warszawy w zasadzie bez zapowiedzi. Mazowiecki go przyjął. Po rozmowach Kiszczak pytał Kriuczkowa o wrażenia ze spotkania. Usłyszał w odpowiedzi: „Mądry pan”. Mazowiecki miał umiejętność mówienia twardych rzeczy miękkim tonem.

– On tę rozmowę wspominał. Mówił Kriuczkowowi, że Polska dotrzyma sojusznicznych zobowiązań, nie ▶

► będzie tu rewolucji. Za to my chcemy mieć wolność kształtowania rzeczywistości takiej, jaką uważamy za stosowną. Taka formuła w czasach przedgorbaczowowskich byłaby dla ZSRR absolutnie nie do przyjęcia. W roku 1981 nikt nie mógł czegoś takiego powiedzieć ludziom z Moskwy. Ale w roku 1989 – była do przyjęcia.

Don Kichot jedzie do URM

Patrzmy na tamtą sytuację z dzisiejszej perspektywy. Mazowiecki, kiedy wchodził do budynku URM, wkraczał w nieznane. Nie wiedział, jak będą funkcjonować służby mundurowe, jak zachowa się Moskwa...

– I jak zachowa się PZPR. Rakowski w dziennikach zapisał, jak jeździł do Gorbaczowa i namawiał go na większą nieustępliwość wobec rządu w Polsce. To wszystko było wielkim wyzwaniem. Nie bez przyczyny Mazowiecki zaraz po wyborze na premiera, zanim się udał do URM, przyjechał do redakcji „Więzi” i zabrał ze sobą rysunek przedstawiający Don Kichota. To jest symboliczne. Miał poczucie, że trochę jak Don Kichot idzie walczyć z wiatrakami. Ale jednocześnie miał poczucie, że trzeba podjąć wyzwanie i to nie musi źle się zakończyć.

Teresie Torąńskiej mówił, że był absolutnie pewien, że mu się uda.

– Rozumiał zagrożenia, wiedział, że trzeba postępować krok po kroku, zmiana nie może nastąpić nagle. Chociaż! Jeżeli mówimy o gwałtownych zmianach, to jest nią reforma ekonomiczna przyjęta pod koniec roku 1989. Tyle że trzeba ją odnieść do gospodarczej klęski, jaka wówczas panowała.

Do tamtych czasów i do tamtych oczekiwań.

– A tego się nie pamięta. Inflacja 400%! Załamanie rynku i sytuacji finansowej państwa. To, jak postępowała reforma, różne jej etapy i fazy, za łatwo się zlewa. Prywatyzacja miała miejsce później, od 1991 r. Pierwszy okres, kiedy mówimy o rządzie Mazowieckiego, to przede wszystkim walka z inflacją, zduszanie jej. Oraz nawiązanie kontaktów z instytucjami świata zachodniego. Żeby uzyskać wsparcie.

W artykule „Spiesz się powoli” Mazowiecki pisał, że obóz solidarnościowy nie jest przygotowany do przejęcia władzy. Nie ma programu ani kadr. A parę tygodni później zdecydował się na rządzenie. Jak to sobie wyobrażał? Że wyjmie najlepsze kadry poprzedniej ekipy?

– Dlaczego „wyjmie”? Przyjął założenie, może optymistyczne, że ludzie są w większości przyzwyczajeni i w związku z tym, jeżeli budujemy Polskę demokratyczną, to oni będą ją budować razem z nami. A nie, że będziemy te kadry – mówimy o różnych dyrektorach departamentów – prześladować i wyrzucać. No nie! Oferuje się współpracę w dziele reperowania Polski i budowy państwa demokratycznego, a na początek zakłada się, że ci ludzie będą lojalni. I zdecydowana

Mazowiecki dbał o kulturę polityczną. O to, że nie przekracza się pewnych granic, nie używa pewnych słów, nie niszczy człowieka, z którym ma się spór.

większość była lojalna. A te późniejsze namiętności, że trzeba lustrować, wyrzucać, dekomunizować... W tamtym czasie, jesienią 1989 r., takiego czegoś w ogóle nie było. Myślano raczej, że trzeba budować zaplecze dla demokratycznej Polski. Czyli trzeba przyciągać ludzi różnych, nawet jeżeli ich nie lubimy, byliśmy po przeciwnej stronie. A istniały rachunki krzywd! Ale nie było nastroju rewanzu.

Nie należało szukać odwetu

Miał powód do rewanzu! Był internowany, inwigilowany.

– Siedział rok – od 13 grudnia 1981 r. do grudnia 1982 r. Ale byłoby strasznie niskie, gdyby chciał się odgrywać. Bo jak? Tego komendanta obozu miałby represjonować? Czy Jacek Kuroń, któremu przez dziesięciolecie niszczone życie, miał teraz ścigać esbeków, którzy go zamykali w areszcie, robili podczas rewizji kipisz w domu, podsłuchiwali 24 godziny na dobę? Istniał pewien standard zachowania, nie należało szukać odwetu ani obnosić własnych krzywd. Potem to się zmieniło, w ramach wojny na górze.

Rozmawiałem z nim na ten temat. Nie lubił spraw lustracyjnych, teczkowych. Nie lubił opowieści na ten temat. Natomiast był element, który – jak sam wspominał – bardzo go poruszył. Gdy dostał na biurko materiały dotyczące Grzesia Przemyska. Po ich przeczytaniu powiedział, że już nie może współpracować z Kiszczakiem.

Bo miał czarno na białym, że to Kiszczak sterował śledztwem, by oskarżyć o pobicie załogę karetki.

– Żeby za tę zbrodnię odpowiedzieli ludzie, którzy nie mieli z tym nic wspólnego. Mazowiecki tym się różnił od Adama Michnika, który uwodził liderów PZPR, że dystansu nie skracał. Był chłodny, nie było w nim chęci zbliżenia. Ale było poczucie, że budujemy wspólną Polskę. A najważniejsze są zasady, na jakich

ją budujemy. Czyli on by nie budował Polski jakiegokolwiek. Nie budowałby Polski monopartyjnej. To było coś, o czym dziś rzadko się mówi, a u niego to było częste – dbałość o kulturę polityczną. Że nie przekracza się pewnych granic, nie używa pewnych słów, nie niszczy człowieka, z którym ma się spór.

Mazowiecki nie był człowiekiem agresywnych zachowań. Cały czas tkwiła w nim pamięć wojny, zburzonej Europy. Dlatego, gdy rozsympyal się porządek jałtański, uważał, że trzeba go zastąpić Europą pokoju, współpracy i poszanowania reguł. Te ramy określają jego różne reakcje. Miał świadomość, że destabilizacja może być szalenie groźna dla kraju. Że można stracić kontrolę nad rozwojem wydarzeń i to może doprowadzić do groźnych rzeczy.

„Stąpałem po cienkim lodzie”, mówił. Szedł pierwszy, w nieznane.

– Jeżeli sobie to uświadomimy, łatwiej zrozumiemy, że takie elementy jak walka polityczna naprawdę nie były najważniejsze w tamtym czasie. Wszystko jedno, czy mówimy o ludziach z PZPR, potem SdRP, czy z własnego obozu. Mazowiecki

z Jaruzelskim... Rozmawiałem z nim o tym. Niezależnie od tego, co myślał o Jaruzelskim jako twórcy 13 grudnia, stanu wojennego – a źle o tym myślał – akcentował to, że Jaruzelski był lojalny w przemianach 1989 r., także wobec rządu Mazowieckiego i niego jako premiera. Nie utrudniał, wspierał to, co rząd postanowił, a co demontowało system monopartyjny, władzę PZPR. W relacjach międzynarodowych zaś pomagał. I właściwie to wyczerpuje problem.

Gdy Jaruzelski nawiązywał w rozmowach do 13 grudnia, odpowiadał mu: „Odlóżmy to na bok”. Choć, jak mi się wydaje na podstawie późniejszych z nim rozmów, nie pogodził się ze stanem wojennym, ale bardziej rozumiał sytuację gen. Jaruzelskiego.

– My wszyscy, ale różnie, i Adam Michnik, i Karol Modzelewski, i Mazowiecki, i ja, widzimy tę komplikację. Ujawniono dokumenty, na podstawie których widać było, co Moskwa, co ten beton szykowały. Sytuacja narastała na zasadzie: wóz albo przewóz. System monopolu musiał być demontowany, musiała być otwierana droga do wielopartyjności, ale to oznaczało koniec systemu monopartii i dominacji ZSRR, a na to Moskwa się nie godziła i ludzie PZPR się nie godzili, a Zachód nie zamierzał popierać tak wielkich zmian. Oczywiście trudno usprawiedliwiać postępowanie władz, ale też trudno je całkowicie potępić. I stoimy tak trochę niepewni, szukając śladów tego, co mogło prowadzić do kompromisu. Ale bez twardych zarzutów, że zdrada... Waldemar Kuczyński uważa, że Jaruzelski nie miał wyjścia, inaczej by nas wszystkich pozabijali. **Pozabijaliby. Wy też nie mieliście wyjścia. Pakt Trzech, który proponował Jaruzelski, z punktu widzenia Solidarności był kapitulacją.**

– Gdybyśmy go przyjęli, Solidarność zostałaby włączona w system, skompromitowana, rozbita. Gorzej! Wątpię wszedłby do obozu władzy na zasadzie takiego ZSL i musiałby się odciąć od tzw. ekstremy, akceptować aresztowanie Michnika, Kuronia, Gwiazdy, Rulewskiego... Akceptować procesy polityczne. To by się tak skończyło. Wszystko uległoby kompletnemu zniszczeniu.

To jest jego antyteza

W ostatnim okresie życia Mazowiecki był bardzo krytyczny wobec PiS.

– Jak miał nie być krytyczny wobec PiS? Przecież to wszystko, co robił Jarosław Kaczyński, było jego antytezą. Właściwie od początku, bo trzeba sięgnąć do listopada 1989 r., kiedy odebrał stworzony przez Mazowieckiego „Tygodnik Solidarność” i uczynił z niego antytygodnik. O całkowicie innym przestaniu, innym systemie wartości, z całkowicie innym zespołem ludzi.

Tu ma pan pluralizm, współrzędzenie, pojednanie, a tam dzielenie, szukanie wroga, układu, rozliczenia.

– I wojnę wewnętrzną, kiedy sytuacja kraju i ogrom wyzwań wymagały budowania poczucia jedności. To całkowicie przeciwny projekt. Po tamtej stronie jest wyłącznie gra na rozbięcie, na konflikt, na pokonanie i eliminację przeciwnika, a nie na kompromis. Kaczyński jasno to mówił, że zmierza do obalenia rządów elit. Czyli Mazowieckiego, Geremka, Michnika... Konflikt był więc od początku. A po Smoleńsku przeszedł w nową, dramatyczną fazę – otwartej walki przeciwko istnjącemu państwu przy użyciu bardzo daleko idących oskarżeń. Mazowiecki to zdiagnozował jako rokosz. On to miał przemyślane. „To jest rokosz – mówił – który uderza w państwo,

w jego instytucje, w zaufanie do państwa”.

Uderza w państwo, które on zbudował.

– Któreśmy wszyscy zbudowali. Nie ma innego. I to państwo jest brutalnie atakowane. Kaczyński negocjował Komorowskiego jako prezydenta i go bojkotował. Odmawiał uznania istniejących władz jako prawowitych. A gdy zdobył władzę, odrzucił wszystko, co było wcześniej. Jest program nauki w szkołach, w którym III RP została nazwana epoką postkomunizmu. Czyli do roku 1989 mieliśmy komunizm, a od 1989 do 2015 panowała epoka postkomunizmu. To nie była niepodległość, to nie było państwo polskie, tylko jakiś dziwny twór. To jest haniebne!

Oni chcieliby III RP wyrzucić z pamięci Polaków, tak jak PRL w czasach stalinowskich chciała wyrzucić z naszej pamięci Polskę przedwojenną.

– Wykreślili nie tylko PRL, ale też całą opozycję. Tam nie ma roku 1956, nie ma Kuronia, Modzelewskiego... W podręczniku Roszkowskiego do historii i tezańszkości jest mnóstwo o Kościele, a nie ma ani słowa o „Tygodniku Powszechnym”, nie ma listu biskupów polskich do niemieckich... Państwa podziemnego, okupacyjnego jest mało, rząd w Londynie pojawia się na marginesie. Tam nie ma pozytywnych punktów odniesienia, prócz prymitywnego katolicyzmu powiązanego z nacjonalizmem. Centralny jest kult „żołnierzy wyklętych”. Ale anonimowych, to pozwala nie mówić o dylematach, dramatach wyboru.

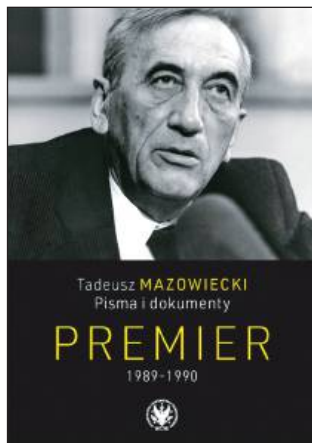
Chcieliby Polski tylko dla siebie. Z demokracją rozpiętą między Ziobrą a Gowinem.

– Do pewnego momentu. Do finału obrazującego kulturę polityczną, która przyszła, kiedy postów Gowina nachalnie przekupiono i jednym ruchem zniszczono jego partię. Kaczyński zdemoralizował tych ludzi absolutnie. Przekupstwo, szantaż, to jest coś niebywałego!

Antypody Mazowieckiego.

– Nie dożył takich ekstremizmów, jakie oglądaliśmy po roku 2015. W pewnym sensie na szczęście.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Tadeusz Mazowiecki. Pisma i dokumenty. Premier 1989-1990, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2023



KONIEC DZIADOCENU

Reakcje na tekst Marcina Kąckiego i konsekwencje tej publikacji pokazują, że na przemoc i pobłażanie jej sprawcom nie ma już miejsca

Anna Stachowiak

Kiedy 5 stycznia br. w internetowym serwisie „Gazety Wyborczej” ukazało się „Moje dziennikarstwo – alkohol, nieudane terapie, kobiety źle kochane, zaniedbane córki i strach przed świtem” autorstwa cenionego reportera, autora książek i wykładowcy Polskiej Szkoły Reportażu Marcina Kąckiego, w komentarzach początkowo dominował zachwyt. Tekst miał być – i tak był reklamowany – „spowiedzią” autora i jego rozliczeniem z przeszłością oraz kosztami, jakie poniosł jako dziennikarz opisujący sprawy przemocy seksualnej i inne głośne w ostatnich latach w Polsce. Wielu kolegów i koleżanek po piórze gratulowało go Kąckiemu, łącznie z wicenaczelną „GW” Aleksandrą Sobczak, która polecała tekst w newsletterze. Podkreślała,

że czytając go kilkakrotnie, płakała, a poza tym żałuje, że nie jest on książką. Doceniano szczerość i odwagę autora, który napisał, że jego „dziennikarstwo nie było bezkarne”. Były w nim bowiem rozbite związki, porzucone córki, morze alkoholu oraz „kobiety źle kochane”. I „strach przed świtem”.

Wkrótce jednak pojawiły się głosy krytyczne, głównie kobiece; przeważały wśród nich opinie aktywistek, dziennikarek i naukowczyń, traktujących ten tekst jako nie tyle rozliczenie się z trudną przeszłością i przyznanie do błędów, ile pełną dezynwoltury opowieść o przemoc, której Kącki miał być sprawcą, i o krzywdzie, którą miał wyrządzać zarówno bliskim (partnerkom, matkom jego dzieci, tym dzieciom), jak i dziesiątkom kobiet po drodze. To te „źle kochane”.

Piszące i piszący zwracali uwagę, że jeśli Kącki chciał „Moim

dziennikarstwem” rozliczyć się z przeszłością, poprosić o wybaczenie i ruszyć naprzód, plan zupełnie się nie powiódł. Artykułem tym naruszył prywatność nie tylko swoich dzieci i byłych partnerek, ale także innych kobiet. W dodatku było to przyznanie się do co najmniej molestowania. Utrzymane w tonie przechwałek historie, jak to kobiety mówiły mu „nie” i zamykały się w łazience, a on i tak dopinał swego, np. wspinając się po rynnach, były nie romantyczną opowieścią, ale właśnie zapisem naruszania granic i molestowania.

Mężczy mnie manipulacja i usprawiedliwianie się

Kiedy głos zabrała dziennikarka Karolina Rogaska, stało się jasne, że sprawa ma drugie, a może i trzecie oraz kolejne dno, i nie chodzi jedynie o naruszenie granic dobrego

smaku i kolejną inbę w internecie, która za chwilę przycichnie.

„Dla mnie, a JESTEM JEDNĄ Z OFIAR, NIE JEST WSZYSTKO W PORZĄDKU. Męczy mnie ta manipulacja, usprawiedliwianie swoich złych zachowań swoimi przeżyciami: robiłem źle, ale życie mnie źle potraktowało”, napisała w mediach społecznościowych Rogaska. W długim wpisie zaznaczyła, że „nie może już milczeć, choć wie, że może się to wiązać z linczem”, bo wiadomo, „jak się traktuje ofiary”. „Bijącym

To nie jest odoosobniony przypadek. Jak wynika z raportu Instytutu Zamenhofa, aż 82% przypadków molestowania seksualnego dziennikarek pozostaje nieujawnionych i nie jest zgłaszanych przełożonym/pracodawcy. Z molestowaniem w pracy zetknęło się zaś 59% dziennikarek.

#MeToo, czyli #JaTeż

Ruch #MeToo rozpoczął się w 2017 r. w Hollywood; początkowo był to hashtag, którego użyła aktorka

zagraża „swobodzie uwodzenia kobiet” przez mężczyzn i zachęca do „nowego purytyzmu”. Autorki listu zaznaczały różnicę między przemocą seksualną a flirtem, podrywaniem, nawet jeśli odbywa się ono „nieporadnie lub w sposób ordynarny”.

„Uzasadniony protest przeciwko przemocy seksualnej, której ofiarami są kobiety, przerodził się w polowanie na czarownice”, pisały, dodając: „Jako kobiety nie godzimy się na feminizm, który poza potępieniem nadużyć zyskuje twarz nienawiści do mężczyzn i seksualności”.

Włoska aktorka Asia Argento, jedna z kobiet, które oskarżyły Harveya Weinsteina o napaść na tle seksualnym, kontrowała: „Deneuve i inne

kobiety podpisane pod tym listem mówią światu, jak ich wewnętrzna mizoginia doprowadziła je do punktu, z którego nie ma powrotu”.

Takich głosów jak ten oburzonych Francuzek nie brakowało i w Polsce, gdzie o #MeToo wprawdzie pisało się sporo, ale raczej w kontekście rewolucji dziejącej się gdzieś indziej. Argumenty, których wtedy

Jak wynika z raportu Instytutu Zamenhofa, aż 82% przypadków molestowania seksualnego dziennikarek pozostaje nieujawnionych.

Kąckiemu brawo” wytknęła, że nie zastanawiają się, co z tymi dzieśiátkami ofiar, które autor wymienia, a jemu samemu hipokryzję: „Marcin, skoro byłeś tak szczery w swoim tekście, dlaczego nie napisałeś wprost, co zrobiłeś mi i innym dziewczynom? Czemu nie napisałeś, że moje wielokrotne NIE potraktowałeś jak niebyłe, czemu nie padło, jak rzuciłeś do mnie, że »teraz odmawiasz, a po trzydziestce nie będziesz już tak wybrzydzać i będziesz ruchać się jak popadnie«? Jak za stosowne uznałeś rozebranie się i masturbację mimo mojego ewidentnego przerażenia? Obrzydliwe zachowanie. OBRZYDLIWE. Przepraszam za dosłowność, ale już nie mam siły na półśłówka”.

Wówczas okazało się, że Polska Szkoła Reportażu, której Rogaska jest absolwentką, już kilka tygodni wcześniej powzięła wiedzę o tym, że dziennikarka została skrzywdzona przez Kąckiego, co spowodowało odsunięcie go od pracy ze studentami i studentkami oraz podjęcie innych czynności mających na celu wyjaśnienie sprawy. „GW” poinformowała, że zawiesiła dziennikarza, później ukazały się przeprosiny za publikację, a ostatecznie tekst usunięto z sieci. Głównie dlatego, że potraktowano go jako to, czym prawdopodobnie był – ruch uprzedzający ze strony Kąckiego, który musiał wiedzieć, że ktoś gdzieś zgłosił jego zachowanie.

Alyssa Milano po publikacji w „New York Timesie” opisującej przypadki molestowania, którego przez wiele lat dopuszczał się producent filmowy Harvey Weinstein. Wówczas ruszyła lawina, hashtag #metoo, czyli #jateż, został użyty miliony razy, kolejne kobiety opowiadały o tym, co je spotkało ze strony przełożonych i współpracowników, często

Z molestowaniem w pracy zetknęło się 59% dziennikarek.

reżyserów, aktorów czy dziennikarzy. Rację miała Alyssa Milano, pisząc, że „jeśli każda kobieta, która doświadczyła molestowania lub napaści seksualnej, napisze w swoim statusie MeToo, może uda się ludziom pokazać ogrom problemu”. Udało się, a skala okazała się szokująca. #MeToo rozlało się na inne kraje, przy czym nie wszędzie spotkało się z takim samym zrozumieniem i empatią.

Głośnym echem odbił się list otwarty, podpisany we Francji przez sto prominentnych kobiet, w tym ikonę kina europejskiego Catherine Deneuve. Sygnatariuszki twierdziły, że akcja #MeToo stworzyła „totalitarny klimat”, który jest zagrożeniem dla wolności seksualnej, niesprawiedliwie karząc mężczyzn za „flirtowanie”, kobiety zaś infantylizując. Przekonywały, że „ślepa gorliwość”, do przebudzenia której doprowadził skandal z Harveyem Weinsteinem,

używano, wciąż pojawiają się w dyskusjach wokół zmiany definicji gwałtu, niezbędnej zdaniem aktywistek zajmujących się prawami kobiet oraz przeciwdziałaniem przemocy, w tym seksualnej.

Tylko tak znaczy tak

O zmianę od lat apeluje m.in. Lewica, jest nawet gotowy projekt. Amnesty International zwraca przy tym uwagę, że państwa, które podpisały konwencję stambulską, są do tego kroku zobowiązane. Dotychczas definicję gwałtu na taką, która jest oparta na braku zgody, wprowadziło 17 krajów w Europie. Amnesty International, podobnie jak aktywistki, przypomina, iż „obecny porządek prawny w Polsce przyczynia się do tego, że tylko niewielki procent kobiet doświadczających niechcianych zachowań seksualnych ▶

► zgłasza się na policję”. Ten „porządek prawny” to po prostu definiowanie gwałtu w kontekście oporu ofiary i używania przemocy lub podstępny przez sprawcę; organy, w tym

czy dozą rozbawienia. Nikt tak naprawdę nie wierzył, że coś się zmieni. Jednak z czasem na jaw zaczęły wychodzić kolejne afery, a niekiedy przestępstwa. Niedawno media opi-

Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie Jagiellońskim. „Siedem byłych oraz obecnych studentek i doktorantek oskarżyło znanego językoznawcę, profesora i do zeszłego roku honorowego przewodniczącego Rady Języka Polskiego o molestowanie seksualne”, opisywała sprawę „Gazeta Wyborcza”. Pod koniec października światło dzienne ujrzały kulisy działań polskich youtuberów, m.in. Stuarta „Stuu” Kluz-Burtona, Marcina Dubiela i Michała „Boxdela” Barona. „Stuu” miał pisać wiadomości o charakterze erotycznym do fanek w wieku 12 i 14 lat. Ujawnienie jego zachowań doprowadziło do zatrzymania go przez policję.

Jeszcze kilka lat temu o „takich sprawach” mówiło się albo wyłącznie szeptem, albo wcale, uznając, że tak po prostu jest, że to część „kultury pracy”. Kobiety, które nie godziły się na takie zachowania, były albo nakłaniane do milczenia, albo traktowane jak przewrażliwione wariatki,

Z molestowaniem w pracy zetknęło się 59% dziennikarek.

policja, prokuratura i sądy, stoją na stanowisku, że skoro nie było przemocy fizycznej, a ofiara się nie broniła, przestępstwa nie było. Widać to w statystykach. Zmiana definicji gwałtu wyeliminowałaby tę lukę, choć przeciwnicy nowego podejścia twierdzą z przekąsem, że w takiej sytuacji trzeba by spisywać kontrakt przed pójściem do łóżka. To znowu trywializowanie przemocy, a przede wszystkim jej ofiar. Bo dziś nikt nie interesuje się tym, że kobieta mówiła „nie”. Skoro nie stawiała czynnego oporu, gwałtu nie było.

W tym sensie ruch #MeToo jest nie do przecenienia, ponieważ, jak pisała Agata Adamiecka-Sitek na łamach „Krytyki Politycznej” w 2021 r., „zmienił warunki widzialności przemocy wobec kobiet. Uświadomił nam, że nie jest to kwestia pojedynczych zdarzeń, ale całej kultury – kultury patriarchalnej przemocy. Eksplozja #MeToo oświeciła pewną część domyślnych ustawień systemu społecznego i sprawiła, że to, co dotąd pozbawione znaczenia i niemo akceptowane, stało się ważne, widoczne i niedopuszczalne”. Dodała, że „ruch #MeToo uruchomił zbiorowe procesy uzdrawiania i transformacji także dzięki temu, że doprowadził do zniesienia bezkarności sprawców, dając poszkodowanym nadzieję na sprawiedliwość i sprawczość. Skoro Harvey Weinstein został skazany na 23 lata więzienia, nikt, kto dopuszcza się przemocy seksualnej, niezależnie od tego, jak byłby wpływowy i bogaty, nie może się czuć nietykalny”.

Polska

W Polsce, tak dobrze ukorzenionej w patriarchacie i tak bardzo „tradycyjnej”, długo było inaczej. O #MeToo, poza niektórymi środowiskami feministycznymi i lewicowymi, mówiło się raczej z politowaniem

sywały sprawę Pawła Siennickiego, byłego redaktora naczelnego „Polska The Times”, który, jak opowiadała jego była partnerka, matka jego dziecka (wchodząc w związek z nią, mężczyzna był żonaty), prześladował ją. Groził, straszył, wyzywał i poniżał. Jej zeznania były szokujące, podobnie jak te byłej partnerki gwiazdy TVP Michała Adamczyka. Miał on stosować brutalną przemoc fizyczną i psychiczną wobec swojej partnerki. Na jaw wyszły również praktyki, jakie wobec podwładnych miał stosować Tomasz Lis, były naczelny „Newsweeka”, o czym zresztą w branży mówiło się od lat. Po cichu.

Policja, prokuratura i sądy stoją na stanowisku, że skoro nie było przemocy fizycznej, a ofiara się nie broniła, do przestępstwa nie doszło.

Wcześniej, w marcu 2021 r., środowiskiem aktorskim wstrząsnęły oskarżenia Anny Paligi, absolwentki łódzkiej Szkoły Filmowej. Paliga mówiła o nadużyciach i przemocy stosowanej wobec studentów i studentek przez pedagogów, m.in. Mariusza Grzegorzka, byłego rektora. „Byliśmy przyzwyczajani do tego, że tak musi być, że to jest normalne. Studenci przekazują sobie informacje o tym, że ten profesor jest taki i robi to, i trzeba uważać na to i to. I wydaje mi się, że jak dostaje się takie instrukcje od kogoś, kto już coś przeżył, to zamiast reagować na niepokojące sytuacje, traktujesz tę wiedzę jak jakiś system radzenia sobie z rzeczywistością”, opowiadała Anna Paliga w książce Karoliny Korwin Piotrowskiej „Wszyscy wiedzieli”. O swoich doświadczeniach mówiły potem Maria Dębska, Weronika Rosati czy Joanna Koroniewska.

W 2022 r. pojawiły się publikacje dotyczące przemocy seksualnej na

którym „brakuje dystansu” (to stały argument, kiedy ktoś wyraża obrzydzenie z powodu seksistowskiego żartu czy zachowania). Mówiono im, że nie mają poczucia humoru, że powinni wyluzować, a przede wszystkim, że nikt im nie uwierzy. Fakt, wciąż nie wierzy się ofiarom, ale to też się zmienia, a tekst Kąckiego i oburzenie, jakie wywołał, pokazują, że coraz mniej jest miejsca na relatywizowanie przemocy i nazywanie jej „ordynarnym podrywaniem” lub flirtem. Czasy, kiedy bohaterem był mizogin Charles Bukowski czy jego fikcyjny naśladowca Hank Moody z „Californication”, minęły. Jak pisała w 2020 r. na łamach „Wysokich Obcasów” Agnieszka Graff, „czas zbudować Muzeum Dziadocenu. Nadeszło pokolenie, które nie ma najmniejszego zamiaru obsługiwać mężczyzn”. Naprawdę – najwyższy czas.

Anna Stachowiak



JEDNA:
EWA ŁĘTOWSKA
TROJE:
JAN ORDYŃSKI
DOMINIKA RAFALSKA
PAWEŁ SĘKOWSKI

JA JESTEM STAŁOCIEPLNA

Fragmenty obszernego wywiadu, który w całości można przeczytać w nr. 4/2023 „Zdania” – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl

PAWEŁ SĘKOWSKI: (...) A co pani myślała o Solidarności w latach 1980-1981?

EWA ŁĘTOWSKA: – Szczerze? Nie podobała mi się retoryka Solidarności.

SĘKOWSKI: Czy chodzi o to, że była zbyt „kościelna”, czy że za bardzo roszczeniowa?

ŁĘTOWSKA: – Nie o to chodziło. Dla mnie to była taka, za przeproszeniem, „gęba rusznica”. Dużo gadania, mało treści. To był dla mnie problem.

SĘKOWSKI: Rozumiem, że Lech Wałęsa pani nie przekonywał?

ŁĘTOWSKA: – Może tak naprawdę o to chodzi. Ja byłam zawsze dosyć wyczulona na język, na sposób przekazu. I mnie ten brak ogłady językowej Wałęsy bardzo raził.

JAN ORDYŃSKI: Ale byli tam przecież również tacy ludzie jak Adam Michnik czy Karol Modzelewski.

ŁĘTOWSKA: – To zupełnie co innego, oczywiście. Ja z Modzelewskim miałam później bardzo dobry kontakt. Tylko że w 1981 r. go nie znałam.

SĘKOWSKI: A jak pani odebrała wprowadzenie stanu wojennego?

ŁĘTOWSKA: – Ponuro.

SĘKOWSKI: Czy myślała pani profesor wtedy, że nie ma innej opcji, że to jest jakaś racja stanu, zło konieczne, wobec anarchii w życiu wewnętrznym i groźby interwencji radzieckiej? Czy wręcz przeciwnie: że jest to

rozpacзлиwa „obrona przez atak” przed Solidarnością i kurczowe trzymanie się władzy?

ŁĘTOWSKA: – Miałam strasznie mało informacji. A ja mam zawsze tak, że jak mam za mało informacji, to nie wiem, po prostu nic nie sędzę. Dalej trwam na tym stanowisku, choćby mnie liczni znajomi zachęcali do poparcia jakiejś sprawy.

SĘKOWSKI: Rozumiem, że jest pani profesor odporna na myślenie stadne: „nasi” – „nie nasi”. Nie chce pani uzależniać od tego czynnika swojej opinii w różnych sprawach.

ŁĘTOWSKA: – I teraz pan sobie odpowiedział na pytanie, które pan mi wcześniej zadał. Natomiast oczywiście stan wojenny to było bardzo opresyjne doświadczenie, okropne. Człowiek siedział, nie było zajęć.

SĘKOWSKI: Skoro pani nie zajęła stanowiska wobec stanu wojennego, to oznacza, że pani nie była ani tych, ani tamtych...

ŁĘTOWSKA: – Powiedział pan coś, z czym wiąże się pewna sytuacja z przeszłości. Kiedyś było to nawet zabawne. Dwóch profesorów: Andrzej Stelmachowski i Zygmunt Ziemiński, siedzi, patrzy na mnie i w pewnym momencie Ziemiński mówi: „Aleś ty, Ewuniu, to tak ani to z pierza, ani z mięsa”. Trochę się tym zmartwiłam, bo pomyślałam, że chyba coś jest ze mną niedobrze. To był ten podtekst, który wyczuwam też w pańskich pytaniach. Ale później pomyślałam sobie, że to jest nie całkiem tak. Ja jestem stałocieplna. To znaczy, że niezbyt na mnie wpływa otoczenie, a i niespecjalnie się garnę do stada. (...)

DOMINIKA RAFALSKA: W 1987 r. zostaje pani rzecznikiem praw obywatelskich. Buduje pani profesor ten urząd od zera. Wciąż jeszcze mamy PRL. Jaka była pani motywacja do objęcia tej funkcji?

► **ŁĘTOWSKA:** – Mnie zawsze napędzało działanie w tym kierunku, żeby u nas też było porządnie. Żeby prawo funkcjonowało tak jak na zachodzie Europy (no wiem, że to założenie idealizujące). Żeby to wszystko, o czym mówimy teoretycznie, było traktowane na serio. W gruncie rzeczy, jak mnie pytacie o te moje motywacje, ja miałam cały czas takie uczucie, że to wszystko w PRL jest takie nie na serio. Wszystko to jest czcza gadanina. I to mi przeszkadzało.

ORDYŃSKI: A jak się pani dowiedziała, że ma zostać rzecznikiem praw obywatelskich? Kto to wymyślił?

ŁĘTOWSKA: – Prawda jest trywialna. Mianowicie wyjechałam na stypendium, chyba na miesiąc, do RFN (tak wtedy mówiono na Niemcy Zachodnie). Już była ustawa o rzeczniku praw obywatelskich, bo ona została przyjęta w lipcu 1987 r. Termin powołania rzecznika mijał w grudniu – chodziło o to, żeby od nowego roku, od 1988, ten urząd zaczął funkcjonować. Zresztą materiały dla przyszłego rzecznika zbierano już od lipca, co oznaczało, że ktokolwiek nim będzie, miał dostać od razu na przywitanie pokój zawałony papierami. W tym okresie ludzie z Instytutu Nauk Prawnych PAN poszli pewnego razu na obiad. Był tam prof. Mariusz Gulczyński, mocno wtedy związany PRON, był chyba prof. [Adam] Łopatka, no i był mój mąż, w tamtym czasie już profesor i zastępca dyrektora INP. I oni tak sobie siedzieli i rozmawiali. Jeden mówi: „O rany, trzeba kogoś wystawić, nie wiadomo kogo, ale chcę, żeby to była kobieta”.

RAFALSKA: Na pierwszy rzut oka nowocześnie...

ŁĘTOWSKA: – Nie tak całkiem nowocześnie. Chodziło nie o równouprawnienie, ale o manipulację. Zresztą władza tego specjalnie nie kryła: jak będzie baba, to łatwiej się zmanipuluje. Nie będzie się specjalnie znała, da się jej gabinet, samochód, pojeździ sobie...

No więc w trakcie tej rozmowy w pewnym momencie odzywa się mój mąż: „Tak piłujecie, piłujecie, to Ewę weźcie, akurat zajmuje się ochroną konsumenta”. Ja się wtedy właśnie tym zajmowałam. Do tego niepartyjna. Oni zaczęli kombinować: a może to jest myśl. I to dosłownie w ten sposób zakiełkowało.

SEKOWSKI: A mąż powiedział to na serio?

ŁĘTOWSKA: – Jak go znałam, to raczej sędzę, że kpiarsko.

ORDYŃSKI: W każdym razie doszło to do gen. Jaruzelskiego.

ŁĘTOWSKA: – Widać doszło, nie wiem zresztą do kogo. Ja byłam wtedy w Hamburgu i dostaję telefon z ambasady z Kolonii, że mam wracać do Warszawy, bo mnie chcą na rzecznika praw obywatelskich. Pamiętam, że mnie szlag trafiał. Musiałam wtedy dziesiątki rzeczy pozatapiać. Wyjazd, bilety, przerwać stypendium, rozliczyć się z pieniędzy...

ORDYŃSKI: Od razu się pani zgodziła?

ŁĘTOWSKA: – Nie. Po rozmowie z mężem. Ja mówię: „Czyś ty z konia spadł?”. Bo on mi powiedział, że maczał w tym palce. Pytam go: „Ale czy to warto wziąć?”. A on odpowiada: „Słuchaj, kupić nie kupił, potargować się można, może coś z tego wyjdzie”.

ORDYŃSKI: Już pierestrojka była.

ŁĘTOWSKA: – Tak. Awantażem było to, że ja ani przez moment nie wiązałam z tym przyszłości, nie traktowałam jako trampoliny do dalszej kariery. Raczej jak zadanie do wypełnienia, a potem do widzenia.

RAFALSKA: Nie wierzyła pani początkowo w ideę tego urzędu.

ŁĘTOWSKA: – Ja autentycznie nie lubię świata polityki, nie bardzo się w tym odnajduję. To nie mój świat. Mąż mówi: „Weź, spróbuj”. I powiedział coś, co było nawet wzruszające: „Słuchaj, na tyle, na ile dam radę, ja ci zdejmę cały dom z głowy”. I dotrzymał słowa.

ORDYŃSKI: Pani mąż bardzo dobrze się znał na kuchni!

ŁĘTOWSKA: – On w ogóle był ogarnięty, nie tylko w kuchni. W ten sposób się zgodziłam. Przyjechałam, wyładowałam w Kancelarii Sejmu u Macieja Wirowskiego. I on mi mówi: „Pani ma jutro ślubowanie”. Ja na to: „Za-raz, ale może by ktoś ze mną porozmawiał, coś powie-dział. Cokolwiek”. „Nie, nie, już jutro pani ma ślubowa-nie”. To mnie zaczął szlag trafiać, bo już mi umeblowali życie, bez żadnej rozmowy. W końcu co innego zgodzić się porozmawiać, a co innego składać następnego dnia ślubowanie! Dobrze, że przed tą rozmową Łętowski mi jeszcze załatwił fryzjera, bo trzeba było jakoś wyglądać. Słuchajcie, naprawdę pies z kulawą nogą ze mną nie po-rozmawiał. Nic! Dopiero przed samym ślubowaniem: „Pani tu przyjdzie, tu pani stanie” itp. I robiłam skandal od razu pierwszego dnia. Przede wszystkim oni nie bar-dzo mnie chcieli, czemu trudno się dziwić. Wrzucili mnie w tecze. Ja sobie grzecznie siedziałam, czekałam na swoją kolej, a ci się kłóca: „Łętowska, a kto to jest? Skąd się wzięła?”. I Roman Malinowski, marszałek Sejmu ze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, miał dużo kłopo-tu, bo to on musiał to wszystko opanować, żeby jednak doszło do tego ślubowania. Jak już było po wszystkim, to mnie przywieźli do telewizji, do Programu 1. Zaczyna się rozmowa, ja bardzo uczciwie mówię, że można zrobić to czy tamto, a dziennikarz prowadzący mówi na to: „Miała pani kłopoty dzisiaj w Sejmie”. „Ja miałam kłopoty? To marszałek Sejmu miał kłopoty!”. Wiem, że później Mali-nowski się o to na mnie boczył. Ale guzik mnie to obe-szło. Problemy zaczęły się później. Jak pierwsza naiwna myślałam sobie, że jak robić tego rzecznika, to robić na serio. I wyobraźcie sobie państwo, w jakiej człowiek jest sytuacji, kiedy widzi ten pokój pełen papierów, które już na mnie czekają, a tam nie ma nikogo, żywego ducha. Jestem ja jedna!

ORDYŃSKI: A gdzie było to pierwsze biuro RPO?

ŁĘTOWSKA: – To był pokój w hotelu sejmowym na Wiejskiej. Dali mi na pociechę jedną sekretarkę z etatów Kancelarii Sejmu. No i trzeba było zacząć działać.

RAFALSKA: Miała pani jakiś wzór do naśladowania?

ŁĘTOWSKA: – Żadnego, z wyjątkiem literatury doty-czącej ombudsmana w Skandynawii. Mniej więcej wie-działam, na czym to polega. Tak naprawdę to nie jest urząd, bo rzecznik praw obywatelskich nie ma własnych kompetencji. To jest „agent wpływu”. I tyle jest wart, ile umie wpłynąć. Na początku działalności, jeszcze za Polski Ludowej, miałam audycje telewizyjne z udziałem Ireny

Dziedzic. Grono młodych adwokatów było zafascynowane moim spojrzeniem na prawo, nie od papierów, tylko od strony mechanizmów. Zabawne jest, że jak ich potem spotykałam po latach, to oni mówili: „Wie pani, myśmy w tym czasie tak byli tym zafascynowani. Ale teraz, jak na to tak patrzymy, to myślimy, że nic w tym takiego wielkiego nie było”. Na początku, gdy to słyszałam, robiło mi się przykro, ale później sobie pomyślałam, że w gruncie rzeczy to był ogromny komplement. Bo to oznacza, że mój sposób działania na tyle mocno im się wbił w głowy, że stał się dla nich oczywistością.

Przyznam, że byłam z tego punktu widzenia rzecznikiem bardzo technokratycznym. Dlatego, że ja nie byłam żadnym ideologiem. Ideologia wynikała tylko z faktu, że Polska musi respektować własną konstytucję. Po przemianach ustrojowych w konstytucji pojawiła się wzmianka o państwie prawa – wprowadził to do tekstu prof. Mirosław Wyrzykowski. Natomiast ten passus o państwie urzędowym istniałym zasady sprawiedliwości społecznej napisał Adam Zieliński, zresztą późniejszy (trzeci) rzecznik praw obywatelskich. Na samych tylko tych dwóch formułach, które dzisiaj razem stanowią art. 2 Konstytucji RP, można było sporo uciągnąć. Koncept demokratycznego państwa prawnego, który był zapisany w ustawach zasadniczych np. w Niemczech czy w innych krajach demokratycznych, był podstawą wyciągnięcia rozmaitych praktycznych konsekwencji, które z kolei można było już przedstawiać jako konkrety. I ja mniej więcej tym właśnie się zajmowałam. Z perspektywy czasu to wszystko jest oczywiste i mało znaczące. Wtedy nie było. Dlatego zresztą nie lubię opowiadać o dziejach rzecznika, bo miniony czas, wejście do Europy trywializują dawne trudy. To, co dawniej było świeże, trudne, oryginalne – jest dziś oczywiste, banalne, po prostu się należy. Nie lubię przypominać własnego skakania przez płot wiele lat temu.

ORDYŃSKI: Pani budowała tę firmę.

ŁĘTOWSKA: – Mniej więcej.

RAFALSKA: Czy fakt, że rozpoczęła pani profesorem urzędowanie jeszcze w PRL, jakoś panią ograniczał?

ŁĘTOWSKA: – Polska Ludowa była w tym okresie słaba i bojaźliwa. Jeżeli człowiek te swoje pióra napuszył i jeszcze miał za sobą znajomość rzeczy, to wiele dało się przeprowadzić. W tym początkowym okresie trzeba było rozładowywać te zwały listów, które już zdążyły napłynąć. Ja sobie już wtedy zaczęłam wyrabiać markę, co można zrobić na sprawach, które mają pewną nośność. Bo rzecznik to sprawy głośne – o nich w gazetach piszą – i sprawy na co dzień niewidoczne. Głośniejsze jest mało, trzeba je odpowiednio wyeksponować. No więc była np. sprawa Polskiej Partii Socjalistycznej, która chciała rozpocząć oficjalną działalność. Oczywiście władzy to się niespecjalnie podobało. Tymczasem ta nowa PPS zwróciła się do mnie o asystencję, skarżąc się, że władze

odmawiają rejestracji. Tę sprawę załatwiałam razem z prof. Wyrzykowskim, który został przeze mnie natychmiast zaangażowany jako szef zespołu konstytucyjnego. W praktyce pełnił funkcję mojego zastępcy, byliśmy takim teamem, zawsze się dobrze dogadywaliśmy. No więc my mówimy tak: po co PPS rejestracja? Do rejestracji są tylko stowarzyszenia. A to nie jest stowarzyszenie, tylko partia polityczna. W Konstytucji PRL napisane było jak byk, że partie mogą być, więc o co chodzi? Gdzie jest jakaś podstawa do szyszan? I jakoś ta wykładnia przeszła i chyba pomogliśmy.

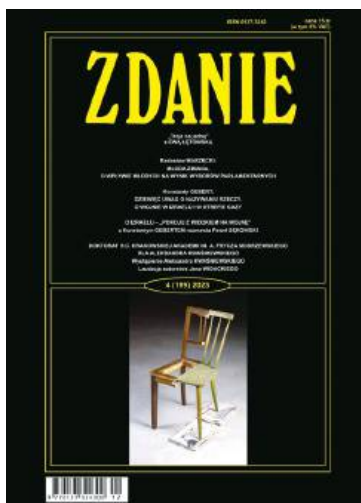
ORDYŃSKI: A czy wpływały do rzecznika praw obywatelskich skargi od osób represjonowanych z przyczyn politycznych?

ŁĘTOWSKA: – O dziwo nie, nie bezpośrednio. Ze spraw politycznych wpłynęła do mnie np. sprawa ks. Jerzego Popiełuszki. I to niejako z dwóch stron. Od strony obywatelskiej żądano, abym sprawą „zajęła się”. Odpowiedziałam na to tak, że nie bardzo wiem, czego oni dokładnie sobie ode mnie życzą: czy ja mam się zwrócić do MSW o materiały w tej sprawie? Tymczasem napisał do mnie odsiadujący karę więzienia płk Pietruszka, uczestnik akcji wymierzonych przeciw księdzu. Życzył sobie, aby rzecznik wniósł rewizję nadzwyczajną w jego sprawie. Materiałów dotyczących sprawy, jak można się spodziewać, mi nie udostępniono, tylko pokazano i po okazaniu zabrano pisma, które płk Pietruszka wysyłał do władz resortu we własnej sprawie. Rewizji nadzwyczajnej oczywiście nie wniosłam. Albo napisałam skargę do rzecznika praw obywatelskich Henryka Wujca, ale zrobił to w dowcipnej formie. Napisał, że jak on wychodzi z domu, to chodzi za nim jakiś facet i ten facet gada do aktówki. Moi ludzie zakwalifikowali to jako list osoby – powiedzmy – niepełnosprawnej. Z tym że ja te zdyskwalifikowane listy wyrywkowo też kontrolowałam. Trafiłam na ten list i mówię: „To nie szalenie, to Wujec!”. Zapytałam później Henryka Wujca, o co mu chodziło. A on na to: „Wie pani, ja chciałem panią sprawdzić!”. W sprawie Wujca napisałam do słynnej Wiesławy Bardonowej, prokuratorki, z pytaniem, czy ten Wujec jest inwigilowany, czy nie jest. Tak z głupia frant. Nie żebym specjalnie wtedy

wierzyła, że ktoś mi udzieli sensownej informacji. Chciałam, żeby po prostu wiedzieli, że ja wiem i reaguję. To w tej chwili wygląda mało poważnie, ale chodziło o przełamanie przekonania, że nikt w takie sprawy z zewnątrz nie ma wglądu.

Bardziej merytorycznym działaniem, jeśli chodzi o opozycjonistów, było np. wystąpienie o inne traktowanie ich w więzieniach, nie jak chuliganów czy przestępców kryminalnych. To był fragment szerszego i chyba sensownego programu poprawy warunków w zakładach karnych (...).

*Jan Ordynski, Dominika Rafalska,
Paweł Sękowski*



Wielki proces kalabryjskiej mafii

2200 lat więzienia dla 322 oskarżonych



Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Do pierwszego procesu przeciwko 'ndranghecie doprowadził były prokurator Reggio Calabria, Nicola Gratteri.

W mieście Lamezia Terme na południu Włoch od stycznia 2021 r. trwa pierwszy proces przeciwko 'ndranghecie – kalabryjskiej mafii. Doprowadził do niego były prokurator Reggio Calabria, Nicola Gratteri. To drugi największy proces mafijny w historii Włoch, po tym z lat 1986-1987, w którym posadzono na ławie oskarżonych członków sycylijskiej cosa nostra.

W specjalnej sali sądowej, stojącej w szczerym polu, przemienionej w bunkier hali przemysłowej, gdzie wcześniej znajdowało się centrum telemarketingu, 20 listopada 2023 r. zapadł wyrok: łącznie 2200 lat więzienia dla 322 oskarżonych. Nie

tylko mafiosów, ale i polityków, adwokatów, biznesmenów oraz funkcjonariuszy organów ścigania. Po 35 dniach posiedzenia sąd zamknął trwający niemal trzy lata proces pierwszego stopnia przeciwko gangom mafijnym z prowincji Vibo Valentia. Wśród postawionych zarzutów były: stowarzyszenie mafijne, wymuszenia, nielegalne posiadanie broni, handel narkotykami, kradzież, lichwa, pranie brudnych pieniędzy, działanie na szkodę konkurencji, przestępstwa przetargowe, fikcyjne rejestrowanie majątku, rozbój, usiłowanie zabójstwa i zabójstwo.

Najbardziej znany oskarżony to prawnik Giancarlo Pittelli, były

senator Forza Italia, członek parlamentarnej Komisji Sprawiedliwości i koordynator regionalny partii Berlusconi. Był „zewnętrznym współpracownikiem” groźnego gangu kierowanego przez Luigiego Mancusa z miasteczka Limbadi w prowincji Vibo Valentia. Sąd skazał Pittellego na 11 lat więzienia. Inne skazane grube ryby to m.in. Giorgio Naselli – były podpułkownik karabinierów (2 lata i 6 miesięcy), Filippo Nesci – były dowódca policji drogowej w prowincji Vibo Valentia (4 lata), adwokat Francesco Stilo (14 lat), Michele Marinao – były oficer Dyrekcji ds. Dochodzeń Antymafijnych (10 lat), Antonio Ventura – były oficer operacyjny

karabinierów (5 lat i 6 miesięcy), i Pietro Giamborino – były radny regionalny (20 lat). Nie są to wyroki ostateczne. Musi je potwierdzić proces drugiej instancji i kasacyjny.

Na 30 lat skazany został 69-letni Lugi Mancuso, przywódca najbardziej wpływowego klanu 'ndranghety z Vibo Valentia. Ma pseudonim „U Signurinu”, czyli „Pan”, ze względu na zawsze elegancki sposób ubierania się i dobre maniere.

Śledztwo prokuratury w Catanzaro wykazało również związki kalabryjskiej mafii z lożami masonskimi. Proces ujawnił wiodącą rolę gangów z Vibo Valentia, ale także wewnętrzne tarcia, które z biegiem czasu doprowadziły do rozłamu i wojny mafijnej w Kalabrii, w wyniku której zginęły dziesiątki osób.

Podobnie jak w maksiprocesie w Palermo, przeciwko cosa nostrze w latach 80., również w tym przeciwko 'ndranghecie ważną rolę odegrali świadkowie koronni. Przede wszystkim dwóch: Emanuele Mancuso, którego ojciec to członek rodziny z Limbadi, Pantaleone Mancuso, oraz Andrea Mantella – przywódca konkurencyjnego gangu. Ten ostatni został skazany na osiem lat więzienia.

Sąd uniewinnił ponad 80 osób, wśród nich byłego burmistrza miasteczka Pizzo, Gianluce Callipa.

Rinascita-Scott

Wielkiemu procesowi kalabryjskiej mafii nadano nazwę Rinascita-Scott (Odrodzenie-Scott – przyp. aut.), od kryptonimu poprzedzonej wieloletnim dochodzeniem wielkiej akcji włoskich karabinierów i prokuratury antymafijnej. Nalot policyjny w prowincji Vibo Valentia odbył się 19 grudnia 2019 r. Aresztowano wtedy ponad 300 osób, które później zaszły na ławie oskarżonych.

Odrodzenie – ponieważ śledczy mieli nadzieję, że wskutek ich działań prowincja środkowej Kalabrii będzie mogła w końcu uwolnić się spod jarzma potężnego klanu z Limbadi i odrodzić się. Scott pochodzi zaś od imienia przyjaciela i współpracownika prokuratora Nicoli Gratteriego, amerykańskiego oficera FBI Siebena Williama Scotta, którego Gratteri

poznał wiele lat temu w Stanach Zjednoczonych i który był jednym z najbardziej kompetentnych specjalistów od karteli narkotykowych na świecie. Scott został agentem specjalnym DEA (Administracja ds. Walki z Narkotykami) w Europie i długo mieszkał w Rzymie, koordynując działalność swojej grupy specjalnej w latach 2008-2013 z biura na pierwszym piętrze ambasady amerykańskiej przy Via Veneto. Agent Scott pomógł prokuratorowi Gratteriemu zrozumieć powiązania między kolumbijskimi kartelami a kalabryjską 'ndranghetą i śledzić jej działania w całej Europie.

Akcja Rinascita-Scott spotkała się z niezwykłym przychylnym przyjęciem niemal całego społeczeństwa i w Vibo Valentia odbyła się wielka

W 2014 r., operacja New bridge ujawniła handel narkotykami i powiązania kalabryjskich mafiosów z klanem Gambino w Nowym Jorku. Rok później operacja Columbus uderzyła w przemyt narkotyków pomiędzy Kalabrią, Ameryką Południową i USA. W ramach operacji Stige w 2018 r. uderzono w 'ndriny (klany) w Kalabrii, Lombardii, Wenecji Euganejskiej, Emilii-Romanii, Piemontcie, Lacjum, Toskanii i Kampanii, powiązane z Niemcami. Tą drogą Nicola Gratteri doszedł do operacji Rinascita-Scott i do wielkiego procesu o tej samej nazwie. Przez siedem lat pracy Gratteriego w Kalabrii wzrosła liczba współpracowników wymiaru sprawiedliwości i świadków koronnych. A 'ndrangheta zawsze trzymała się mocno, gdyż w niej nie było „zdrajców”.

Już od początku tego wieku 'ndrangheta zaczęła przejmować biznes narkotykowy. Zrobiła to po cichu i niemal niepostrzeżenie.

demonstracja zorganizowana przez stowarzyszenie antymafijne Libera. Był to niewątpliwie moment największej popularności prokuratora Gratteriego, którego nazywano wtedy nowym Giovannim Falcone. I tak jak na tego słynnego sędziego śledczego, jednego z siedmiu tworzących specjalny sztab antymafijny walczący z cosa nostrą, również na Gratteriego mafia wydała wyrok śmierci.

Nicola Gratteri został szefem prokuratury w Catanzaro w 2016 r. Od samego początku powtarzał, że gangi z Vibo Valentia to „mafia serii A”. W ramach dochodzeń nazwanych Solare i Crime 3 w latach 2008-2011 udało się uderzyć w powiązania 'ndranghety z kolumbijskimi i meksykańskimi kartelami narkotykowymi. Dzięki operacji Crime-Infinito (2010-2016) udowodniono, że 'ndrangheta opanowała Lombardię. W procesie, który tę operację uwieńczył, skazano 92 osoby. Ponadto w toku śledztwa policja sfilmowała po raz pierwszy szczyt mafijny 'ndranghety w 2009 r., w miejscowości Polci w gminie San Luca, gdzie na pielgrzymkę z okazji święta Madonny ściągnęła cała elita przestępcza. Aresztowano wtedy 300 osób.

Sędziowie Falcone i Borsellino zapłacili życiem za proces przeciw cosa nostrze. Zginęli w zamachach bombowych w 1992 r. Pogroźki wobec prokuratora Gratteriego są brane na poważnie. Od lat żyje on w ukryciu, pod ochroną. Jak opowiada, swój ogródek, który bardzo kocha, najczęściej ogląda dzięki kamerom, które w nim zainstalował.

Proces w Lamezia Terme, w którym sądzono przywódców kalabryjskiej 'ndranghety, naruszył porządek mafijny całego świata. Nicola Gratteri zaś 13 września 2023 r. został prokuratorem sądu w Neapolu. Teraz pewnie weźmie się za neapolitańską camorrę. Mafia nie znosi próżni – jest jak hydra, na miejsce odciętej głowy wyrasta nowa. „Nawet kiedy odejdę z Kalabrii, pozostanie materiał dochodzeniowy, nad którym moi następcy będą mogli pracować przynajmniej przez najbliższe cztery-pięć lat”, powtarzał jednak wielokrotnie nowy Falcone.

Jak 'ndrangheta opanowała świat

Proces cosa nostrzy z przełomu lat 80. i 90., w którym oskarżycielami ▶

► byli sędziowie Giovanni Falcone i Paolo Borsellino, odciął macki sycylijskiej mafii. Na 41-bis (ciężkie więzienie w odosobnieniu – przyp. aut.) skazano członków klanu Corleone (wśród nich byli: Luciano Leggio, Pippo Calò, Michele Greco, Salvatore Montalto i Bernardo Brusca, a później także Salvatore Riina i reszta „koputy”, czyli komisji mafii, w której zasiadali reprezentanci klanów). 23 września 2023 r.

Wielkiemu procesowi kalabryjskiej mafii nadano nazwę Rinascita-Scott, od kryptonimu akcji włoskich karabinierów i prokuratury antymafijnej.

w więzieniu zmarł na raka ostatni sycylijski *padrino* – Matteo Messina Denaro, który ukrywał się przez 30 lat i złapano go tylko dlatego, że musiał poddać się chemioterapii.

Już od początku tego wieku 'ndrangheta zaczęła przejmować biznes narkotykowy. Zrobiła to po cichu i niemal niepostrzeżenie. Kalabryjskie rodziny weszły w lukratywny biznes kokainowy, nawiązując bezpośrednią współpracę z organizacjami kolumbijskimi i meksykańskimi, by zaopatrywać całą Europę poprzez włoskie i hiszpańskie porty. Przemysł i dystrybucja narkotyków oraz pranie brudnych pieniędzy to dwa biznesy, które tak jak *cosa nostra* uczyniły 'ndranghetę bogatą, potężną i wpływową. Mafia kalabryjska zajęła miejsce sycylijskiej. Potomkowie pierwszych 'ndrin kalabryjskich osiedlili się w różnych krajach, dzieląc strefy wpływów na mapie świata, uzyskując pewną autonomię, ale nadal utrzymując kontakty z dowództwem w Kalabrii.

'Ndrangheta potrafiła we właściwym czasie włączyć się w biznes recyklingu śmieci i wyprzeć z niego camorrę, zajmując się przede wszystkim odpadami toksycznymi przemycanymi do Afryki. Zainteresowała się przemysłem broni, wchodząc w układy z organizacjami wojskowymi i terrorystycznymi. Głównie jednak zajęła się praniem brudnych pieniędzy, kupując restauracje, bary, lokale, centra handlowe, inwestując w inne „czyste” interesy

oraz nieruchomości, a także przenosząc kapitały do rajów podatkowych. W tym celu zatrudniła księgowych, prawników, doradców biznesowych oraz fikcyjnych właścicieli. Skorumpowała przedstawicieli organów ścigania i polityków. Kupiła sobie „białe kołnierzyki” i weszła w konszachty z masonerią.

„Stara mafia już nie istnieje. Mafia używająca przemocy to zwykła przestępczość. Prawdziwy mafioso

to ten, kto ma kontakty z ośrodkami władzy, wpływu, biznesu i finansów”, mówił w podsłuchanej rozmowie boss Lugi Mancuso z Limbadi.

„Zaraza 'ndrin rozniosła się od Rosarno do Australii, od San Luca do Duisburga. To molekuly przestępcze, które rozprzestrzeniają się i rozmnażają na całym świecie. Płynna mafia, która wślizguje się wszędzie, odtwarzając w miejscach odległych od tych, w których się narodziła, ten sam stary, elementarny i skuteczny model organizacyjny. Podobnie jak duże sieci fast foodów oferuje tę

Stara mafia już nie istnieje. Mafia używająca przemocy to zwykła przestępczość. Prawdziwy mafioso to ten, który ma kontakty z ośrodkami władzy, wpływu, biznesu i finansów.

samą, rozpoznawalną, niezawodną markę i ten sam przestępczy produkt na całym świecie”, napisano w raporcie parlamentarnej komisji ds. walki z mafią.

Mafia w erze internetu

W czasach szybkiego postępu technologicznego przestępczość zorganizowana korzysta z niego pierwsza i wyprzedza organy ścigania, mogąc sobie pozwolić na lepszy sprzęt, technologię oraz na opłacenie najlepszych specjalistów. We Włoszech ukazała się nowa książka Nicoli Gratteriego i Antonia Nicasa, „Gryf” („Il grifone. Come la tecnologia sta

cambiando il volto della 'ndrangheta”). Rzuca ona światło na to, jak mafia przystosowała się do cyfrowej rzeczywistości i organizuje swoje interesy, infiltrując cyfrowy świat jak nigdy dotąd, wykorzystując np. sztuczną inteligencję. To już nie są gangsterzy, ale wykwalifikowani specjaliści, eksperci z zakresu IT i finansów. Ich bronią są nie pistolety, lecz zaawansowane technologie, które pozwalają im działać w sieci. Mafii udało się stworzyć własne kanały komunikacji, podobne do mediów społecznościowych. Nie są dostępne dla śledczych i ich infiltracja jest trudniejsza niż wprowadzenie agenta do grupy przestępczej. To mafia 2.0. „Odkrycie” kryptowalut otworzyło przed nią lukratywne i nieoczekiwane perspektywy, jeśli weźmiemy pod uwagę, że w 2022 r. nielegalne transakcje osiągnęły rekordową wartość 20,6 mld euro.

Nicola Gratteri i Antonio Nicaso opisują tę metamorfozę, przytaczając liczby i dokumenty, pokazując, że mafia, a w szczególności 'ndrangheta, działa obecnie na skalę globalną, handlując narkotykami, pióraczami, dokonując oszustw finansowych i sprzedając broń w każdym zakątku planety, bez wychodzenia z domu. W tym osobiwym procesie

hybrydyzacji 'ndrangheta, podobnie jak mitologiczny gryf, ucieleśnia jednocześnie tradycyjne „wartości” i nowe oczekiwania, sprawiając, że granice między legalnością a nielegalnością są coraz bardziej płynne. W rezultacie organy ścigania stoją przed bezprecedensowymi wyzwaniami, z którymi należy się mierzyć, mając świadomość, że w wymiarze ponadnarodowym konieczne jest przezwyciężenie różnic politycznych, kulturowych i prawnych w imię wspólnego celu: ochrony społeczeństwa i przyszłych pokoleń przed pułapkami „cichej mafii”.

Agnieszka Zakrzewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Zagnani w ciemny kąt

Policja weszła do Pałacu Namiestnikowskiego i spod nosa Dudy wyprowadziła Kamińskiego i Wąsika, którzy się ukrywali. Politycy PiS krzyczą: reżim Tuska, okrutna dyktatura, nastał mroczny czas dla Polski! Żyjemy nie tylko w dwóch porządkach prawnych, ale też w dwóch zupełnie odmiennych światach. One nie przystają do siebie. Co dla jednych jest totalitaryzmem, dla drugich jest państwem prawa. Co dla jednych jest zamachem stanu, dla drugiej strony jest przywracaniem normalności. Pośrodku paliwo na wojnę domową. Dlatego mam znajomych, na których padł blady strach. Co to będzie? Mamy już policję, tajne służby i telewizję publiczną, więc spoko, powie prosty zwolennik liberalnej demokracji. I będzie miał rację. Ale kto zszyje te dwa światy? Nie widać takiego krawca.

•
Podejrzewam od dawna, że u źródeł obyczajowych skurczów naszej narodowo-katolickiej prawicy są urazy seksualne. I blokowany popęd, co prowadzi do erotycznej hipokryzji. Stąd w Sejmie wyprostowany palec Lichockiej oraz członek w stanie erekcji, czyli gest Kozakiewicza w wykonaniu Kamińskiego. W finale wpis Dudy, w panice wykasowany: „Powiedz mu, żeby zapytał swoją Żonę, co to znaczy »mieć jaja«. Ona wie!“. Zapewne prezydentowi chodziło o Hołownię. Mnożą się interpretacje.

•
Prezes nie przetrwał swojej klęski, nie zrozumiał, dlaczego przegrał. Idzie teraz na oślep przed siebie, a za nim drepcą inni, jak ślepcy na obrazie Bruegla. Partia Kaczyńskiego weszła w korkociąg radykalizacji. A przecież właśnie przez radykalizację i tuskofobię przegrali wybory. Prezes ma obsesję na punkcie Tuska, tak intensywną, jak zapiekły antysemita miał na punkcie Żydów. W odpowiedzi na utratę władzy prawica radykalizuje się jeszcze bardziej. Nie ma więc szansy wyjść poza swój elektorat. Mnoży oskarżenia i lęki: zalegają nas imigranci islamiści, kobiety będą się bały wychodzić z domu. A przede wszystkim za kilka lat Polska przestanie istnieć. Już zanika. Snując takie bajdy, przegrają wybory samorządowe czy prezydenckie. I dobrze.

•
W Zachęcie, dopiero co odbitej z rąk PiS. Wcześniej odruchowo unikałem tego miejsca, które tak ceniłem. W dwóch salach obrazy Nowosielskiego. Nie wiem, czy lubię tego malarza, na pewno lubię, że mam jego malutki

olej z okresu okupacji, bodaj pierwszy jego znany obraz, malowany w zupełnie innej, niż malował potem, mrocznej tonacji.

I na stacji Orlenu już bez wyrzutów sumienia zaczynam brać paliwo. To była wielka niewygodą unikać pobliskiej stacji. Przed laty Orlen wysłał pismo do swoich pracowników, by wystawiać gazety prawicowe na wierzch, a liberalne chować za nimi. Jaką trzeba być szują, by wydać taki nakaz; sprawdzałem na stacjach, to było respektowane.

•
Obowiązek kronikarza każe mi zacytować wypowiedzi ludzi prawicy w TV Republika, chociaż są do cna wykommentowane. Pietrzak, kiedyś aktywny w PZPR, powiedział: „Mam okrutny żart z tymi imigrantami, że oni liczą na to, że Polacy są przygotowani, bo mamy baraki. Mamy baraki dla imigrantów: w Auschwitz, w Majdanku, w Treblince, w Stutthofie. Mamy dużo baraków zbudowanych tu przez Niemców. I tam będziemy lokować tych

imigrantów, wpychanych nam nielegalnie przez Niemców“. Marek Król, broń boże nie mylić go z Marcinem Królem, posunął się chyba dalej. On, kiedyś członek KC PZPR, mówił o imigrantach: „Należy im założyć czipy, jak się pieskom zakłada,

a taniej jest oczywiście numery na lewej ręce wytatuować i wtedy łatwo się ich znajdzie“. Marek Jakubiak, wyjątkowo ponury typ od Kukiza, z wielkim sygnetem na palcu, ostrzegał: „Polska będzie śmietnikiem, tak jak przywozili do nas tiry niepotrzebnych odpadów“. Nie ma co zniecać się nad tymi ludźmi, są w jakim sensie pożytecznymi idiotami, ujawniają, co ukrywa nasza prawica pod dziurawym płaszczykiem kultury. Jest prosta linia między narracją PiS a tą z przedwojennej Polski, gdy zaszczuto i zamordowano prezydenta Narutowicza.

•
Lech Wałęsa na Facebooku ostrzega przed PiS: „Żadnego pobbłażania, żadnej litości, mamy do czynienia z bezwzględными złoczyńcami, którzy zrobią każdą nikczemność do zbrodni włącznie, by nie oddać pokojowo, demokratycznie władzy“. Z tą zbrodnią może przesada, ale głowy bym nie dał. Zostali zagnani w kąt, tam nawet mały drapieżnik się sroży.

•
U znanego ortopedy, mam termin wymiany drugiego bioderka. Prawie się cieszę. Pan profesor mówi: „PiS jest jak rak“. Dumny jestem, bo ja, tylko magister, kiedyś sam postawiłem w felietonie taką medyczną diagnozę. ■

Przybieżeli do Betlejem żołnierze

To, co dzieje się dziś w Palestynie, jest winą nas wszystkich

Magdalena Góralska

Święta, święta i po świętach. Gdyby trzej królowie wybierali się dziś złożyć hołd Dzieciątku, mogliby pomylić Gwiazdę Betlejemską z pociskami balistycznymi najnowszej generacji, produkcji zachodniej, które rozświetlają w ostatnich miesiącach niebo nad Strefą Gazy. A małutki Jezus, zamiast w sianku, leżałby w gruzach.

Tuż przed świętami na Uniwersytecie Warszawskim wygłosiła wykład prof. Gayatri Spivak, jedna z twórczyni teorii postkolonialnej i propagatorka krytyki feministycznej. 81-letnia gwiazda humanistyki przyleciała do Warszawy na kilka dni, robiąc przystanek w drodze powrotnej do Nowego Jorku, gdzie mieszka od końca

opiera się na stratyfikacji, tworzeniu podziałów. „Wolny” rynek, konsumpcjonizm, ale i szkoła czy uniwersytet. I dlatego, powiedziała prof. Spivak, przyjechała do Polski, na peryferie świata zachodniego, przełamywać hegemonię anglosaskich instytucji naukowych. „Boję się dziś swojego uniwersytetu”, wyznała, nawiązując do systemowego uciszania propalestyńskich głosów na amerykańskich uczelniach, egzekwowanego zwolnieniami i zawieszaniem pracowników oraz studentów.

Jak na intelektualistkę jej kalibru przystało, Spivak doskonale rozumie symboliczną rolę Polski w pamięci o Zagładzie. Wspomniała dyplomatycznie o hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Nie niemieckich, oczywiście nie polskich, choć założonych przez ówczesny rząd Niemiec

je raczej jako akty zbiorowej terapii, a nie politycznie ważne akty protestu. Tym razem miałam jednak poczucie obowiązku i oprócz podwójnych skarpetek wyposażylam się w transparent. Hasło, które niosłam, okazało się prowokacyjne, choć nie taki był jego cel. A brzmiało: „Mój pradziadek umarł w Auschwitz. Nie o taki świat walczył”. Obok umieściłam znak pacyfki i słowa „Wolna Palestyna” napisane po arabsku. Transparent cieszył się dużą popularnością, stał się nawet przedmiotem krytyki ze strony dziennikarzy sondujących uczestników marszu, którzy zastanawiali się, czy nie obrażam innych, których przodkowie również zginęli w Auschwitz. Wiele osób założyło też, że mój pradziadek był Żydem. Ale nie był. Trafił do obozu, bo walczył z okupantem, broniąc życia bliźnich kosztem własnego.

Pamięć o zbrodniach hitlerowskich jest istotną składową naszej narodowej tożsamości. Jako dzieci uczymy się o nich na lekcjach historii. Jako dorośli bierzemy udział w ich upamiętnianiu w trakcie narodowych świąt. Wywieszone białe-czerwone flagi i dziesiątki zniczy zamieniają przestrzeń publiczną w miejsca pamięci. Ale to nie wszystko. Każdy z nas nosi blizny po ranach, które zadały okropieństwa tej wojny. Każdy, kto ma przodków, których losy naznaczyło doświadczenie wojenne. Być może więc każdy z nas?

Gayatri Spivak w esejach odnosi się do własnych odziedziczonych traum, czyli do kolonialnego dziedzictwa indyjskiego. Filozofka urodziła się w 1942 r. w Kalkucie, w sercu British Raj, w bardzo burzliwym okresie. W środku II wojny światowej, w której kolonie zmuszone były brać udział, ale zarazem w czasie regionalnych starań o niepodległość. Pięć lat później, w lipcu 1947 r., spod brytyjskiego jarzma uwolniły się dwa nowe narody, Indie i Pakistan. Kiedy

Ignorowanie kwestii palestyńskiej niepodległości jak mało co obnaża zachodnią obłudę.

lat 80. i wykładu na Uniwersytecie Columbia.

Tym, którzy interesują się nieco bardziej globalnymi relacjami władzy, prof. Spivak przedstawiać nie trzeba. Sama filozofka postanowiła jednak powiedzieć coś o sobie na początku wykładu, ale inaczej, niż można by się spodziewać. Rozpoczęła następującą prośbę: „Zwracacie się do mnie Palestynka” (*Call me Palestinian*).

Tematem jej wystąpienia były jednak nie relacje palestyńsko-izraelskie, ale kwestia odpowiedzialności nas, wykształciuchów, wobec społecznej niesprawiedliwości, nierówności i ucisku, których jesteśmy co dzień świadkami. Przywołała przykłady dużych i małych form opresji, które utrwalamy, nawet nie będąc ich świadomymi, po prostu będąc częścią instytucji, których forma

na ziemiach okupowanej przezeń Polski. Spivak wie, jak istotny jest odpowiedni dobór słów.

W połowie listopada odbył się w Warszawie marsz na rzecz zawieszenia broni w Strefie Gazy. Stało się tak, mimo że prezydent Warszawy cofnął wcześniej wydaną zgodę po konsultacji z ambasadą Izraela, pod którą demonstracja miała się zakończyć. Ambasada nie chciała pod swoimi oknami protestujących. Jednak sąd uchylił rozporządzenie prezydenta miasta, odrzucając argumentację przedłożoną przez Trzaskowskiego i policję, jakoby trasa przemarszu uniemożliwiała poprawne zorganizowanie policyjnej eskorty, i marsz się odbył.

W mroźne listopadowe popołudnie poszłam więc na marsz, którego miało nie być. Nie lubię współczesnych manifestacji, traktuję

kolonialny moloch dzielił się na pół, a miliony osób migrowały z jednej strony granicy na drugą, miały miejsce masakry na tle religijnym, w których zginęły setki tysięcy ludzi. Kolonizatorzy, zamiast łagodzić lokalne animozje, pielęgnowali je, zgodnie z zasadą „dziel i rządź”. Dziś politycy po obu stronach granicy kontynuują tę tradycję.

Parę miesięcy później, w listopadzie 1947 r., w zupełnie innej części imperium brytyjskiego wybuchł następny konflikt terytorialny o podłożu etnicznym i religijnym. W 1947 r. ONZ zdecydowała się podzielić ziemie palestyńskie i stworzyć w ich obrębie bezpieczną przystań dla ocalałych z Zagłady Żydów. Większą część dostała mniejszość żydowska, mniejszą – większość arabska. Palestyńscy liderzy nie chcieli się zgodzić na takie rozwiązanie, przez wieki społeczność żydowska była tu bardzo niewielka, jakie miała więc prawo do państwowości? Doszło do pierwszej wojny, w którą zaangażowały się sąsiednie państwa i Stany Zjednoczone, a potem do kolejnych konfliktów zbrojnych, które doprowadziły do izraelskiej okupacji terytoriów Palestyny i systemowej

opresji społeczności muzułmańskiej, co w październiku 2023 r. zamieniło się w masakrę ludności cywilnej w imię samoobrony przed Hamasem.

Ignorowanie kwestii palestyńskiej niepodległości jak mało co obnaża zachodnią obłudę. Z jednej strony, Palestyńczycy padli ofiarą kolonialnej brutalności w rozporządzaniu cudzą ziemią. Jak wiemy, potęgi

Spivak wskazała jednak coś innego. Winny jest tu indywidualizm moralny, który uczy nas brać odpowiedzialność za czyny, ale tylko za swoje. To, co dzieje się dziś w Palestynie, jest winą nas wszystkich. Polityków, którzy mówili o wartościach humanitarnych, o pokoju i równości, ale niewiele na rzecz ich wdrożenia zrobili. Mediów, w tym lewicowych, które

Potęgi kolonialne rzadko przyznają się do błędów, a jeszcze rzadziej za nie płacą.

kolonialne rzadko przyznają się do błędów, a jeszcze rzadziej za nie płacą. Z drugiej – mierzymy się tu z nieładą hipokryzją. Mamy na Zachodzie największy w historii odsetek osób wykształconych. Jak to się stało, że wszystkie te godziny spędzone w szkole na omawianiu Zagłady nie nauczyły nas, jak rozpoznać akty zbrodni przeciwko ludzkości, akty ludobójstwa? Być może wina tkwi w retoryce przeszłości – skoro Holocaust miał miejsce, nic gorszego lub równie złego wydarzyć się już nie może.

na początku wybrały bezpieczny, ale nieetyczny symetryzm, który przeczył faktom, i od którego ostatecznie odeszły. To także wina nas, obywateli Polski, bo chcieliśmy uwierzyć i uwierzyliśmy, że powtarzana fraza „nigdy więcej” jest samospełniającą się przepowiednią, magicznym zaklęciem. Że wystarczy pamiętać naszą historię.

Magdalena Góralska jest antropolożką, badaczką tematów kontrowersyjnych. Na co dzień praktykuje postawę lewicową

LIST

✉ Ani kapitalistyczny, ani socjalistyczny

Mam kilka uwag do treści felietonu prof. Jana Widackiego, poza całkowitą zgodą z ostatnim akapitem, że uniwersytet musi być ponad ideologie.

Bardziej złożona jest kwestia miejsca polskich uniwersytetów na tzw. liście szanghajskiej. Otóż polskie uniwersytety tylko nazywają się podobnie do amerykańskich, są jednak zupełnie innymi instytucjami. To po prostu uczelnie, a nie gigantyczne instytucje badawcze. Dość przypomnieć, że Uniwersytet Harvarda, którego Wydział Medyczny zatrudnia ok. 1,2 tys. full professors (odpowiednik naszego profesora belwederskiego), kształci na jednym roku ok. 200 studentów medycyny. Znakiem większości tych profesorów (a także ok. 10 tys. profesorów niższej rangi) zajmuje się wyłącznie prowadzeniem badań naukowych, a nie dydaktyką. Ilość i jakość „produkcji naukowej” tej ogromnej rzeszy naukowców jest podstawą do zajęcia odpowiedniego miejsca w rankingu. Dla porównania: Warszawski Uniwersytet Medyczny kształci na jednym roku ponad dwa razy tyle studentów i zatrudnia co najwyżej pojedynczych profesorów badawczych. Kierując przez ponad 20 lat jedną z najwyższ ocenianych naukowo jednostek tego uniwersytetu, nie miałem

ani jednego takiego pracownika, co więcej – nie dysponowałem ani jednym pomieszczeniem przeznaczonym do prac badawczych. Wszystkie osoby zajmujące się działalnością naukową to byli tzw. nauczyciele akademicki, którzy oprócz prowadzenia chorych realizowali tzw. pensum dydaktyczne. Dla nich prowadzenie badań naukowych było zajęciem weekendowym.

Druga sprawa to rzekoma słabość polskiej nauki spowodowana przez PRL. Otóż przed II wojną światową było w Polsce pięć uniwersytetów, z który dwa (lwowski i wileński) przestały istnieć w tej formie, warszawski został zniszczony fizycznie, a profesorowie krakowskiego i poznańskiego (gdzie budynki przetrwały) wojnę spędzili na różnych „wczasach” (krakowscy w Sachsenhausen). PRL nie miała czego osłabiać. PRL zaczynała z pobojoziska. Nie tylko odbudowała te wszystkie instytucje, ale jeszcze utworzyła kilkanaście, i to nie tylko uniwersytetów, ale również ośrodków uniwersyteckich i już w latach 60. polscy autorzy publikowali w „Nature” prace przygotowane w Polsce. Nauka w PRL miała swoje ograniczenia, ale prof. Widacki wskazuje, że w nowych czasach tamte ograniczenia zostały jedynie zastąpione przez inne, nie mniej istotne.

Wiesław W. Jędrzejczak



Rozmawia Mateusz Demski

Gdy nas umówiono na rozmowę na festiwalu EnergaCAMERIMAGE, doszły mnie słuchy, że to pan nadał kierunek jego organizacji.

– Nie chcę sobie przypisywać zbyt wielu zasług, ale kiedy tu przyjeżdżam, faktycznie wracają wspomnienia, różne obrazy naładowane emocjami. Pamiętam pierwsze edycje tego festiwalu, które odbywały się w Toruniu. To było tak dawno temu – w 1991 r. Chwilę wcześniej upadł mur berliński, miasto było szare i smutne. Na rynku nie świeciły się żadne neony, poza jednym, który migał na czerwono w rogu. To był sex shop (śmiech). Prawdziwa nowość w kraju, w którym dopiero co upadł komunizm. Spacerowaliśmy tam i z powrotem z Markiem Żydowiczem, doszliśmy nad rzekę i powiedział, że planuje stworzyć w tym mieście festiwal filmowy z prawdziwego zdarzenia. Podzieliłem się z nim uwagą, że nie może konkurować z Cannes czy Wenecją, musi się skupić na bardzo wąskiej specjalizacji.

I padło na operatorów filmowych, których pracy ten festiwal jest poświęcony.

– Najbardziej lubię pracę z operatorami. Miałem zaszczyt i przyjemność pracować z takimi ludźmi jak Igor Luther czy Sven Nykvist. Podejrzewam, że gdybym nie dostał szansy zostania reżyserem, zająłbym się zdjęciami. Kiedy zaczynałem pracę w zawodzie w wieku 15 lat, stałem za kamerą. Wtedy wydawało mi się, że to właśnie operator tworzy film. To było w moim rodzinnym Wiesbaden, gdzie działało małe, lokalne studio filmowe z laboratorium. Trafiłem tam na praktyki, ale odesłali mnie do domu, sugerując, że powinienem uczyć

Cenzurę nosimy w naszych głowach

Połowa moich filmów jest próbą rozliczenia się z haniebnym dziedzictwem nazistowskim



się fachu w bardziej profesjonalnym miejscu.

Poszedł pan za ich radą – wyjechał pan do Francji i tam rozpoczął naukę rzemiosła filmowego pod okiem śmietanki francuskich reżyserów. Potem był powrót do Niemiec i pierwszy film – „Niepokoje wychowanka Törlessa” na podstawie prozy Roberta Musila.

– Ciągłe najlepszy! A mówiąc poważnie, wydaje mi się, że pierwsze filmy zajmują szczególne miejsce

w sercu każdego reżysera, człowiek chce wówczas wyrzucić z siebie wszystko, co nagromadziło się w jego życiu. Kiedyś rozmawiałem o tym z Bernardem Bertoluccim. Pokazaliśmy nasze debiuty na jednym festiwalu, 50 lat temu. To były inne czasy, byliśmy młodzi, nie mieliśmy żadnej wiedzy o pracy nad filmem. A jednak te pierwsze próby osiągnęły pewną jakość i utrwaliły się w pamięci widzów. Kto wie, czy nie powinniśmy zachować tych najwcześniejszych, młodzieńczych pomysłów na starość (śmiech).

Co sprawiło, że postanowił pan nakręcić ten film?

– Jako chłopiec sam trafiłem do szkoły z klasztornym internatem we Francji i spędziłem w niej trzy lata. Bardzo dobrze znałem panujące tam reguły wychowawcze i dyscyplinę narzucaną młodym ludziom,

Volker Schlöndorff – ur. w 1939 r. w Wiesbaden. Większą część młodości spędził we Francji. Już podczas studiów rozpoczął naukę rzemiosła filmowego u najlepszych francuskich reżyserów: Louisa Malle’a, Jeana-Pierre’a Melville’a, Alaina Resnais. Za debiutancki film „Niepokoje wychowanka Törlessa” (1966) otrzymał w Cannes nagrodę krytyków. Za nakręcony ponad dekadę później, na podstawie powieści Güntera Grassa, „Błaszany bębenek” (1979) Złotą Palmę i Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego.

w których buzują witalność, gniew i płatanina emocji. Jednocześnie w tego typu instytucjach zawsze dochodzi do walki o władzę, dominację, miejsce w hierarchii. Nawiasem mówiąc, ostatnio myślałem, żeby wrócić do tego tematu w kolejnym filmie. Być może będzie on moim ostatnim. Historia dotyczyłaby epizodu z życia Vivaldiego, który przez kilka lat pracował jako kierownik chóru dziewczęcego w weneckim sierocińcu. Ale, wracając do tematu, osobiste doświadczenie to jedno, druga sprawa, że historia tych chłopaków wydawała mi się świetną metaforą stanu mojego państwa.

W pewnym sensie film ten można odczytywać jako studium przedwojennego społeczeństwa niemieckiego, jego skłonności do ulegania przemocy, co zaowocowało przyzwoleniem na faszyzm i jedną z największych zbrodni w historii ludzkości.

– Tak, dokładnie tak było. Film stanowił krytyczny i jawny komentarz na temat postawy wyedukowanych i uprzywilejowanych przedstawicieli niemieckiej burżuazji, którzy stali

tylko nagłośni sprawę. Film zdobył niesłyszczaną popularność wśród arthouse'owej publiczności. Osoby, które najgłośniej krzyczały, właściwie same nakręciły szeroko zakrojoną debatę na temat poczucia moralnej odpowiedzialności za wojnę.

A to musiało naznaczyć tożsamość kolejnych pokoleń – stało się wręcz doświadczeniem formującym. Pojawiło się pytanie, czy dzieci ponoszą odpowiedzialność za czyny rodziców.

– W tamtych czasach, a mówimy o latach 60., nie było rozwiniętej telewizji. Kino nie miało aż takiej siły oddziaływania, więc dla mojego pokolenia, które przyszło na świat w trakcie wojny lub po jej zakończeniu, te pytania wydawały się na początku czymś odległym. Nie byliśmy winni zbrodni nazistów w sensie prawnym, ale mieliśmy poczucie, że – jako pierwsza powojenna generacja – jesteśmy produktem tamtej kultury i rezultatem błędów, które wystąpiły w narodzie niemieckim. To nie pojawiło się wraz z Hitlerem. Podatny grunt był przygotowywany dużo wcześniej. Połowa moich filmów

nastolatek, byłem w Paryżu, kiedy toczyły się straszliwe wojny kolonialne w Wietnamie i Algierii.

To teraz przeskoczmy o dekadę. Pana twórczość z lat 70. była silnie naznaczona politycznie. Śmiem twierdzić, że powstał wówczas jeden z najważniejszych obrazów kina niemieckiego, którego był pan współinicjatorem – „Niemcy jesienią”.

– Byłem święcie przekonany, że zapyta pan o „Utraconą część Katarzyny Blum”. Kiedy pracowałem nad tym filmem, niemieckie społeczeństwo było skrajnie i trwale podzielone. Należałem do pokolenia '68, wykiełkował wówczas fenomen zaangażowanej politycznie młodzieży. Osobiście znałem kilku członków Frakcji Czerwonej Armii (RAF), zwanej grupą Baader-Meinhof. Kiedy ich liderzy zostali uwięzieni, wraz z moją ówczesną żoną Margarethe von Trotta odwiedzaliśmy ich w więzieniu. Pewnego dnia zostali znalezieni martwi w swoich celach. Margarethe próbowała przekonać opinię publiczną, że za ich śmiercią stały służby specjalne. Ja utrzymywałem, że po-

pełnili zbiorowe samobójstwo, co wydawało mi się jeszcze bardziej dojmujące. Nie mogę sobie wyobrazić potworniejszego losu: kiedy człowiek próbuje zmienić

Literatura to moja pierwsza miłość i zawsze próbowałem ją pogodzić z miłością do kina. Moją biblią jest „Wojna i pokój” Lwa Tołstoja.

z boku i wręcz obojętnie patrzyli na dochodzenie nazistów do władzy. Nie było w nich żadnych oznak strachu, a gdy rozpoczęły się rządy brutalni i sadystów, na reakcję było za późno. Törless definiuje taką postawę – jedynie stoi obok, gdy jego kolega jest upokarzany i maltretowany przez rówieśników. To milczenie powoduje ciche przyzwolenie na krzywdę. Pasywność staje się współwiną. Dla mnie to także opowieść o tym, jak łatwo wskazać drugiego człowieka palcem i powiedzieć: „To jest wróg”. **Jak zareagowała publiczność?**

– To oczywiście wywołało skandal. Wszystkie gazety trąbiły o naszej premierze w Cannes. Niemieccy dyplomaci w geście niezgody wyszli z sali, trzaskając drzwiami i wykrzykując: „To nie jest niemiecki film!”. W następnych dniach protestowali przed ambasadą. Było jasne, że to

jest próbą rozliczenia się z tym haniebnym dziedzictwem.

Jakie obrazy wojny zostały w pana głowie na zawsze?

– Powiem więcej: nie tylko dobrze pamiętam tamten czas, ale wciąż jestem strauatyzowany wydarzeniami z 19 lutego 1944 r. Tego dnia moja mama zginęła w pożarze kuchni. Kilka miesięcy później nasz dom został doszczętnie zniszczony w bombardowaniu, dlatego ojciec postanowił, że musimy uciekać z miasta. Pamiętam jak dziś, że ukrywaliśmy się w lesie, gdzie stał mały, drewniany barak. Mam też takie jaskrawe wspomnienie, jak właśnie z tego lasu wyszli amerykańscy żołnierze. Siedzieli w dżipach, wielkich ciężarówkach i czołgach. Strasznie byłem ich widokiem podekscytowany – to jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. Warto dodać, że potem, jako

świat na lepsze i ostatecznie odbiera sobie życie, by zmanifestować swoją niezgodę. Już bardziej tragicznie idealizm skończyć nie może.

„Niemcy jesienią” to nowelowy, kolektywny obraz zrealizowany przez najwybitniejszych filmowców pańskiego pokolenia. Jego powstanie zainspirowały wydarzenia z lat 1975-1977. RAF okupowała wówczas ambasadę RFN w Sztokholmie, mordowała sędziów i działaczy politycznych, porwała samolot Lufthansy w Mogadiszu i uprowadziła szefa Niemieckiego Związku Pracodawców Hannsa Martina Schleyera.

– Te wiadomości wstrząsnęły nami, ale jednocześnie oburzała nas jednostronność komentarzy w mediach. Zwołaliśmy spotkanie monachijskich reżyserów i rozpoczęliśmy rozmowy o filmie, który miał stanowić alternatywny głos opinii ▶

publicznej. Jeszcze tego samego dnia podjęliśmy decyzję, że zrobimy to razem. Kręciliśmy nazajutrz. „Niemcy jesienią” były więc projektem partyzanckim. Od początku traktowaliśmy ten film w kategorii oddolnego ruchu, manifestu środowiska. I przede wszystkim zapisu nastrojów pewnej epoki. Odbiór był taki, jak można było się spodziewać: studenci i młodzi ludzie, którzy pragnęli coś zmienić, byli wtedy uznawani za terrorystów. Ale młoda publiczność odnalazła w tym filmie odzwierciedlenie niepokojów społeczeństwa roku 1977. Po części był to pamflet. A po części requiem mówiące, że radykalnymi środkami i przemocą nie da się niczego zmienić.

Dziś, po 45 latach, najczęściej wraca się pamięcią do pańskiej adaptacji „Błaszanego bębenka” Güntera Grassa. Ten tytuł przylgnał do pana jako znak firmowy. Jak udało się nakręcić ten film w komunistycznej Polsce?

– Początkowo myślałem, że nie powstanie. Nie wierzyłem, że da się go nakręcić. Kiedy zacząłem rozmowy na temat adaptacji, wyobrażałem sobie, że całą scenografię będziemy musieli wybudować w studiu, co przerosłoby nasz budżet. Wtedy Günter powiedział, że zdjęcia w Gdańsku są możliwe, i skontaktował mnie ze swoim przyjacielem,

Historia zatoczyła koło na naszych oczach. Nie dokonał się żaden postęp.

który był na miejscu i stał się moim przewodnikiem po mieście. Pojechałem tam. Oglądałem miejsca, w których rozgrywa się akcja powieści, i rozumiałem, że nie można tego filmu nakręcić gdzie indziej. Nasza ekranizacja „Błaszanego bębenka” wygląda jak czysta fantazja i groteska, ale Günter traktował ją niemal jak zapis dokumentalny. To wszystko, co dzieje się w tle, wydarzyło się naprawdę i Günter był tego świadkiem. Przedwojenny Gdańsk, ten swoisty mikrokosmos, był dla niego całym światem.

Ale jak wyjaśnić przyznanie pozwolenia na zdjęcia w Gdańsku?



– Początkowo chcieliśmy, żeby film powstał w koprodukcji z Polską, jednak nasz wniosek został odrzucony. Książka Güntera nie była publikowana w bloku wschodnim, z powodu sceny pod koniec, w której kobieta zostaje zgwałcona przez żołnierza Armii Czerwonej. W dodatku jest to bardzo mały epizod, wszystkie inne wątki zostały ponoć przepuszczone przez polską cenzurę. Najchętniej cenzorzy zatwierdzili wątek obrony Poczty Polskiej i postać Jana Brońskiego, którego w filmie zagrał Daniel Olbrychski.

Wracając do zdjęć w Gdańsku – byliśmy zdesperowani. Wiedzieliśmy, że na taki projekt rząd PRL nie wyda zgody. Aż pewnego dnia pojawił się jakiś człowiek

z Telewizji Polskiej, który zasugerował nam, że „Błasany bębenek” mógłby zostać zrealizowany jako film telewizyjny. Na taki film nie były potrzebne żadne zezwolenia z góry. Musieliśmy tylko utrzymywać, że robimy kino niskobudżetowe, co miało się z prawdą. Byliśmy wielką, międzynarodową produkcją. Trudno było nam udawać jej skromność, kiedy przyjechaliliśmy do Gdańska z kilkusetosobową ekipą, zamknęliśmy drogi w centrum miasta i wywiesiliśmy wszędzie nazistowskie flagi. Ludzie byli przerażeni, ale żadnego cenzora to nie obeszło. Być może było to ciche przyzwolenie władz.

Film nagradzano na świecie, ale wywołał burzliwą dyskusję i wiele

W tym roku mija 45 lat od premiery „Błaszanego bębenka”.



reakcji krytycznych. Kanadyjskie organy rządowe nie pozwoliły pokazywać go w kinach, uznając, że niektóre sceny z udziałem 11-letniego Davida Bennenta ocierają się o dziecięcą pornografię. W Oklahomie sąd poszedł o krok dalej i nakazał konfiskatę kaset wideo z wypożyczalni w całym stanie.

– Zabawne, że nigdy nie było to drażliwym tematem w Europie. Uważam, że doszło wówczas do głosu typowe purytańskie podejście Amerykanów do życia. Myślę, że cenzura, nożyce, to coś, co nosimy w naszych głowach. Krytycy tych scen zaprzeczali, by dzieci mogły mieć cokolwiek wspólnego z seksualnością, że nie pozwala na to ich rozwój. Każdy lekarz i każdy rodzic wie, że to po prostu część naszej natury.

A jednak tuż po premierze przeniósł się pan do Stanów.

– Nie, wyjechałem dużo, dużo później. Po „Błaszanym bębenku” nakręciłem „Fatszerstwo”. Jego akcja dzieje się w ogarniętym wojną Bejrucie. Odgłosy wystrzałów stanowiły tło dla dialogów. Ten film jest żywy do dzisiaj i szczególnie ważny właśnie teraz. Kiedy patrzę na obrazy z 7 października 2023 r.



ze Strefy Gazy, są one dokładnie takie same jak w naszym filmie sprzed 40 lat. Historia zatoczyła koło na naszych oczach. Nie dokonał się żaden postęp.

Kolejnym przystankiem była Francja.

– Nakręciłem tam „Miłość Swan-na” na podstawie Marcela Prousta, z Jeremym Ironsem i Alainem Delonem. Po tym filmie odezwał się do mnie Dustin Hoffman – zaproponował, żebym przyleciał do Nowego Jorku i zrobił ekranizację „Śmierci komiwojażera”. Poczuję się tym onieśmielony, ponieważ nie wiedziałem wiele na temat amerykańskiego społeczeństwa, a jednak zostałem namaszczonej przez samego Hoffmana. Wtedy zdecydowałem się zostać i pracować w Stanach. Robiłem tam różne rzeczy. Jedną z nich była adaptacja „Opowieści podręcznej”, na długo przed serialem telewizyjnym. Chwilę później wróciłem do Berlina. I stamtąd, w roku 1991, przyjechałem do Torunia.

Wspomniał pan o „Opowieści podręcznej”, która po latach doczekała się serialowej adaptacji i stała swoistym symbolem walki o prawa kobiet. Pańska wersja nie miała takiego odzewu widowni.

– W zasadzie pierwsze, co wpadło mi w ręce, to scenariusz Harolda Pintera. Jeśli chodzi o jego podejście do literackiego pierwowzoru, nie ma co ukrywać, że nie był on feministą. Książkę wybebeszył z najróżniejszych wątków i swobodnie je przesuwiał. Nie lubił emocji, stawiał na tzw. ostre cięcia. Nie miałem z tym problemu, po prostu taka była jego wizja. Po latach muszę jednak stwierdzić, że powstał film bardziej w duchu Pintera niż Margaret Atwood.

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę przy wyjeździe do Ameryki – przystosowanie się do nowego miejsca i nowego systemu produkcji filmowej nie było wyzwaniem?

– Nie, nauczyłem się żyć w tym kraju. Dorastałem w trakcie tzw. amerykańskiej okupacji, którą my w domu postrzegaliśmy w kategoriach amerykańskiego wyzwolenia. Od szóstego roku byłem pod wpływem tamtej kultury. I nie chodzi tylko o to, że wychowałem się na literaturze amerykańskiej. Długo przebywałem wśród dzieci amerykańskich oficerów, którzy sprowadzali do Niemiec swoje rodziny. W Wiesbaden, gdzie mieszkałem od urodzenia, Amerykanie mieli dowództwo. Nawiasem mówiąc, siły zbrojne USA

mają tam dzisiaj główną siedzibę wojsk w Europie, skąd koordynują pomoc Ukrainie.

I tak, odpowiadając na pańskie pytanie – pracę w różnych krajach zawsze postrzegałem jako wielki przywilej. Jako okazję, by w ciągu jednego życia kilkakrotnie zmienić tożsamość, a przy tym nie porzucić swojej. Kiedy jako nastolatek wyjeżdżałem do Francji, ojciec mówił, że powinienem zostać w domu, bo zatracę tam samego siebie. Z perspektywy lat uważam, że nie miał racji. Każde spotkanie z inną kulturą sprawia, że stajemy się bogatsi. Koniec końców i tak okazuje się, że te wszystkie kraje może różni się od siebie, ale są tam dokładnie tacy sami ludzie, z takimi samymi potrzebami.

I tu jeszcze jeden niezwykle ciekawy wątek. Filmy, o których rozmawiamy, za każdym razem miały źródło w literaturze.

– No tak, wszystkie są adaptacjami. Jestem rzeczywiście mołem książkowym. Czytam bez przerwy. Podczas podróży na Camerimage, a więc w drodze z Berlina do Torunia, powtórzyłem jedną z powieści Roberta Musila. Nie dlatego, że musiałem, ale dla czystej przyjemności płynącej ze spotkania z jego językiem. Nie ruszam się z domu bez książki. Literatura jest moją pierwszą miłością i zawsze próbowałem pogodzić ją z miłością do kina. W tym sensie można mnie nazwać poligamistą (śmiech).

A kogo dziś pan czyta, za kim pan podąża?

– Mógłbym wymienić mnóstwo nazwisk i tytułów, ale numerem jeden, moją biblią, jest „Wojna i pokój” Lwa Tołstoja. Wracam do tej książki raz na 10 lat. I powoli zaczynam rozumieć, co jej autor miał na myśli. Jestem w takim wieku, że lubię sięgać po książki, które już przeczytałem. To mój rytuał i moje święto. Ludzie wierzący też mają swoje rytuały, do których wracają. Dla mnie taką wiarą i rytuałem jest literatura czy, mówiąc szerszej, kultura.

Mateusz Demski

Rozmowa odbyła się podczas 31. Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych EnergaCAMERIMAGE

Najlepszym scenarzystą jest życie

Tę prawdę dawno przyswoili sobie autorzy dramatów i reżyserzy. Chętnie więc sięgają po konkretne wydarzenia, tworząc nowe spektakle

Tomasz Miłkowski

Na pierwszy rzut oka niedawnych premier w stolicy nic nie łączy. A jednak wszystkie one – „Czekając na Godota” w Narodowym, „Polowanie na osy” w Studiu czy monodram „108 kostek cukru” prezentowany gościnnie w Instytucie

Teatralnym – są silnie zakotwiczone w rzeczywistości. Nawet jeśli prawie tego nie widać w komedii Samuela Becketta albo ten związek jest po części zamaskowany jak we wspomnianym monodramie, albo odwrotnie – demonstracyjnie eksponowany jak w spektaklu Studia opartym na książce reportera. Tak naprawdę chodzi w nich zaś o to samo: o zajrzenie do świata bohaterów.

A JEŚLI GODOTA NIE MA?

Od dawna podejrzewałem, że Godot nie istnieje. Żyje tylko w głowach bohaterów dramatu Becketta. A więc i czekanie na niego nie ma sensu. Choć z drugiej strony, jeśli Godota by nie było, należałoby go wymyślić. Genialna intuicja Becketta kazała mu utrzymywać bohaterów w złudnym mniemaniu, że Godot nazajutrz się pojawi. Kimkolwiek lub czymkolwiek jest. Na koniec tego czekania znużeni Vladimir i Estragon zapowiadają, że ruszą dalej, że nie będą już tu trwać. Jednak ani drgną. Tkwią na miejscu, z przekonaniem, a może i bez przekonania, że to jedyne wyjście.

Minimalistyczna inscenizacja Piotra Cieplaka, trzymająca się litery i sensu tekstu, trochę z konieczności, bo teatr musiał zobowiązać się do tego w umowie z właścicielem praw autorskich, a trochę z wyboru, bo takie ograniczenie okazało się zbawiennym wędzidłem, otworzyła szansę głębinowego badania dzieła. Okazało się, że choć niby wszystko wiadomo, wciąż można w nim znaleźć tajemnice i wyzwania, które otwierają prawdziwe morze skojarzeń. Na tym polega jego siła, ale i wyzwanie, przed którym stają aktorzy tworzący na małej Scenie Studio Teatru Narodowego niezrównany kwartet.



Aż trudno uwierzyć, że 17 teatrów odmówiło Beckettowi wystawienia tego dramatu, który miał się stać znakiem rozpoznawczym naszych czasów.

Para włóczęgów, a tak naprawdę uciekinierów (to wiemy od samego Becketta, uciekającego podczas wojny z okupowanej Francji do strefy Vichy), obcych tutaj, zdezorientowanych i niepewnych swego losu, z coraz większym trudem rozpoznaje miejsca, sytuacje, przedmioty, a nawet siebie nawzajem. Estragon Mariusza Benoit, wciąż przebywający jak gdyby gdzie indziej,

w stanie ustawicznego popłochu i umęczenia, próbuje nadal uciekać. Ale zamiast tego stapia się z otoczeniem, ze znakami natury, w niezrównany sposób naśladując szum wiatru. Vladimir Jerzego Radziwiłowicza najwyraźniej woli tkwić w miejscu, niż nadal wędrować, pamiętać więcej i wciąż przypomina, że mają czekać na Godota. Ich rozstania i powitania, zapominane i nagle odkrywane rytuały rozpraszają pustkę i nudę, która trawi bezrobotnych trampów, chociaż wcale nie możemy być pewni, czy nie odgrywają przed nami dobrze przygotowanego przedstawienia. Co pewien czas przerywane jest przecież zejściami „na stronę” w dosłownym sensie.

Nudę rozprasza także pojawiająca się druga wędrująca para – to miejscowi, pan i jego tragarz, Pozzo i Lucky. Pozzo Cezarego Kosińskiego jest okrutnikiem i narcyzem,

Lucky Bartłomieja Bobrowskiego jego sługą i ofiarą, masochistycznie oddanym, z uśpioną tylko potrzebą dominacji. Daje temu wyraz podczas brawurowego monologu, który wymusza posłuch.

Koło nawracających retrospekcji zamyka (a może otwiera) pojawiający się Chłopiec (Franciszek Krupowicz/Oliwier Felczak), domniemany wystannik pana Godota zapowiadający, że Godot dzisiaj nie przyjdzie, ale nazajutrz zjawi się na pewno. W tym kołowrocie resztek egzystencji kryje się mechanizm napędowy dramatu, który tak naprawdę nigdy się nie kończy, wciąż rozniecając w przegranych i zmęczonych bohaterach (a może i w widzach) isierkę nadziei. Monumentalne dzieło.

Aż trudno uwierzyć, że 17 teatrów odmówiło Beckettowi wystawienia tego dramatu, który miał się stać znakiem rozpoznawczym naszych czasów.

108 KOSTEK CUKRU

Ten monodram w wykonaniu Ireny Sierakowskiej to adaptacja pamiętnika z pierwszych tygodni powstania warszawskiego, przeżyć młodej kobiety zapisanych nie z perspektywy członkini organizacji bojowej, ale cywilnej. Istotą przedstawienia jest konfrontacja aktorki z autorką, też Ireną Sierakowską, siostrą jej dziadka, która zginęła na warszawskiej ulicy jak wiele innych cywilnych ofiar powstania.

Tamta „powstańcza” Irena utknęła wraz z narzeczoną na bliskim Żoliborzu, kiedy Niemcy zablokowali most Gdański, potem para usiłowała się przedostać bliżej rodziców, a szukając schronienia, znalazła się w końcu w piwnicy, ostatnim bastionie chroniącym przed śmiercią.

Jeden z towarzyszy niedoli uwięzionych w tym samym schronie odnajduje niedaleko ich kryjówki – kiedy głód coraz bardziej zagląda w oczy – paczkę ze 108 kostkami cukru. To ich jedyne pożywienie i ratunek przed ostatecznym wycieńczeniem.

Irena aktorka po latach, które minęły od śmierci „tamtej” Ireny, wchodzi w posiadanie nadpalonego pamiętnika nigdy niepoznanej krewnej. Wgryza się w treść zapisków, nie zawsze czytelnych, ale przez to jeszcze bardziej dramatycznych i autentycznych. Ten istotny szczegół wykorzystowała autorka scenariusza Zuzanna Bojda, zostawiając w tekście monodramu te szczeliny zagłady – miejsca z urwanym tekstem, już nie do odczytania, ale do domyslenia się i wypełniania po swojemu.

Irena Sierakowska gra „tamtą” Irenę oszczędnie, właściwie tylko szkicuje, przymierza się do niej,



108 kostek cukru to jedyne pożywienie i ratunek przed ostatecznym wycieńczeniem.

poszukuje odpowiedzi, jaka była. Odkrywa istniejącą niewidoczną więź z nieżyjącą ciotką. Ten związek, dla samej aktorki do końca niezrozumiały, tworzy szczególny klimat opowieści, prowadzonej na granicy osobistego zwierzenia i aktorskiego wcielenia.

Minimalistyczna scenografia, celowo odchodząca od bezpośrednich nawiązań do topografii powstańczej Warszawy, kieruje uwagę widza w stronę uniwersalnego sensu spektaklu. A jednak podczas prezentacji „108 kostek cukru” w Instytucie Teatralnym w Warszawie doszedł do głosu genius loci, odczuwalny na równi przez widownię, jak i aktorkę. Wszak miejsca wydarzeń odnotowanych w pamiętniku były niemal na wyciągnięcie ręki. Warszawska sceneria – choć tylko w wyobrażony sposób – najwyraźniej ożyła wieczorem 13 grudnia 2023 r. w tym instytucyjowym pokazie monodramu.

POLOWANIE Z NAGONKĄ

To była głośna sprawa w połowie lat 90. Troje maturzystów dopuściło się haniebnego zbrodni – planowany napad rabunkowy na biuro skończył się morderstwem młodej pracownicy, a cały gniew opinii publicznej skupił się na Monice Osińskiej (Wiktoria Kruszczyńska). Wprawdzie osobiście morderstwa nie dokonała, ale została uznana za prowodyrkę, osobę zwyrodniałą i do cna zdemoralizowaną. Powędrowała jak pozostali sprawcy do więzienia z dożywotnim wyrokiem. Życie nastolatki zostało przekreślone u samego początku drogi. Zemsta doskonała. Nikogo nie obwinia, wie, że sama sobie zgotowała ten los, ale czuje, że mogłaby – odmieniona – zasłużyć na drugą szansę.

Sprawa jaskrawie niesprawiedliwego wyroku poruszyła Lidię Ostałowską (Dominika Ostałowska), wybitną reporterkę, która kilka lat poświęciła przygotowywaniu książki o losach dziewczyny, aż do chwili, kiedy skazana oświadczyła, że nie zgadza się na dalsze spotkania i nie chce już żadnych publikacji o sobie. Po śmierci Ostałowskiej jej dokumentacją zainteresował się Wojciech Tochman i doprowadził myśl o reportażu poświęconym Monice Osińskiej do końca. Tak powstała „Historia na śmierć i życie”, książka będąca hołdem dla Lidii Ostałowskiej i jej poczucia reporterskiej misji, a potem scenariusz spektaklu Natalii Korczakowskiej.

To właściwie dwa spektakle w jednym, bo obok sprawy Moniki Osińskiej, ukazanej zarówno przez pryzmat hejtu, jak i nagonki żadnych sensacji mediów, Korczakowską – śladem Tochmana – interesuje postanowienie dziennikarza, reportera, jego/jej rola. Toteż równorzędną bohaterką jest Lidia Ostałowska i jej przesłanie do



To była głośna sprawa w połowie lat 90. Troje maturzystów dopuściło się haniebnego zbrodni – planowany napad rabunkowy skończył się morderstwem.

następców, jakże ważne w czasie, kiedy tak potrzebna jest formuła niezależnego, uczciwego i odpowiedzialnego dziennikarstwa.

Powstało przedstawienie przejmujące, zagrane i zrealizowane z pasją, które apeluje do wrażliwości etycznej widzów i decydentów. Korczakowska jak Tochman walczy z bezwzględnością prawa, które nie daje przestępcom żadnej szansy na poprawę. Walczy też o wysoko zawieszoną poprzeczkę etyki dziennikarskiej.

Całą scenę zajmuje więzienna klatka – za kratami rozgrywa się większość akcji, aby ani na chwilę nie zapomnieć o opresyjnym charakterze pozbawienia wolności i bezwzględności tych, którzy dla własnej korzyści, sławy albo potrzeby odwetu nie znają litości. W tok opowieści reżyserka wplotła multimedia i komentarze wokalne utalentowanego rapera, co uniosło spektakl ponad poziom realistycznej narracji.

Metafora i metafizyczne tchnienie dramatu Becketta, motyw czekania, który ogniskuje nieśpieszną akcję, w jakiś sposób, być może podświadomie, przenika myślenie wielu twórców. Rzecz nie w ryzykownych porównaniach, ale warto odnotować, że w skromnym monodramie Sierakowskiej ten motyw też się pojawia – czekanie na sposobność opowieści i wyraźna trudność w zbliżeniu się do bohaterki sprzed lat. W „Polowaniu na osy” czekanie staje się dotkliwą codziennością głównej postaci, wyglądającej chwili wolności.

Każdy z tych spektakli, choć innymi środkami i na innym poziomie uogólnienia, próbuje zgłębić niepokój i lęk współczesnego człowieka, jak to celnie ujmuje Piotr Cieplak: „człowieka na rozstajach”.

Tomasz Miłkowski

Samuel Beckett, „Czekając na Godota”, tłumaczenie Antoni Libera, reżyseria Piotr Cieplak, Teatr Narodowy, Scena Studio, premiera 9 grudnia 2023.

Zuzanna Bojda, „108 kostek cukru” na podstawie powstańczego pamiętnika Ireny Sierakowskiej, reżyseria Agata Puszczyk, Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu, Scena Kameralna, premiera 20 grudnia 2019.

„Polowanie na osy” według książki Wojciecha Tochmana, reżyseria Natalia Korczakowska, adaptacja Marcin Cecko, Natalia Korczakowska, Teatr Studio, premiera 24 listopada 2023.

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Pragnienie jatki

Nie potrafię się cieszyć cudzym nieszczęściem, co obecnie jest nieumiejętnością szczególnie dotkliwą. Nie od dziś wiadomo, że nic tak nie nasyci Polaków jak schadenfreude, ale ostatnio mam wrażenie, że to w ogóle jedyne pożywienie narodu. Piszę ten felieton tuż przed manifestacjami zwołanymi przez PiS w Warszawie – nie wiem zatem, jakie będą ich skala i konsekwencje – ale już sam fakt, że Kaczyński dostał tak prędko po wyborczym niepowodzeniu paliwo do zwołania wielotysięcznych demonstracji antyrządowych, napawa mnie trwogą. PiS jest partią, która rośnie na konfliktach, przyjmuje strategię konfrontacyjną i ma doświadczenie w zarządzaniu awanturami, tak by rezonans społeczny był po myśli partii. Tymczasem ostatnie tygodnie koalicji rządzącej stały pod znakiem koszarowych zmaganiań w tzw. kręcenie wora (zainteresowanych szczegółami technicznymi odsyłam do wspomnień Witkacego z czasu służby w carskiej lejbgwardii). Innymi słowy, dowodzenia, że „nie jesteśmy miększonami”. Chłopaki chłopakom chcą pokazać, że potrafią jeszcze bardziej bezceremonialnie stawiać na swoim.

Dali się sprowokować tym wszystkim bezkarnościowym rechetom, gestom Kozakiewicza w Sejmie i poszli na zwarcie. Jakkolwiek TVPiS wymagała radykalnej interwencji, a panowie Kamiński i Wąsik za swoje manipulacje i nadużycia powinni ponieść stosowną karę, styl przejęcia mediów publicznych i osadzenia skazanych postów trudno nazwać inaczej niż populistyczno-odwetowym. Gdyby chodziło o realne odbycie kary

przez obu panów, którzy wszakże dokonali przestępstw 17 lat temu, poczekanie do końca kadencji Dudy byłoby całkiem rozsądne – przyszły prezydent nie musi być tak skory do prawa jatki. Tymczasem Kaczyński, mitoman i mitotwórca zarazem, zaraz zrobi z tych łajdaków świętych, w nimbie więźniów politycznych staną się nowymi bohaterami ludu smoleńskiego, odsiedzą tyle, ile trzeba, żeby mit Tuskolandu jako państwa totalitarnego odpowiednio rozgorzał, a potem wyjdą zdrowsi (Wąsik schudnie na diecie więziennej, a Kamiński będzie miał darmowy odwyk) i dowartościowani. Duda w końcu wykona poprawnie procedurę ułaskawienia, skoro był gotów udzielić schronienia obu panom w pałacu.

Przez osiem lat kacyzmu przyglądaliśmy się ze zgrozą, jak PiS „gra na twardy elektorat”, karmiąc resentyment i pragnienie ludowej zemsty na liberalnych demokratkach, teraz widzę analogiczną taktykę Koalicji 15 Października. Bardzo bym nie chciał, aby nazwano mnie symetrystą, ale trudno mi oprzeć się wrażeniu, że Platforma wchodzi w buty PiS, startując w zawodach na pokazywanie sobie węża. Nie chciałbym jeszcze bardziej, aby kacyzm okazał się chorobą zakaźną, swobodnie rozprzestrzeniającą się po wszystkich opcjach politycznych.

Mstliwość i zamiłowanie do linczu potrafią wypaczyć najślusniejszą nawet sprawę – oto np. niefortunne autodafe Marcina Kąckiego stało się przyczyną lawiny tak jadowitych i mizoandrycznych wystąpień internetowych, że nie wiem już, od czego mnie bardziej mdli – od narcystycznej dezynwoltury autora,

romantyzującego swoje łajdactwa, czy od tutti chóru moralizatorek, prześcigających się w pomysłach na to, jak najokrutniej zlikwidować szeroko zdefiniowany dziadocen.

Drzemie w Polakach pragnienie jatki. Uciekam przed tym w różne strony, także do kina, gdzie właśnie wchodzi wcale niezły „Kos” Pawła Maślony. Ta udatna żonglerka narodowymi mitami ma kilka momentów wybitnych, a moim ulubionym jest ten, w którym Kościuszko zadaje szlachcie skorej do ruchawki, choć nader lichy uzbrojonej, pytanie: „Czy wy aby na pewno chcecie te wojny wygrywać?”. Bo może chodzi tylko o awanturę, nie o zwycięstwo. Zadałbym dziś to pytanie wszystkim polskim politycznym harcownikom, bez względu na stronnictwo, które reprezentują. ■



Ewa Pobłocka

Bach, Das Wohltemperierte Klavier II

NIFC

Znakomita chopinistka nagrała wzorcowo zbiór preludiumów i fug Jana Sebastiana Bacha.



Są tego aż dwa tomy po 24 utwory, więc „druga połowa cyklu” mieści się na dwóch krążkach CD. Za pierwszą część artystka otrzymała wyróżnienie Najlepszego Nagrania Miesiąca czasopisma „Gramophone”. Druga wcale nie jest gorsza. Dzieło największego geniusza wszech czasów działa zdecydowanie uspokajająco.

Bronisław Tumitowicz

Pomponiki męskości

Rok Fredry już zakończony, ale na łódzkiej scenie wciąż mądrze bawi jego komedia o niezniszczalnym dylemacie męsko-żeńskim. Komu powierzyć koło sterowe, jak układać relacje, jakie role są odpowiednie dla panów, a jakie dla pań. Choć autor miał jeszcze XIX-wieczną mentalność w tym względzie, z pomocą reżysera potrafił sensownie zaakcentować decydujące atrybuty męskości. Pomponikami...

Bronisław Tumitowicz



Aleksander Fredro, „Gwałtu, co się dzieje?”, reżyseria, adaptacja, opracowanie muzyczne Grzegorz Kempinsky, Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi, premiera 8 grudnia 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

Wiktor Marek Leyk

Dekada w polskiej YMCA

Olsztyn 2023

Najbardziej chyba znanym powojennym lokatorem gmachu YMCA przy ulicy Konopnickiej 6 w Warszawie był Leopold Tyrmand, który po powrocie z Norwegii znalazł tam wszystko, co mu było potrzebne do życia: schludne mieszkanko, stołówkę, basen i „dziewczyny w modnym podówczas stylu swing”, jak odnotował w „Dzienniku 1954”. Wraca do tej postaci Wiktor Marek Leyk, mazurski działacz, poseł na Sejm IX kadencji, który w 1989 r. reaktywował organizację o nazwie YMCA. Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej, oficjalnie powstały w Polsce 100 lat temu, po wojnie istniał tylko do 1949 r. i dopiero Leyk przywrócił go do życia. Opisuje to w książce stanowiącej kronikę organizacji, przetransponowanej z Wielkiej Brytanii. Leyk wraz z kolegami jeździł po świecie, odnawiał kontakty i jako sekretarz generalny YMCA Polska tworzył struktury w naszym kraju, popularyzując sport i muzykę jazzową, tak silnie związaną z postacią Tyrmanda.



Marek Książek

nawet jeśli należał do dziewięciolatki. Na północnych krańcach Szwecji patroli mało, odległości do pokonania duże. Do czego może doprowadzić bezkarność? Powieść dziennikarki i pisarki wywodzącej się z dwóch głównych mniejszości na Północy, Saamów i Tornedalczyków, oparta jest na prawdziwych wydarzeniach. Autorka miała np. wgląd we wspomnianą w tekście ponad setkę zgłoszeń na policję. Rysuje złożony obraz, w którym zawierają się pogarda i nienawiść do „Lapońców”, wyrażane nieraz w absurdalnych formach, ale też protekcyjne zachwyty i obfotografowywanie ludzi jak eksponatów z muzeum etnograficznego; krzywdy instytucjonalne – babka Elsy doświadczyła traumy „szkoły dla nomadów”, zmiany klimatu i wreszcie zbyt duży, niemożliwy do uniesienia dla wielu ciężar życia.

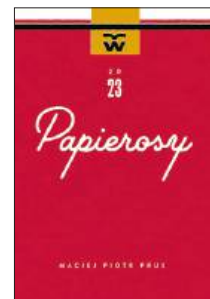
Aleksandra Pańko

Maciej Piotr Prus

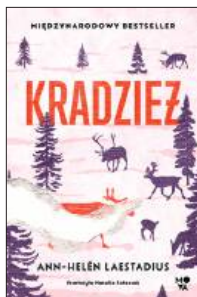
Papierosy

Wydałem, Warszawa 2023

Ponoć każdy nosi w sobie temat na książkę. Prus taki temat przez lata nosił w kieszeni, zapisany na paczce papierosów. Jego autobiografia intymna z papierosem to „pieczołowicie skrócone ze sobą odcinki, migawki i strzępy pamięci”, które „układają się w osobistą historię, przefiltrowaną przez masową wyobraźnię, emigrację i dziejowe przełomy”. Takich książek jak „Papierosy” trochę już było – sam Prus autobiografizował wcześniej w „Wyznaniach właściciela klubu Piękny Pies” – ale nowa mikropowieść nie jest tylko elegią o czasach młodości. To wyznanie wiary w wolność, nawet gdy ta jest krok po kroku odbierana. Parafrazując swojego kolegę Jerzego Pilcha, Prus mógłby powiedzieć: „Pałę, kiedy wypalam pierwszego papierosa, i pałę, kiedy wypalam ostatniego papierosa, wtedy pałę tym bardziej, ponieważ ostatniego papierosa nie wypaliłem nigdy”.



Rafał Pikuta



Ann-Helén Laestadius

Kradzież

tłum. Natalia Kołaczek

Wydawnictwo Kobiectwo, Białystok 2023

Policja nie przyjedzie. Postępowanie umorzone. Te dwa zdania regularnie zamykają sprawy skarg saamskich hodowców. W świetle prawa zabicie renifera, choćby i bestialskie, to kradzież. W dodatku pośledniejszej wagi. Ktoś skłusował zwierzaka? Wielkie meczy,

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Słonie w archiwach

Nawet ci, którzy oczyścili swoje mieszkania ze starych płyt DVD, bo pogodzili się z tym, że już nigdy ich nie odtworzą, mają na dnie szuflady skitany woreczek lub dwa ze starymi biletami do metra, pocztówkami z wystaw malarstwa renesansowego lub wizytówkami typu najlepsze oprawki w mieście. Te nasze wypełnione pamiątkami worki, koperty, koszulki są jak kapsuły czasu, które uzupełnia się nie wiadomo po co i trzyma w schowku nie wiadomo dla kogo.

Nie ma w nich wybitnych poematów, kompozycji muzycznych warty ocalenia czy opisów działania penicyliny. Raptem kilka zdjęć, trochę pożółkłego papieru, jakieś śmieci. Ale może Richard Rorty miał rację – okrucieństwem jest opisywanie kogoś w naszych własnych kategoriach (czyjeś skarby to dla nas śmieci). Jednak jakie znaczenie może mieć dla kogoś postronnego nieporadny rysunek słonia z rebusem, który oświecony Hindus namalował spaloną zapałką na jakiejś oceanicznej plaży pewnego lata siedem lat temu? Albo rzeczy, które są już zepsute, ale nie umiemy ich wyrzucić?

Woreczek z tego typu rupieciami to nie aberracja ludzi sentymentalnych, tylko uniwersalna potrzeba. Internet ma na nią produkt: kapsuła czasu – na każdą kieszeń. I ty możesz mieć własne archiwum, a w nim pomniki ja, (auto)biografie, rebusy, a nawet słonie z plaży.

Tak oto reklamuje się kapsuła: „Kapsuła czasu to pojemnik na przedmioty, ale również nośnik historii, tradycji i wartości. Warto w niej umieścić pamiątki, które są dla nas wyjątkowe: listy, fotografie, drobne przedmioty, które niosą ze sobą emocje i wspomnienia. To doskonały sposób, by pokazać

przyszłym pokoleniom, jakie były nasze pasje, marzenia i życiowe osiągnięcia”. 725 zł za kapsułę czasu, ale – uwaga – pojemnik może w przyszłości posłużyć także jako urna. Jest wszak solidny, z kamienia, i ma dobre wieko.

Co umieściliby państwo we własnej kapsule? Czy staraliby się państwo sprawić, żeby kapsuła nie była nudna? Próbowaliby przedstawić siebie jako osobę interesującą? Czyli – nie wiadomo – dwuznaczną? Niedorzeczną? Obdarzoną talentem do: pierożków, strzyżenia ogona, seksu oralnego? Pisania sonetów, palimpsestów, palindromów, sestyn, mów pogrzebowych? Przemów dla marszałka? Podziękowań? Przeprosin?

Bo przecież gdyby teraz przejrzeć naszą kopertową kapsułkę – byłaby podobna do wszystkich innych:

pierwszy pies, zdjęcie z Mikołajem, mleczny ząb, medal dziadka, kilka starych zdjęć z kolejnych legitymacji, karta pływacka, pocztówka znad morza od babci.

„Kochana rodzinko. Pogoda tu jest dobra, wczoraj poszliśmy pieszo do Jastarni. Dziadek znalazł kilka prawdziwków. Noga mniej mu dokucza. W niedzielę zwiedziliśmy latarnię morską. Widok był piękny: tylko mewy i morze. Wracamy za tydzień. Jak tam wujek Janek? Ściskamy. PS Przywieziemy wam wędzoną rybę i ładną muszelkę dla Kal”.

Nawet teksty ze starych pocztówek są do siebie podobne. Co moglibyśmy powiedzieć o naszym życiu, czego nie mógłby powiedzieć ktokolwiek o własnym? Że nas bolało i kochaliśmy? Że byliśmy silni i młodzi? Że żyliśmy pewnego razu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl



mg



www.wydawnictwomg.pl



**Sowy mają lornetkę w oku!
Potrafią przybliżyć sobie obraz,
wydłużając teleskopowe oko!
Ot, taki naturalny zoom**

Sowiej głowie dość dwie słowie

Konrad Malec

Niewiele zwierząt może się równać z sowami pod względem obecności w symbolice. Za sprawą nocnego widzenia sowa stała się ucieleśnieniem dostrzegania tego, co dla dziennego zwierzęcia, jakim my jesteśmy, pozostaje niewidoczne. Stąd już blisko do mądrości. Choć Hegel pisał, że sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu, czyli że mądrzejemy na starość, to przecież lepiej późno niż wcale. Z drugiej strony staropolskie porzekadło mówiło, że każda sowa głupia w dzień. Rzymska Minerwa przejęła cechy Ateny, obie były symbolizowane przez półdłki widniejące na ich tarczach. Szacunek, jakim starożytni Hellenowie darzyli Atenę, rozciągał się na te ptaki i do dziś są one tam dobrze traktowane, mimo fatalnego stosunku Greków do zwierząt. Jednak pierwszym ptakiem symbolizującym boginię mądrości była wrona, co wydaje się słusznym wyborem, zważywszy na przymioty intelektualne tego ptaka. Półdłka zastąpiła wronę dopiero po tym, jak król Lesbos Epopeus

zgwałcił swoją córkę Nyktimene. Ta ze wstydu ukryła się w lesie, nie śmiąc za dnia nikomu ukazać twarzy. Atena ulitowała się nad dziewczyną, zmieniając ją w sowę i czyniąc z niej swój emblemat.

Sowi mózdek

Jak to z mitami bywa, prawdy w nich niewiele, ale ciekawie objaśniają świat. Wbrew mitowi nauczyciele biologii uwielbiają wbić do uczniowskich głów, że sowy w rzeczywistości są głupie, a mądrymi w naszych oczach uczyniły je duże głowy. I tu znów mamy do czynienia z mitem, tym razem rozsiewanym przez belfrów, oczywiście nie wszystkich, w ciałach pedagogicznych są też znakomici przyrodnicy. Otóż sowy to ptaki przeciętnie inteligentne, ale są bystrzejsze niż w powiedzeniu o ptasich mózdkach (wprawdzie mózdek odpowiada za koordynację w przestrzeni, a nie za inteligencję, ale kto by się przejmował detalami neurologicznymi...). Przekonanie o tępotcie ptaków bierze się również z braku szarych komórek w ich mózgach. Tyle że inteligencja

Czerwona lista ptaków Polski klasyfikuje włochatkę jako bliską zagrożenia.

u ptaków lokalizuje się w płatach czołowych, czyli w największej części ptasiego mózgu. I choć ten jest niewielki – uległ ewolucyjnej miniaturyzacji jako przystosowanie do lotu – zawiera 8-10 razy więcej połączeń niż mózg ssaka, działając jak superwydajny, zminiaturyzowany komputer.

Za to duża głowa jest... sprawą względną. Tak to chyba należy ująć. Sowy są mocno upierzone, przez co wydają się dużo większe niż w rzeczywistości. Znaczne ilości piór pomagają w wyciszeniu lotu i zapewniają mniejsze straty ciepła, co dla nocnych łowców jest dość istotne. Gdyby ptaszysko oskubać, okazałoby się, że w rękę mamy jedną trzecią tego, co widzieliśmy przed jego roznegliżowaniem. Niemniej na tle reszty wątlęgo teraz ciała głowa byłaby dość imponująca, przynajmniej w porównaniu z głowami innych ptaków. Rzecz w tym, że wypełniają ją przede wszystkim oczy, stanowiące aż 5% masy ptaka! To tak, jakby moje oczy ważyły 4 kg! I były wielkości piłki do koszykówki. Tylko że sowie nie są

okrągłe, ale cylindryczne, i w całości nie mieszczą się w głowie, wystają sporo przed nią. Nie widzimy tego z uwagi na pióra. Taka budowa sprawia, że sowy widzą doskonale z dużej odległości. Gorzej z bliska – by zobaczyć upolowaną ofiarę, muszą zrobić kilka kroków w tył. W niczym to im nie przeszkadza, ich sprawny mózg zapamiętuje lokalizację, a gdy ptak ma posiłek w szponach, świetnie sobie z nim radzi dzięki piórom czuciowym przy dziobie. Pełnią one tę samą funkcję, co wibrysy domowych Mruczków i Reksiów.

Drugą właściwością sowiego oka jest zdolność widzenia w ciemności. Po prawdzie nie wszystkie sowy doskonale widzą nocną porą, niektóre, zwłaszcza te z dalekiej północy, gdzie panuje polarny dzień, nieszczególnie radzą sobie w nocy, za to dość dobrze widzą kolory. Przykładem takiej sowy jest sóweczka, polodowcowy relikw w naszych stronach. Ale już puszczyk czy płomykówka są typowymi nocnymi łowcami. Ich nocne widzenie jest możliwe za sprawą wielkich źrenic, które wpuszczają więcej światła, dodatkowo wzmacnianego przez błonę odbłaskową za siatkówką. To powoduje, że ich oczy są 100 razy bardziej wrażliwe na światło niż oczy gołębia, a od naszych przeszło dwuipółkrotnie. Wprawdzie sowy nie widzą kolorów tak dobrze jak my (my z kolei możemy pozazdrościć gołębiom), ale w nocy barwy nie na wiele im się zdadzą. Sowy mają jeszcze jedną cechę, której bardzo im zazdrościć – lornetkę w oku! Potrafią przybliżyć sobie obraz, wydłużając teleskopowe oko! Ot, taki naturalny zoom.

Oczy umieszczone z przodu głowy pozwalają na widzenie stereoskopowe, czyli obuoczne. To pozwala dokładnie określić odległość do ofiary lub przeszkody. Szerokość widzenia sów wynosi ok. 110 stopni, dla porównania nasza to 180 stopni, a gołębia – ponad 300 (za sprawą oczu umieszczonych z boku głowy). Kąt nakładania się widzenia obu oczu, to 60-70 stopni, nasz 110 (gołębia tylko 10, co oznacza, że słabo widzi do przodu). Sowy zatem widzą jak my przez lornetkę. W tym przypadku oznacza to, że nie widzą na

boki. Jednak myliłby się ten, kto by podejrzewał, że to sowy upośledza, ich szyje składają się z 14 kręgów, umożliwiających obrót głowy o 270 stopni. To tak, jakbyśmy, obracając głowę w prawo, spojrzeli za lewą łopatkę! U standardowego osobnika ludzkiego głowa obraca się jedynie o 90 stopni.

Antena satelitarna

Mimo tych niezwykłych umiejętności sowy nie widzą w totalnych ciemnościach, gdy księżyc jest w nowiu, a blask gwiazd przysłonięty chmurami. Jak wówczas sobie radzą? W głowach mają dokładną mapę okolicy. Tak dokładną, że znają położenie drzew, krzewów, a nawet poszczególnych gałęzi. To umożliwia im bezkolizyjny lot. Reszty dopełnia rewelacyjny słuch. Talerze, które widzimy wokół oczu sów, to szlara. Spełnia ona tę samą funkcję, co talerz anteny satelitarnej, z tym że zamiast łapać fale radiowe, wychwytuje fale dźwiękowe, które kieruje prosto do uszu, znajdujących się po bokach głowy, na wysokości oczu.

Sowy, podobnie jak większość nocnych lotników, poruszają się bezszelestnie. Gdyby było inaczej, płoszyłyby ofiary.

Uszy sterczące ponad głowę, obecne u niektórych gatunków, np. u puchacza czy uszatki (która zawdzięcza im swoje miano), to w rzeczywistości pęczki piór, mające ułatwić maskowanie się tych ptaków. O ich skuteczności niech świadczy fakt, że uszatka jest drugą najliczniejszą sową w Polsce, której być może mamy nawet 25 tys. par. Ale niewielu ludzi ją widziało. Nawet stali bywalcy lasów zwykle czekają na zimę, gdy uszatki gromadzą się w stada i wspólnie usiłują przetrwać ten czas. Często w tym celu wybierają tereny otwarte, blisko ludzi. Pierwsze uszatki widziałem w świerkach przy jednej z podłódzkich plebanii, a jedno z najbardziej znanych zimowisk w Polsce znajduje się na Polu Mokotowskim. Zaniepokojone uszatki kładą pióra ciasno, przy samym ciele, przez co szczupleją o dwie trzecie. Stawiają

przy tym owe pęczki na sztorc, reszty dopełnia maskujące ubarwienie, charakterystyczne dla wszystkich sów. Wyglądają wtedy jak ułamany konar.

Inne z moich najwcześniejszych spotkań z tą sową miało miejsce w łódzkim Lesie Łagiewnickim, jednym z największych w obrębie miasta w Europie. Dostrzegłem sowy śpiące na gałęzi. Gdy po przejściu kilku kroków obróciłem się, by jeszcze na nie popatrzeć, musiałem się wysilić, by je odnaleźć.

Pęczki służą także do informowania partnerki lub partnera o stanie emocjonalnym. Krótko mówiąc, gdy pan sowa wraca do gniazda i widzi małżonkę z „uszkami” na sztorc, może się spodziewać tego, co ja, gdy spoglądam w oczy żony, wracając z terenu z kilkugodzinnym spóźnieniem. Albo – co pewniejsze – że w okolicy czai się zagrożenie. U innych sów, np. płomykówek, sygnalizacja odbywa się za pomocą zmiany kształtu szlary.

Wracając do uszu, prawdziwych nie widzimy, ptaki nie mają małżowiny usznej, ich narząd słuchu zaczyna się od ucha środkowego. Rolę

małżowiny odgrywa szlara. Ewolucja umieściła sowie uszy niesymetrycznie – jedno jest nieco wyżej niż drugie. Dlatego dźwięk wpada do jednego ucha szybciej niż do drugiego. Różnica sięga zaledwie tysięcznych, a nawet kilkunastotysięcznych części sekundy, ale to wystarczy sowiemu mózgowi do wychwycenia różnicy i precyzyjnego namierzenia ofiary choćby i w całkowitej ciemności. Sowy dalekiej północy, np. rzadko u nas zimujący puchacz śnieżny (znany światu za sprawą Hedwigi dostarczającej korespondencję Harry’ego Pottera), potrafią usłyszeć obiad pod półmetrową warstwą śniegu. Usłyszany leming czy nornik jest niemal bez szans, potężna sowa przebija się przez śnieg i wyciąga delikwenta na mróz.

Czuły słuch umożliwia usłyszenie najdrobniejszego szmeru, ale ta zaleta ▶

► może być wadą, szczególnie w ciągu dnia, gdy większość sów śpi. Wyobraźmy sobie wiosenny las, który od wschodu do zachodu słońca rozbrzmiewa ptasimi śpiewami. Albo ruchliwą szosę, przecież sowy spotyka się i w takich miejscach. Na szczęście wiele tych ptaków ma umięśniony pasek skóry, którym potrafią zatkać uszy.

Cisza w przestworzach

Kończąc zaś wątek dźwięku, sowy, podobnie jak większość nocnych lotników, latają bezszelestnie. Gdyby było inaczej, płoszyłyby ofiary. Co ważniejsze, hałasując, sowa sama sobie utrudniałaby polowanie, wszak jeśli ofiara rejteruje, sowa to słyszy. Koryguje wówczas lot, by złapać uciekiniera. O tym, jak skutecznie działają sowe tłumiki, świadczy przypadek kolegi z łódzkiego zoo, który opiekował się puchaczami. Gdy pracowałem w zoo, zamieszkująca tam para puchaczy była już bardzo wielkoka, możliwe, że starsza ode mnie. Wprawdzie wiosną składała jaja, ale chyba z przyzwyczajenia – jaja od lat były niezależne. Niemniej puchacz przykładał się do zadania

drewnianego ucha bezproblemowo wykrywał ptaki, słysząc bicie skrzydeł małej sikorki i wielkiego żurawia, lecz sowiego lotu nie słyszałem nigdy, choć puszczyki są moimi sąsiadami i często się spotykamy).

W bezdźwięcznym poruszaniu się pomaga wspomniana głowa, która jest okrągła. W połączeniu ze stosunkowo wolnym lotem nie rozcina ona gwałtownie powietrza. Podobnie działają zaokrąglone końcówki skrzydeł. Jeszcze ważniejsza jest budowa pióra. Po pierwsze, pióra pokryte są meszkiem, po drugie, krawędzie najważniejszych lotek (to te duże pióra na skrzydłach) są ząbkowane. Jedno i drugie działa jak tłumik – prowadzi do rozbijania powietrza bez tworzenia się w nim zawirowań wywołujących trzask charakterystyczny dla ptaków dziennych. Duża liczba piór, powodująca wspomnianą krągłość sylwetki, też nie jest bez znaczenia, one również ograniczają efekt głośnego przecinania powietrza.

Dzięki tym niezwykłym cechom sowy należą do najznakomitszych łowców (oddając nam przy tym masę przysług). Ich dzioby zaopatrzone w krajce (po staropolsku to nożyczki), czyli bardzo ostre krawędzie, bez

olbrzymiego (nietoperz) w Polsce jest znane z wypluwki płomykówki. Ponieważ te sowy nie są wytrawnymi wędrowcami i spędzają całe życie w jednej okolicy, uznano, że najpewniej został on upolowany na miejscu. Drugie stwierdzenie było słabo udokumentowane i część specjalistów je podważa.

Minionego roku z córką zbieraliśmy wypluwki uszatek i puszczyków, rozpuszczaliśmy je, wyrzucaliśmy sierść i oglądaliśmy kości pod lupą, usiłując oznaczyć ssaczy drobiazga na podstawie czaszek (a ściślej zębów). Woleliśmy wypluwki uszatek, czaszki w nich są lepiej zachowane.

Sowie smuteczki

Zacząłem od tego, że sowy są symbolem mądrości, ale mają też drugie oblicze, szczególnie w naszej części świata. Symbolizują m.in. śmierć, zwłaszcza pójdzka, której głos interpretowano jako „pójdz”, do czego dodawano „w dołek pod kościołek”, czyli na cmentarz. Motyw ten pojawia się w „Cichym Donie” Michaiła Szołochowa, gdzie pójdzka odzywa się z cmentarza, a jeden z głównych bohaterów przez kilka nocy bezskutecznie usiłuje ją zabić. W powieści sowa zapowiada wyniszczającą wojnę, która zabierze wielu mieszkańców wsi (pod koniec z głównych bohaterów żyje już tylko Grigorij Melechow i jego syn, a i to zapewne niedługo).

Głosy płomykówek przypisywano strygom, słowiańskim wampirycznym demonom. Martwe sowy przybijano do drzwi domostw, stajni i obór, co miało odstraszać demony, choroby, a nawet pioruny. Odnalezienie sowy w czyimś domu, szczególnie kobiety, mogło prowadzić na stos. W Biblii symbolizują tych, którzy nie chcą się otworzyć na światło zbawienia, czyli pogan, herettyków i filozofów. Z drugiej strony wciągnięcie do płuc popiołu z sowy leczyło wszelkie choroby dróg oddechowych, rosół z niej stosowano na krztusiec, a gotowane jaja puchacza poprawiały wzrok. Trudno w to uwierzyć, ale w XXI w. nadal są ludzie, którzy wierząc w demoniczny aspekt sów, są gotowi je uśmiercać.

Szyje sów składają się z 14 kręgów, umożliwiających obrót głowy o 270 stopni. To tak, jakbyśmy, obracając głowę w prawo, spojrzeli za lewą łopatkę!

sumiennie, toteż pielęgniarz podczas sprzątania małej woliery musiał szczególnie uważać. Chłopak wysprzątał klatkę, mając ptaszyska cały czas na oku. Schylił się, by podnieść śmieci, a gdy się wyprostował, nie zobaczył samca. Miał go za plecami. Woliery była naprawdę niewielka, puchacz musiał przelecieć tuż nad głową opiekuna. A mówimy o ptaku, który potrafi zaatakować znacznie większego intruza zagrażającego lęgom, w tym człowieka. O ptaku, którego szpony bez trudu zabijają jeża, przechodząc przez jego igły i zatapiając się we wnętrzu, bez uszczerbku dla łap napastnika! Kolega nic nie słyszał, choć był ornitologiem, a ptasiarze mają ucho wyczulone na wszelkie ptasie dźwięki (sam mimo

trudu tną ofiary. Sowy zjadają swoje łupy wraz z sierścią i kośćmi (o ile to nie lis lub inne zwierzę podobnej wielkości, takie zdobycze zdarzają się puchaczom i innym dużym socom). Silne kwasy żołądkowe rozpuszczają wszelkie białko, pozostawiając sierść, kości, pióra czy pancerzyki owadów (one także znajdują się w spektrum ofiar sów, np. ponad połowę pokarmu niewielkiej pójdzki mogą stanowić chrząszcze, dżdżownice i inne bezkręgowce). Niestrawione resztki w żołądku są formowane w podłużne bobki i wypluwane, dlatego zwiemy je wypluwkami lub zrzutkami. Kości w nich są tak oczyszczone, że materiał kostny staje się podstawą wielu badań drobnych ssaków. Jedyne niemal pewne stwierdzenie borowca

Ale to nie zabobony są największym zmartwieniem nocnych łowców. W naszym kraju występuje 10 gatunków lęgowych plus syczek, najmniejsza sowa Europy, który dwukrotnie próbował u nas odbyć lęgi. Ponadto dwa gatunki wpadają do nas na zimę. Spośród owej dziesiątki dla sóweczki, pójdzki i płomykówki nie udało się określić stopnia zagrożenia, z powodu zbyt małej ilości

fragmentację przestrzeni i zmiany klimatu. W najlepszym razie mamy ich 35 par, choć bywają lata, gdy błotnica w ogóle nie przystępuje u nas do lęgów. Mszarniak jest nowym obywatelem Polski, zamieszkał u nas niespełna półtorej dekady temu (wcześniej bywał jedynie turystycznie), mamy go zaledwie kilka par. Istnieje ryzyko, że machnie na kraj Lachów skrzydłem, jeśli będziemy

zagrożone gatunki) klasyfikuje jako bliskie zagrożenia. Wprawdzie od lat ich populacje są względnie stabilne, a w przypadku puchacza udało się nawet osiągnąć lekką poprawę, ale oba ptaki występują bardzo nielicznie, jeśli chodzi o puchacze, to jest ich zaledwie 280-380 par. Oba gatunki potrzebują starych lasów, włośzatka – szpilkowych, najlepiej świerkowych (więcej o niej w PRZEGLĄDZIE z 11 kwietnia 2022 r.). Dla włośzatki i puchacza, a także dla puszczyka mszarnego i sóweczki, wyznacza się strefy ochronne wokół gniazd. W obszarach tych nie wolno przebywać, są oznaczone tabliczkami „ostoja zwierzyny” i polskim godłem (jak każdy obiekt chroniony) i naprawdę lepiej tam nie wchodzić. Wejście do takiej strefy może oznaczać duży mandat od straży leśnej lub policji, ale przede wszystkim zagraża ptakom. Dlatego proszę wszystkich o omijanie takich miejsc. Sam tak robię, a jak mało kto znam pokusę, jaką jest spotkanie przy gnieździe z rzadkim i pięknym ptakiem.

Konrad Malec

Znaczne ilości piór pomagają w wyciszeniu lotu i zapewniają mniejsze straty ciepła, co jest dość istotne dla nocnych łowców.

danych! Ich populacje są w Polsce nieliczne, choć jeszcze niedawno nie było wsi, w której nie mieszkaby przynajmniej jedna pójdzka lub płomykówka.

Sóweczce zagrażają intensywna gospodarka leśna i zmiany klimatu, jej kuzynkom intensyfikacja rolnictwa. Dwa kolejne gatunki, uszatka błotna i puszczyk mszarny, są zagrożone wyginięciem. Ta pierwsza przez zanik bagien i mokradł,

osuszać mszary (specyficzny rodzaj mokradła). Gniazduje w lasach sobiborskich, a od niedawna także w polskiej części Puszczy Białowieskiej. Niestety, po ukraińskiej stronie bywa nielegalnie odstrzeliwany (a przynajmniej tak było przed wojną, nie ma powodu przypuszczać, że teraz jest inaczej).

Dwa kolejne gatunki, włośzatkę i puchacza, Czerwona lista ptaków Polski (dokument opisujący



Filharmonia
Narodowa

KATE LIU

26/27.01

Orkiestra Filharmonii Narodowej
Andrzej Boreyko – dyrygent, Kate Liu – fortepian

Mendelssohn-Bartholdy, Mozart, Beethoven

Na koncerty zaprasza
Mecenas Roku
Filharmonii Narodowej



Polska Grupa Energetyczna

Organizator



Strategiczny
Mecenas

Mecenas



Bank Polski

Sponsor



Polska Grupa Energetyczna



TAVEX

filharmonia.pl

**Szymon Jastrzębowski,
Tomasz Związek**

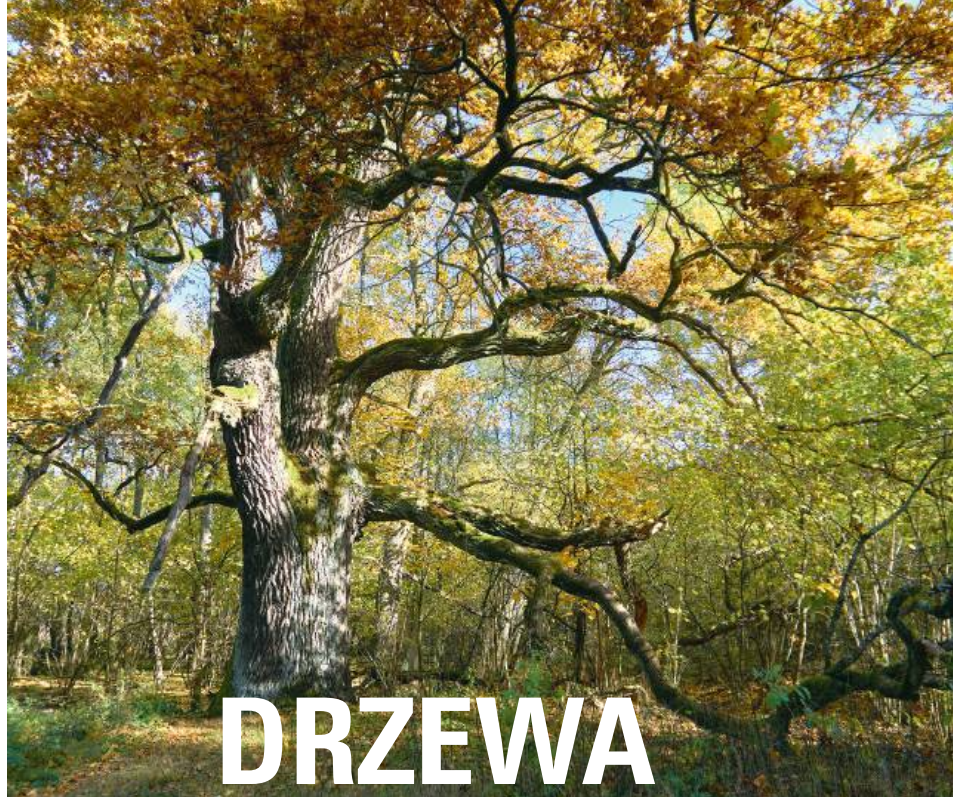
Kiedy zrodziła się Puszcza Kampinowska? Jak wyglądał jej początek? Czy zaczęła się od pojedynczego drzewa? (...) Jedno jest pewne: nikt z nas nie widział początków puszczy, ale ona powstała i wciąż się stwarza. Codziennie od nowa. Puszcza trwa dopóty, dopóki może – do ostatniego butwiejącego pnia, do ostatniego nasiona. Nie ma zagospodarowanych części i nie daje się okiełznać. Być może właśnie dlatego w wyobraźni wielu ludzi jest czymś groźnym i nieznanym. Aby ją oswoić, musimy się jej pozbyć. Zamienić na rzadki równo posadzonych, samotnych sadzonek. A przecież drzewa to bardzo towarzyskie organizmy. Bez trudu można dostrzec to wszędzie, gdzie odradza się puszcza. (...)

Drzewa lubią być blisko siebie i wspólnymi siłami budować ekosystem, czyli tworzyć więzi, które z czasem przekształcają się w coś, co badała m.in. Suzanne Simard. W jej artykule opublikowanym w „Nature” zostało to określone jako *wood wide web*, czyli leśny internet. Las to złożony system zdolny do adaptacji. Musi taki być, bo tworzące go organizmy roślinne nie są zdolne do przemieszczania się (co nie oznacza, że się nie ruszają). Gdyby nie ta niezwykła zdolność adaptacyjna wspierana przez umiejętność pozyskiwania i przetwarzania ogromnych ilości danych (i to wszystko bez udziału układu nerwowego), drzewom nie

**Nie można przywrócić puszczy jej pierwotności,
można natomiast przywrócić puszczy jej charakter.**

udałoby się przetrwać 350 mln lat na tej planecie. Komunikacja, odbieranie i reagowanie na sygnały dochodzące ze środowiska są warunkiem koniecznym do przetrwania. (...)

Puszcza Kampinowska wyłoniła się z mroków dziejów w podobnym okresie, co Puszcza Białowieska, czyli wraz z zakończeniem ostatniego zlodowacenia – ok. 11 tys. lat temu. Można powiedzieć, że gdy się formowała, jej obecny obszar znajdował



DRZEWA lubią być blisko siebie

Pozwólmy Puszczy Kampinowskiej żyć

się w mniejszym lub większym stopniu pod wodą. Płynęła przez nią ogromna Prawiśła ciągnąca się od dzisiejszego koryta aż do wysokości miasta Błonie. W najszerszym miejscu ta prazeka miała 16–18 km. (...)

Drzewa to prawdziwi kolonizatorzy leśnego świata – raz zajętych terenów nie oddają bez walki. Jako pierwsze pojawiają się brzozy,

być takie do dziś, gdybyśmy pozwolili działać siłom natury w nieskrępowany sposób.

Na mapach potencjalnej roślinności naturalnej opracowanych dla Kampinowskiego Parku Narodowego przez Jana Marka Matuszkiewicza można znaleźć następujące potencjalne zbiorowiska roślinne: dwa typy olsu, łęg wierzbowo-topolowy, łęg jesionowo-olszowy, dwa typy łęgu jesionowo-wiązowego, dwa typy grądu (wysoki i niski), dąbrowę świetlistą, trzy typy boru mieszanego, trzy jednostki w ramach borów świeżych, bór wilgotny, bór bagienny.

Krajobrazową strukturę potencjalnej roślinności naturalnej Puszczy Kampinowskiej można przydzielić do trzech różnych krajobrazów roślinnych:

1) dolina Wisły – krajobraz dolinowych łęgów jesionowo-wiązowych, w których istotną rolę odgrywają także łęgi wierzbowo-topolowe oraz w mniejszym zakresie łęgi jesionowo-olszowe i grądy;

wierzy (karłowate) i sosny. Wszystkie te gatunki mają niewielkie nasiona zaopatrzone w aparat lotny w postaci błoniastego skrzydełka. Pozwala im to na szybowanie i przemieszczanie się wraz z prądami powietrza. Początkowo drzewa rosły w dużych odległościach od siebie i nie tworzyły zbiorowiska leśnego, ich skład gatunkowy i rozmieszczenie były zatem różne od znanego nam obecnie. Mogłyby one zresztą

2) stare tarasy w pradolinie Wiśły – krajobraz borów, borów mieszanых i grądów z dużym udziałem łęgów jesionowo-olszowych i olsów;

3) obszar Równiny Łowicko-Błońskiej – krajobraz grądowy.

(...) W dzisiejszej puszczy odnajdujemy jedynie echa jej dawnej świetności. Lasy porastające obecny obszar Kampinoskiego Parku Narodowego to w większości drzewostany sosnowe sztucznego pochodzenia, posadzone i użytkowane w ramach planowej gospodarki leśnej głównie po II wojnie światowej. Jedynie w obszarach ochrony ścisłej (OOS), stanowiących zaledwie 12% powierzchni parku, można doszukiwać się mgnienia tej dawnej puszczy, choć i tam widać ślady dawnej działalności człowieka. Niestety, nie znajdziemy tu lasów pierwotnych. Zresztą nie znajdziemy ich już prawie nigdzie, a ten brak naturalności stanie się największym kompleksem wielu polskich parków narodowych. (...)

Lasy Puszczy Kampinoskiej były kształtowane przez prawa natury mniej więcej do okresu wpływów rzymskich i stworzenia przez przedstawicieli kultury przeworskiej czegoś, co dziś w literaturze naukowej funkcjonuje pod nazwą Mazowieckiego Centrum Metalurgicznego, którego rozkwit przypadł na I i II w. n.e. Niewątpliwie istotny wpływ na obszar dzisiejszej Puszczy Kampinoskiej miała też kolonizacja na prawie niemieckim (XIII–XV w.). Od tego momentu postępująca antropopresja trwała aż do czasów utworzenia parku narodowego.

Jadwiga i Roman Kobendzowie, naukowcy, inicjatorzy i współtwórcy ustanowionego w 1959 r. Kampinoskiego Parku Narodowego, tak komentowali inicjatywę jego założenia: „Puszcza Kampinowska jest reminiscencją potężnej puszczy, która jeszcze w XVIII w. zwartym płaszczem pokrywała bagna i piaski pradoliny Wiśły poniżej Warszawy (...). Teren przyszłego parku narodowego jest obszarem cennym z naukowego punktu widzenia, nadającym się do prowadzenia zespołowych badań przyrodniczych. Lasy pokrywają wspaniały kompleks wydym

śródlądowych. Podobnie klasycznych i tak dobrze zachowanych form niewiele istnieje na świecie. Interesująca jest roślinność puszczy, typy jej lasów, bagniste łąki. Świat roślinny i zwierzęcy zachował wiele cennych elementów dzięki niedostępności tego obszaru, na który składają się bagna albo piaski”. (...)

Dostrzegając niezaprzeczalne walory Puszczy Kampinoskiej, przyrodnicy wskazywali także na zagrożenia i konieczność ochrony najcenniejszych jej fragmentów: „Jeżeli Puszcza Kampinowska ma istotnie stać się parkiem narodowym przyciągającym rzesze mieszkańców stolicy, to musi ona zachować, chociażby na pewnych obszarach, charakter puszczy. W obecnej chwili tylko gdzieś niedaleko istnieją rozrzucone wśród młodników partie starego, stuletniego lasu, lecz są one stopniowo eksploatowane. Stosunkowo większe

wysunięte stanowiska ma właśnie w Puszczy Kampinoskiej”. (...)

Jak zatem wyglądał krajobraz Puszczy Kampinoskiej 8 tys. lat temu? Na pewno była już w pełni ukształtowanym lasem. Milena Obrembska, badaczka z Instytutu Nauk Geologicznych PAN w Warszawie specjalizująca się w paleoekologicznych analizach dotyczących dynamiki dawnych krajobrazów, stwierdza: „Nie było nas – był las. Taki porządkowy, liściasty, zwarty, z podszytem i bogatym runem. Skład roślinności runa zmieniał się wraz ze zmieniającym się lasem. W miejsce roślin światłolubnych pojawiły się rośliny znoszące tymczasowe ocienienie. Dzięki palinologii, jednej z metod badań paleoekologicznych, możemy się dowiedzieć, jak ta dawna szata roślinna wyglądała. Możemy niejako ją odtworzyć w zasięgu lokalnym, ale także regionalnym. Tak

Drzewa to prawdziwi kolonizatorzy leśnego świata – raz zajętych terenów nie oddają bez walki. Jako pierwsze pojawiają się brzozy, wierzyby (karłowate) i sosny.

powierzchnie leśne przedstawiają drzewostany 50-, 100-letnie. Ale już dziś można iść lasami dziesiątki kilometrów, widząc tylko młodniki i drągowiny sosnowe. Nasuwa się konieczność zarezerwowania pewnych połaci ocalałych jeszcze starszych drzewostanów dla przyszłych zadań parku narodowego (...).“

(...) Aby móc zacząć mówić o w pełni wykształconym zbiorowisku leśnym, od ustąpienia lodowca musiało upłynąć ok. 3 tys. lat. Następnie przez kolejne 8 tys. lat las ten podlegał wielu transformacjom i krył w swoich ostępach miejsca o specyficznym mikroklimacie (jak torfowiska): „Niezwykle ciekawym gatunkiem, przenoszącym nas niejako w czasie do okresu glacialnego, jest chamedafne północna, określana mianem reliktu polodowcowego. Ta niewielka i niepozorna roślina, objęta w naszym kraju ścisłą ochroną gatunkową, najdalej na południe

zwany deszcz pyłkowy roznosi się na bardzo duże odległości i stanowi mieszaninę pyłków różnych roślin występujących na danym obszarze. Dzięki pyłkom zachowanym w osadach torfowiskowych lub jeziornych możemy dziś określić, jakie rośliny występowały na tym terenie nawet kilka tysięcy lat temu”. (...)

Nie można przywrócić puszczy jej pierwotności. To, co zostało przekształcone przez człowieka, pozostanie takie na zawsze. Można natomiast przywrócić puszczy jej charakter. Można tworzące ją drzewostany zostawić samym sobie i pozwolić im się „zapuszczyć”. Można pozwolić im się zestarzeć, rozpaść i ponownie odrodzić. My, ludzie, możemy uwolnić puszcę spod naszej kontroli i pozwolić jej żyć. (...)



Szymon Jastrzębowski, Tomasz Związek, Jacek Marek (fotografie), *Puszcza Kampinowska. Opowieści o wydymach, mokradłach i sosnach. Przewodnik po krajobrazach przyrodniczo-kulturowych*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023

Jak ramen stał się częścią kuchni japońskiej

W Japonii ramen szybko się zamawia, szybko dostaje, szybko zjada i szybko wychodzi

Marcin Wojtasik

Ramen nie ma jednej oryginalnej wersji, o której można by powiedzieć, że to jest wzorec ramenu. W wielu miastach i miasteczkach Japonii rozwinęły się lokalne odmiany, które można przypisać do kilku podstawowych kategorii, ale każda jest też samodzielnym daniem z własną historią, często mocno związaną z historią i specyfiką miejsca powstania. Od smaganej syberyjskimi wichrami wysepki na najbardziej północnym krańcu Japonii, poprzez wielkie megalopolis na pacyficznym wybrzeżu Honsiu, po tropikalne wyspy na najdalszym południu, lokalne rameny oddają atmosferę miejsc i są świetnym wprowadzeniem do opowieści o innych japońskich daniach.

Historia ramenu wiąże się z wielką rewolucją, która dokonała się w japońskiej kulturze i objęła wszystkie sfery życia, od organizacji politycznej poprzez szkolnictwo, system lecznictwa, administrację, sądownictwo, system monetarny i wojsko, aż po sposób ubierania się i jedzenia. Mowa o tzw. Odnowie Meiji (często nazywanej także Restauracją Meiji), w czasie której Japonia – po wiekach izolacji – otworzyła się na świat, a jej przywódcy uznali, że kraj należy szybko dostosować do nowych warunków. Okres ten rozpoczął się w roku 1868 wraz z końcem długich rządów szogunów z rodu Tokugawa (znanych jako okres Edo) i objęciem pełni władzy w państwie przez cesarza. Wtedy również stolica została przeniesiona z Kioto do Edo, któremu zmieniono nazwę na Tokio. Był to jednak

dopiero początek wielkich zmian. Nowa, wykształcona w zachodnim duchu elita, wywodząca się z dawnych rodów samurajskich, uznała, że jedynie całkowite przekształcenie japońskiego społeczeństwa da mu warunki do przeciwstawienia się zachodnim mocarstwom kolonialnym. Japonia doświadczyła już presji ze strony tych mocarstw, kiedy w 1854 r. pod lufami amerykańskich kanonierek eskadry admirała Perry'ego została zmuszona do podpisania traktatów handlowych z USA, a w kolejnych latach także z innymi mocarstwami. Do tego czasu jedyne kontakty z zagranicą odbywały się za pośrednictwem kilku niewielkich placówek holenderskich i chińskich i miały bardzo ograniczony wpływ na japońską kulturę, w tym sposób odżywiania się.

Do czasu Restauracji Meiji Japończycy praktycznie nie jedli mięsa (z wyjątkiem ryb i owoców morza, a także wielorybów i morskich żółwi). Zgodnie z buddyjskimi regułami, było to zakazane i zakazu tego dość powszechnie przestrzegano. Kuchnia większości Japończyków oparta więc była wyłącznie na roślinach z niewielkim udziałem ryb. Ta tradycja dziś znana jest jako kuchnia tradycyjna, *washoku* (...). Obejmuje ona, poza daniami opartymi na ryżu, także makarony, takie jak gruby pszenny *udon* czy cieńszy gryczany *soba*, podawane w *dashi*, lekkich wywarach z wodorostów i suszonych ryb.

Reformatorzy doszli do wniosku, że taka dieta sprawia, że Japończycy są słabi. Większą ciężką fizyczną Europejczyków i Amerykanów tłumaczyli sobie, po części pewnie słusznie, spożywaniem mięsa. Dlatego w krótkim czasie, mocą decyzji

administracyjnych i przy niemałym sprzeciwie ze strony społeczeństwa, a zwłaszcza duchowieństwa buddyjskiego, wprowadzono do japońskiej diety mięso. W czasie uroczystego noworocznego posiłku w 1872 r. cesarz po raz pierwszy od wieków spożył mięso (konkretnie: wołowinę), a fakt ten podano do publicznej wiadomości. Od tego momentu weszło ono na stałe do japońskiej kuchni.

Jednak nieoczekiwanym problemem okazał się brak dań, w których można by spożywać mięso. Nowy składnik jakoś nie pasował do tradycyjnej kuchni. Dlatego, aby wprowadzić mięso do diety Japończyków, zaczęto adaptować różne europejskie dania mięsne. Tak powstała kuchnia *yōshoku* (zachodnie jedzenie), a daniami kuchni japońskiej stały się kotlety schabowe *tonkatsu*, krokiety *korokke*, curry (przejęte z jadłospisu brytyjskiej floty) *karē* i wiele innych „japonizowanych” dań z różnych kuchni europejskich.

Drugim źródłem przepisów na dania z mięsem była kuchnia chińska. Co prawda przez całą historię do Japonii docierały chińskie wpływy żywieniowe, od uprawy ryżu począwszy, poprzez herbatę, aż po wiele innych produktów i technik, jednak tempo i rozmach wymiany nigdy nie były takie jak w drugiej połowie XIX w. Pewna liczba Chińczyków przebywała w Japonii, jednak nie mieli oni prawa poruszać się po całym kraju i żyli dość odizolowani w chińskich dzielnicach w Jokohamie, Kobe i Nagasaki. Pierwsze wzmianki o tym, że można było u nich zjeść jakieś chińskie danie z makaronem w zupie, prawdopodobnie rodzaj *lamian* albo kantońskiego *lo mien*, sięgają lat 80.



XIX w. Klientami chińskich kucharzy, najczęściej przybyszów z prowincji Guangdong, byli wówczas jednak głównie chińscy studenci (...).

Dopiero na początku XX w., kiedy chińscy szefowie kuchni w restauracji zaczęli używać do przygotowania swojej zupy z makaronem japońskich składników, takich jak sos sojowy czy marynowane pędy bambusa *men-ma*, to tanie pożywne danie zaczęli jeść również japońscy studenci, żołnierze i robotnicy. (...)

Czy więc ramen jest daniem japońskim czy chińskim? Dla Japończyków nie ma wątpliwości, że to danie w stu procentach japońskie. (...) Ramen został wchłonięty przez japońską kulturę i przed wybuchem II wojny światowej był gotowany już także przez Japończyków. Prawdziwa kariera ramen zaczęła się jednak dopiero po wojnie. Japońska gospodarka, ale także oparta na nacjonalistycznych założeniach kultura doznały po porażce w II wojnie światowej dużego uszczerbku. Brakowało ryżu, znikła też polityczna presja z czasów imperium, by jeść „po japońsku”, czyli nie ulegać wpływom „niższych” nacji. Tani chiński (teraz już japoński) makaron, z pszennej mąki z amerykańskich dostaw, stał się bardzo popularny na ulicach dużych miast, przede wszystkim w Tokio. Bardzo szybko rozpowszechnił się w całej Japonii. W ciągu kolejnych dekad

Ramen nie jest jedzeniem z najwyższej półki cenowej. Choć kilka japońskich ramen shopów zdobyło gwiazdkę Michelin, to nawet tam jest to danie niedrogie.

w różnych miejscach rozwinęły się klasyczne style ramen.

W roku 1958 Momofuku Andō stworzył pierwszy ramen instant. Produkt ten został przyjęty przez rynek z entuzjazmem i stał się częścią kultury ramenowej.

Na początku lat 80. japońska scena ramenowa zaczęła nabierać dzisiejszego kształtu. Obok tanich jadłodziń pojawiły się miejsca z ramenem wyrafinowanym, dopracowanym do perfekcji przez mistrzowskich szefów kuchni. Miejsca te zaczęły szybko przyciągać tłumy *ramen otaku*, obsesyjnych fanów i koneserów ramen, choć wciąż nie był to ten model co dziś, np. do ramenowni nie chodziły kobiety, a przynajmniej nie chodziły same, tak mniej więcej do wczesnych lat 2000.

Ciekawym zjawiskiem w tym procesie było to, że ramen nie został wchłonięty przez wielkie korporacje. Obecnie tylko 20% rynku to duże sieci restauracji. Reszta pozostaje w rękach małych przedsiębiorców posiadających jeden lub dwa lokale. (...)

W latach 90. nastąpiło „odkrycie” ramen przez Zachód. Wpływowi szefowie kuchni, tacy jak David

Chang czy Ivan Orkin, rozpropagowali ramen w Ameryce, moda ta szybko dotarła także do Europy. Wykorzystując światową popularność dania, wielkie japońskie sieci restauracji ramen, takie jak Hide-Chan, Ichiran i Ippudo, rozpoczęły w nowym tysiącleciu globalną ekspansję i obecnie mają setki lokalizacji w Stanach Zjednoczonych, Europie i we wschodniej Azji.

Ramen to nie tylko makaron z zupą, to cała kultura związana z tym daniem i skupiona wokół miejsc, gdzie jest podawane, czyli ramen shopów (*ramenya*). Jest to specyficzny rodzaj restauracji z małą otwartą kuchnią i często bez stolików, tylko z ladą ciągnącą się po drugiej stronie kuchni z wysokimi krzesłami do siedzenia.

Z takich miejsc można obserwować, jak nasza miska jest przygotowywana, podziwiać pracę kucharzy, a czasem specjalne popisy przeznaczone dla gości, np. energiczne wytrząsanie wody z ugotowanego makaronu albo zamaszyste zraszanie misek zblendowaną słoniną. W kuchni najczęściej wystarczy miejsca tylko na garnki z przygotowanym wcześniej bulionem i garnek lub makaroniarkę z gorącą wodą do gotowania makaronu plus wąski blat do pracy.

O tym, czy restauracja jest otwarta, informuje wywieszony *noren*, czyli ozdobna zastona z nadrukowaną nazwą lokalu. Jest to powszechne oznaczenie wszystkich restauracji w Japonii, nie tylko tych z ramenem. (...)

Nie tylko *noren* znajdziemy jeszcze przed wejściem do środka ramen shopu. Obecnie w większości ramen shopów w dużych miastach ramen zamawia się i płaci za niego z góry w *shokkenki*, maszynie vendingowej ustawionej zwykle przed wejściem do lokalu. Na podświetlonych przyciskach wypisane są rodzaje ramen, dostępne dodatki (jajko, dodatkowe mięso, powiększona porcja ▶

makaronu) i opcje podania. Zwykle te informacje są tylko w języku japońskim, więc często zamawiam, wciskając losowo przyciski i dowiadując się, co wybrałem, dopiero po otrzymaniu miski. Na szczęście często wiele pozycji poza opisem jest oznaczonych zdjęciem, co ułatwia wybór. Powszechną zasadą jest, że pierwsze przyciski w górnym rzędzie to najbardziej popularne ramen-y w lokalu. Warto też znać opcję *tokusei* („specjał”), która czasem występuje również jako *zenbunose* („ze wszystkim”). Oznacza ona wersję „na bogato”. W niektórych lokalach przy stoliku dostaje się wydrukowaną kartkę z ofertą i ołówek do zakreślenia interesujących nas opcji. Wydruk z maszyny albo wypełnioną kartkę daje się kelnerce albo bezpośrednio na kuchnię i czeka się na przyniesienie zamówienia na ladę albo do stolika.

Kiedy dostajemy miskę, przystępujemy do natychmiastowej konsumpcji, ponieważ ramen je się bardzo gorący.

Czytałem, że taki system wynika z fobii społecznych Japończyków, które są efektem życia w wielkim zagęszczeniu i nadmiaru kontaktów z ludźmi w ciągu dnia. Istnieje nawet specjalny rodzaj ramen shopów, gdzie spożywa się w indywidualnych kabinach „pozwalających skupić się na smaku”, zamówienie składa się na kartce, a miskę z ramenem otrzymuje przez zasłonkę. W czasie całej wizyty w restauracji nie widzi się ani jednego człowieka. W takim sposobie konsumpcji specjalizuje się np. założona w 1960 r. w Fukuoce i mająca obecnie wiele filii poza Japonią sieć Ichiran.

Generalnie ramen shop nie jest miejscem społecznych interakcji. Do naszych restauracji w Warszawie ludzie przychodzą spotkać się ze znajomymi, na randki, spotkania w interesach i mało kto przychodzi sam tylko na ramen. W Japonii ramen szybko się zamawia, szybko dostaje, szybko zjada i szybko wychodzi.

Szybkość jest ważna nie tylko z powodów kulturowych. Kiedy dostajemy miskę z ramenem, przystępujemy

do natychmiastowej konsumpcji, ponieważ ramen je się bardzo gorący. Zaczynamy od makaronu, który w gorącym bulionie cały czas się gotuje, więc trzeba się spieszyć, żeby zjeść go w satysfakcjonującej konsystencji, a nie rozgotowany. Szybkie jedzenie makaronu oznacza po prostu wciąganie. Powszechnie wiadomo, że tradycyjnie można przy tym siorbać, a nawet chlapać, w niektórych ramen shopach dostaje się nawet specjalne śliniaki, żeby chronić ubranie. Faktycznie wygląda to jednak tak, że nie wszędzie jest to dobrze postrzegane, lepiej więc rozejrzeć się i przekonać, jak jedzą japońscy goście.

Większość *ramenya* (przyrostek *-ya* oznacza sklep, knajpę, restaurację, biznes) nie przyjmuje rezerwacji. Wynika to z przyczyn technicznych, zgodnie z zasadą „zjadasz-spadasz” nie ma sensu blokować miejsc na konkretne godziny. Ponadto kolejka

ludzi czekających na wejście to najlepsza reklama miejsca. Do tych naprawdę dobrych ramenów trzeba postać w porze lunchu czasem nawet dwie godziny. Ponieważ restauracje są zwykle zlokalizowane w strefach zamieszkania, a właścicielom zależy na dobrych relacjach z mieszkańcami, którym mogliby przeszkadzać ludzie czekający w kolejce, często stosuje się *seiriken* („bilet numerowany”). Polega to na tym, że dostaje się bilet na konkretny przedział czasowy, płacąc zwykle z góry kaucję, która przepada, jeśli w tych godzinach nie pojawimy się w lokalu. Przy takim rozwiązaniu, zamiast stać w kolejce, można zwiedzić okolicę albo posiedzieć w kawiarni obok.

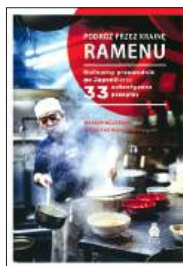
Jeśli chodzi o gości ramen shopów to spotkamy tam cały przekrój japońskiego społeczeństwa – od robotniczych kombinezonów po tańsze i droższe garnitury. Większość gości to mężczyźni, w niektórych specjalnych „męskich” ramen shopach, jak te, które serwują ramen

Jirō, pojawienie się kobiety jeszcze niedawno mogło wzbudzić zaskoczenie gości, choć ostatnimi czasy się to zmienia. Ten demokratyczny charakter ramenu wynika z tego, że nie jest to jedzenie z najwyższej półki cenowej. Mimo że kilka japońskich ramen shopów zdobyło gwiazdkę Michelin, to nawet tam jest to danie niedrogie, oscylujące w granicach 1500 jenów (ok. 50 zł w zależności od aktualnego kursu). I ta kategoria cenowa dotyczy tylko restauracji renomowanych, istnieje bowiem mnóstwo tanich ramen shopów, gdzie dostaniemy ramen nawet za ok. 500 jenów. Fajnym zwyczajem jest to, że w większości lokali do posiłku dostaje się bez dodatkowej opłaty duży kubek wody z lodem, który można do woli uzupełniać ze stojących na blatach dzbanków lub z ustawionej gdzieś w kącie maszyny.

Ramen jest więc daniem demokratycznym, tanim, o ulicznym rodowodzie, jednak równocześnie jest to kuchnia wysokiej jakości. Osiąga się ją, skupiając się całkowicie na tym jednym daniu. (...)

Zwykle ramen shop od założenia podaje ten sam ramen. Oczywiście zdarzają się odkrycia i olśnienia, które skutkują pojawieniem się w karcie zupełnie nowego ramenu, jednak założenie jest takie, żeby zachować wieloletnią ciągłość i powtarzalność, żeby latami doskonalić i dopracowywać jeden konkretny rodzaj ramenu. To jest bardzo japońskie i to sprawia, że poza Japonią rzadko ramen wznosi się na tak wysoki poziom jak na wyspach. (...)

Japońska *ramenya* jest więc bez wątplenia miejscem, w którym przegląda się kultura współczesnej Japonii. Odwiedzając japońskie ramenownie i wczuwając się w ich specyfikę, można troszkę lepiej zrozumieć, jak funkcjonuje japońskie społeczeństwo, z jakimi boryka się problemami, ale także jak wielki twórczy potencjał w nim drzemie.



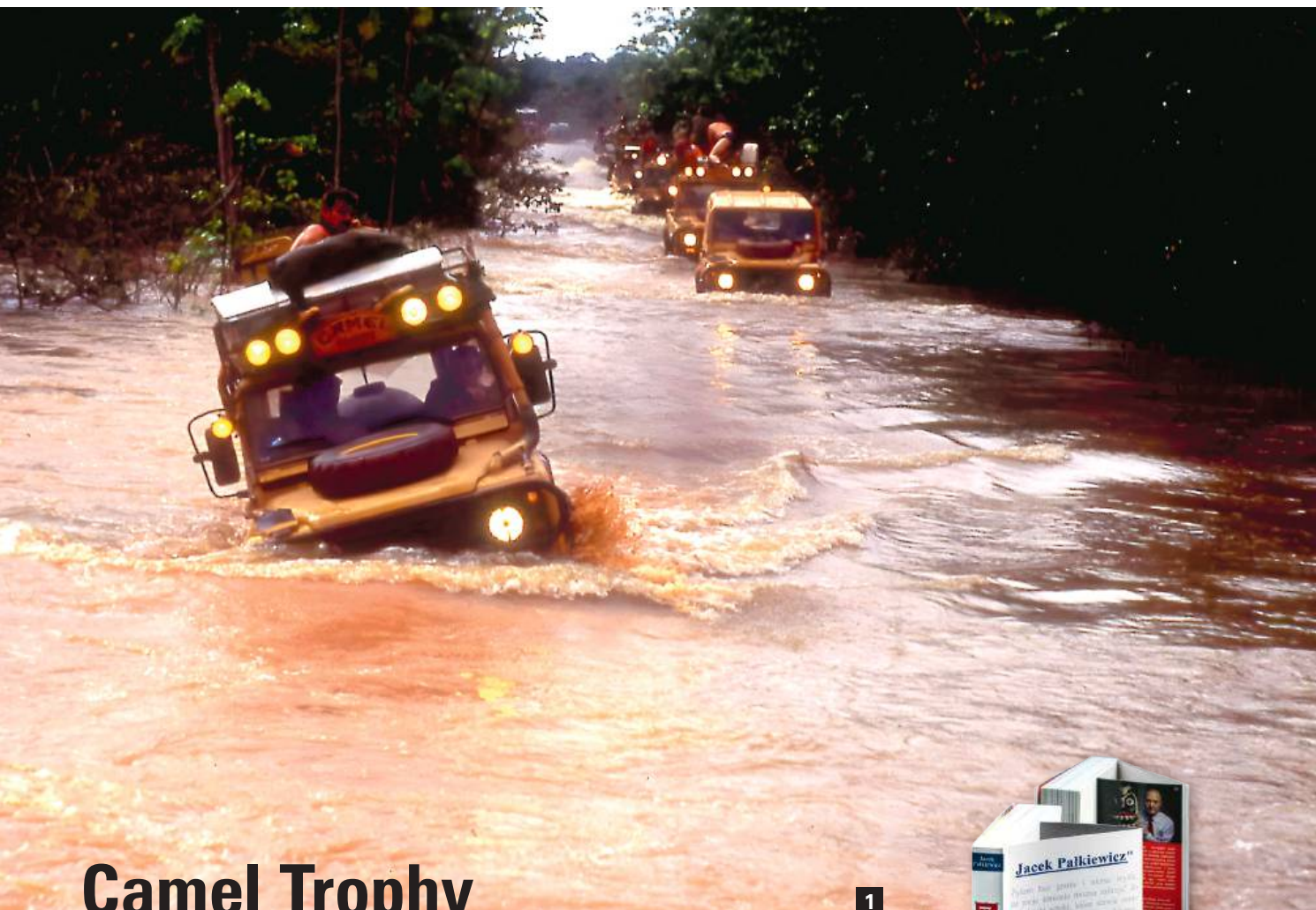
Marcin Wojtasik, Maciej Komorowski (fotografie), *Podróż przez krainę ramenu. Kulinarny przewodnik po Japonii oraz 33 autentyczne przepisy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023

Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych
w odległych regionach

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY



Camel Trophy

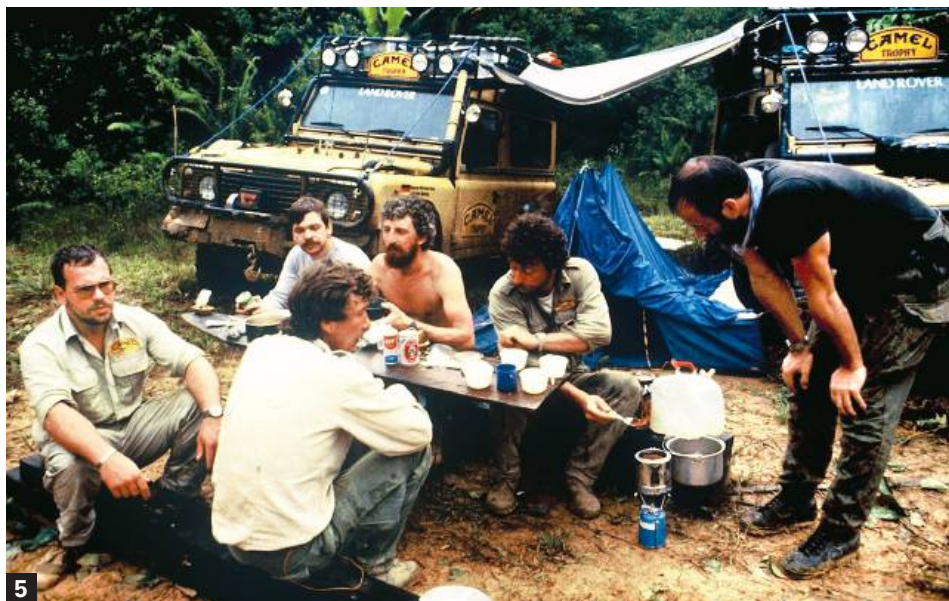
1

Pomalowane na piaskowożółty kolor land rovery symbolizowały w latach 1980-1998 mit przygody, połączenie ekscytacji, zagrożeń i niezapomnianych momentów w wilgotnych lasach tropikalnych. Spotykane jeszcze dzisiaj charakterystyczne żółte naklejki na karoseriach przypominają o popularności owianego legendą Camel Trophy. Miałem przyjemność uczestniczyć w 1984 r. w tych zawodach terenowych, które były fenomenem medialnym i jeśli nie jednymi z najtrudniejszych na świecie, to z pewnością jednymi z najsylniejszych. Nieodzowny był bowiem odpowiedni wizerunek. Kampania reklamowa podkreślała, że to impreza dla ludzi aktywnych, miłośników mocnych wrażeń na łonie natury, zdolnych poradzić sobie z trudnymi warunkami, zarówno terenowymi, jak i psychicznymi. Sponsor zadbał, aby zaistnieli w niej zuchwali i niezłomni, a przy tym zaskarbiający sobie sympatię macho. Zrozumiałe, że takie podejście automatycznie zamykało drogę dla płci pięknej. ▶



JACEK PAŁKIEWICZ – reporter,
eksplorator, odkrywca źródła
Amazonki, twórca survivalu
w Europie; www.palkiewicz.com





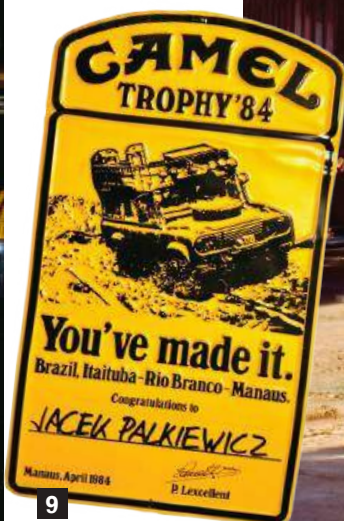
5



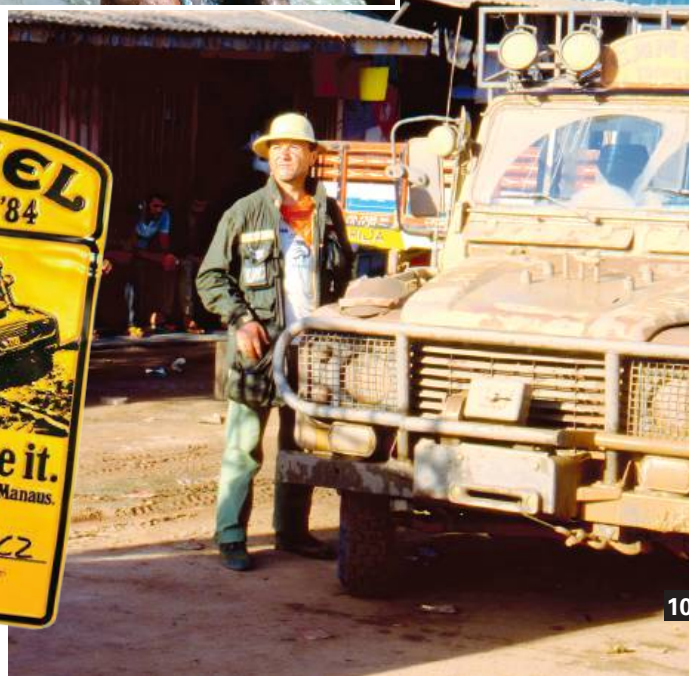
7

1. Camel Trophy '84
– na trasie Santarém-Manaus.
2. Pierwsza przeszkoda.
3. 24-godzinny wysiłek.
4. Bywało i tak.
5. Podsumowanie dnia.
6. Liczy się opanowanie.
7. Ciężka praca przy przeprawie.
8. Nocny biwak.
9. Prestiżowa pamiątka.
10. Autor.

ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORA

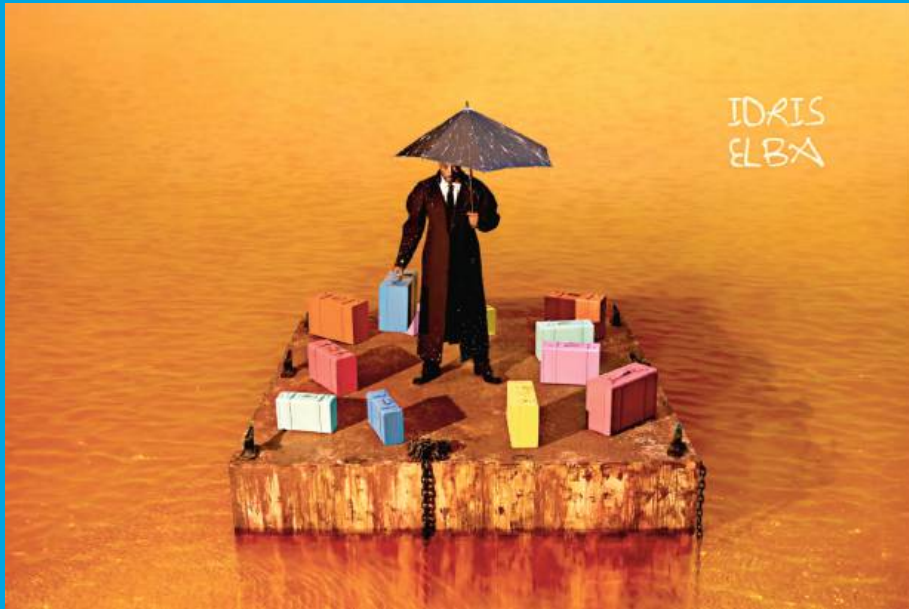


9



10

KALENDARZE

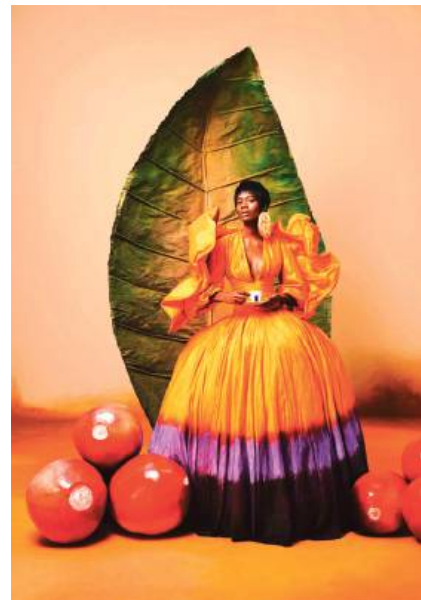


Pirelli

Autorem zdjęć do kalendarza Pirelli 2024 jest artysta z Ghany Prince Gyasi, jeden z najmłodszych twórców w historii tego wydawnictwa, który jeszcze do niedawna fotografował smartfonem. Jego styl charakteryzują mocne kolory i kontrasty.



Lavazza



2024



Tegoroczny kalendarz Lavazza to efekt współpracy trojga młodych fotografów z Afryki: Kenijki Thandiwe Muriu, Nigeryjczyka Daniela Obasiego i Aarta Verripsa z RPA. Kalendarz promuje partnerstwo: otwartość na innych, wzajemny szacunek i łączenie sił, by stworzyć coś znaczącego.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

- koncert solowy
- ...Nieskończoności Thanosa
- oryginalny spod pióra autora
- gra hazardowa z kulką do przesyłu gazu, ropy
- szczegóły wyglądu osoby
- bywa garbowana za karę
- spiekota, upał
- trójnóg do aparatu
- szmerek, zamieszanie wokół kogoś, czegoś
- w niej mały koala lub kangur
- dźwiga cudze ciężary
- podejmowany przez psa policyjnego
- zespół statych i ruchomych powierzchni nośnych samolotu
- piwowskie miasto nad Pilicą
- pokój od środka
- komfort,
- brak uciążliwości
- bandzior, oprych
- czule o połowicy

Rozwiązanie „JOLKI-1149” z nr. 52: *Mała strata, krótki żal.*
Nagrody otrzymują: Franciszek Borowiec z Zawiercia, Bernadeta Kuna z Rybnika, Grażyna Putowska z Lublina.

Powrót

W MSZ do dwóch wiceministrów postów, Władysława Teofila Bartoszewskiego i Andrzeja Szejny, dołączyła kolejna dwójka, tym razem z wnętrza ministerstwa – Henryka Mościcka-Dendys i Robert Kupiecki. Można rzec, że ci pierwsi zostali Sikorskiemu wybrani, bo są zobowiązania koalicyjne, a tych drugich wybrał sobie sam.

Przykład Roberta Kupieckiego jest tu szczególny. Otóż w roku 2015, gdy władzę w kraju przejęło PiS, Kupiecki zameldował się w MSZ. Pracował w tym ministerstwie od roku 1994, przeszedł wszystkie szczeble, od stażysty poczynając, był zastępcą ambasadora RP przy NATO, dyrektorem Departamentu Polityki Bezpieczeństwa, ambasadorem RP w Stanach Zjednoczonych (w latach 2008-2012, wyrobił tam sobie bardzo wysoką markę), potem podsekretarzem stanu w MON.

To nie był człowiek wrogo nastawiony do ekipy PiS. Gdy wyjeżdżał do USA, był w ostatniej grupie tych, których do rotacji zgłosiła Anna Fotyga, jeszcze w roku 2007. Innymi słowy, miał poparcie minister Fotygi, premiera Jarosława Kaczyńskiego i prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Zresztą na decyzji o jego powołaniu na ambasadora w USA 15 listopada 2007 r. widnieją podpisy premiera Jarosława Kaczyńskiego i prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Cała sprawa ocierała się wówczas o skandal, Kupiecki przed wyjazdem nie był przesłuchiwany przez komisję sejmową, bo starego Sejmu już nie było (wybory odbyły się 21 października 2007 r.), a nowy jeszcze nie zaczął działać. Niektórzy więc uznali, że został premierowi Tusкови wciśnięty na sam koniec, i to na kluczową placówkę.

I proszę, szybko się okazało, że nie jest żadnym koniem trojańskim PiS, tylko porządnym dyplomatą, szczególnie znającym się na sprawach bezpieczeństwa i NATO. Do dziś zresztą w MSZ panuje pogląd, że był to jeden z najlepszych ambasadorów, jakich mieliśmy w Waszyngtonie, a przecież Polska z zasady wysyła tam swoją pierwszą ligę. I taki człowiek osiem lat temu, gdy zameldował się u ministra Waszczykowskiego, został zwolniony z obowiązku świadczenia pracy...

Teorii, dlaczego tak się stało, było kilka. Mówiono, że Waszczykowski nie chce mieć w MSZ kogoś lepszego w sprawach NATO od niego samego, spekulowano, że Kupieckiemu zaszkodziło stanowisko wiceministra obrony w rządzie PO, różne snuto teorie, żadna nie była przekonująca. Polska na jego wypchnięciu z MSZ straciła, zyskali studenci Uniwersytetu Warszawskiego. Teraz Sikorski przywrócił go polskiej dyplomacji.

A jeżeli jesteśmy przy przywracaniu, to plagą polskiej dyplomacji są nie tylko niekompetentni ambasadorowie, ale i sytuacja, że ważne placówki miesiącami pozostają nieobsadzone. Trzeba przywrócić je do życia. Nikt już nawet nie pamięta, od jak dawna Polska nie ma ambasadora w Izraelu. Od miesięcy nie mamy ambasadora w Egipcie, podobnie jest w Kazachstanie, od prawie roku chargé d'affaires zarządza placówką w Indiach...

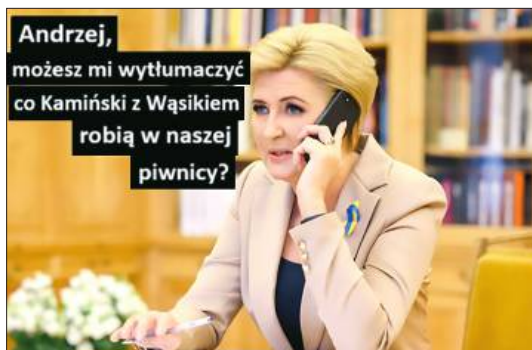
To kraje bardzo znaczące, w których mamy interesy i w których najważniejsze sprawy załatwić można jedynie z pozycji ambasadora. Ale go nie ma, bo w trójkącie MSZ-Morawiecki-Duda całymi miesiącami nie można było osiągnąć porozumienia. Ciekawe, jak będzie teraz.

Attaché

Zmarł Franz Beckenbauer, zawodnik grający na pozycji środkowego obrońcy, mistrz świata i Europy, dwukrotny zdobywca Złotej Piłki, później trener i działacz sportowy. Nz. finał mundialu w 1974 r. Franz Beckenbauer przeciwko Johanowi Cruyffowi, RFN-Holandia, 2:1.



PENETRACJE



Prawicowiec po wyrzuceniu krzeseł, stołu i łóżka rozbiera parkiet IKEA w mieszkaniu.



FAKTY

TOMASZ TUROWSKI,

PISARZ, DYPLOMATĄ, LEGENDA POLSKIEGO WYWIADU

Sprawy Watykanu były ważne dla wszystkich wywiadów na świecie. Watykan kipi od szpiegów, kipi od wywiadowców albo raczej kipi od agentury, bo trzeba odróżniać oficerów operacyjnych od agentów swoich narodowych wywiadów. Ambasada niemiecka przy Watykanie miała kilkudziesięciu pracowników, z których większość była funkcjonariuszami niemieckiego wywiadu, prowadzącymi różnych niemieckich prałatów w Watykanie.

ANGORA

JAN PIŃSKI,

REDAKTOR NACZELNY PORTALU WIEŚCI24.PL

Krzysztof Stanowski i Robert Mazurek w Kanale Sportowym uprawiali bardzo szkodliwą propagandę. Robili to w wyrafinowany sposób, a swój przekaz kierowali do wyrobionych, inteligentnych obiorców. W mojej ocenie ich celem była demobilizacja młodego elektoratu przed wyborami parlamentarnymi 2023 r. Działali w duchu: „Zostańcie w domu, obejrzyjcie sobie meczyk. Nie zajmujcie się głupotami”. Programy z ich udziałem sponsorowały największe polskie spółki, m.in. Orlen. PiS kupiło media na niespotykaną dotąd skalę. Liczę na to, że pełnomocnik rządu ds. korumpowania mediów policzy te wszystkie pieniądze. Chciałbym się dowiedzieć, ile trafiło do kieszeni Krzysztofa Stanowskiego i Roberta Mazurka.

PANI

MARK BRZEZINSKI,

AMBASADOR STANÓW ZJEDNOCZONYCH W POLSCE

Dzięki Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w USA poznaliśmy się w 2002 r. Kiedy ją zobaczyłem w Waszyngtonie podczas uroczystości, postanowiłem natychmiast podejść i się przywitać. Zaczęliśmy się spotykać. Tego samego lata zabrałem Olgę na urlop do domu moich rodziców w Maine. Spędziliśmy z nimi prawie dwa tygodnie. Moi rodzice ją uwielbiali. Jednak wielka odległość między Polską i Ameryką utrudniała Oldze i mnie częstsze spotkania. Nie posłużyło to naszemu związkowi. Kiedy przyjechałem do Warszawy, obejmując funkcję ambasadora USA, odnowiliśmy znajomość. Znowu mogę być z Olgą. To wspaniałe mieć ją obok siebie.

OLGA LEONOWICZ,

PARTNERKA MARKA BRZEZINSKIEGO

Kiedy w grudniu 2021 r. Mark został mianowany ambasadorem USA w Warszawie, wysłałam mu gratulacje. Po pewnym czasie od jego przyjazdu do Polski spotkaliśmy się i okazało się, że uczucie nie wygasło. Naturalną kolejną rzeczą zaczęliśmy ponownie tworzyć związek. Tym, co nas łączy oprócz miłości, jest poczucie misji. Nie chcę brzmieć patetycznie, lecz bez wątpienia Mark należy do osób, które Amerykanie nazywają *man of service*. Człowiek służący innym. Doceniam, jak oddany jest temu, czym się zajmuje. Staram się dotrzymywać mu kroku.

UWAGA, BYKI!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów. Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



Włókno z kokosów

* włókno z kokosów

Człowiek kutą na cztery buty

* człowiek kutą na cztery buty

Różni się od dnia poprzedniego

* różni się od dnia poprzedniego

ROZWIĄZANIA: JEDWAB, CWANIAK, NIEDZIELA



Aby język giętki...

MAREK BEYLIN O ANDRZEJU DUDZIE

Pozostanie bezwzględny wrogiem demokratycznej polityki i obecnego rządu. Na tej wrogości opiera swoją przyszłość.

MICHAŁ KAMIŃSKI

O MANIFESTACJI 11 STYCZNIA

To w oczywisty sposób marsz w obronie koryta, do którego byli przyspawani funkcjonariusze.

ADAM BODNAR

O PRZYSZŁOŚCI JULII PRZYŁĘBSKIEJ

Będą to bardzo dojrzałe i odpowiedzialne decyzje.

HENRYK MARTENKA

O MARCINIE MASTALERKU

Testosteronu ma aż nadto. Niewybieralny, kontrowersyjny, z nieustępliwym parciem do władzy.

ANNA DYMNA O SAMOPOCZUCIU

Żeby nie wiem jak bolało, mówię, że czuję się świetnie, i to od razu staje się prawdą.

JAN HOLOUBEK O ŻYCIU FILMOWCÓW

W filmie pracują tylko ludzie, którzy naprawdę to kochają, bo to jest zawód dla wariatów.

HANNA BAKUŁA O BEACIE TYSZKIEWICZ

Ona jest jak Greta Garbo, która usunęła się, kiedy już nie miała siły pięknie wyglądać.

MARIA PAKULNIS O BŁĘDACH KOBIET

Popelniają błąd, kiedy czują, że jedynym potwierdzeniem ich atrakcyjności są oczy mężczyzny.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socząwa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Zakopane

Wyrzeźbione Namalowane

U schyłku XIX w. osada pod Tatrami ze szczególną mocą zaczęła przyciągać elity artystyczne i intelektualne. Wkrótce okrzyknięto ją „duchową stolicą Polski” i „polskimi Atenami”. Kilka dekad później Rafał Malczewski uznał Zakopane za pępek świata, a Witkacy – za wytwórníę „zakopianiny”, specyficznego polskiego narkotyku. Dowodów na ferment artystyczny odnajdziemy wiele. To obrazy, rzeźby, teksty literackie. Wystawa „Zakopane. Wyrzeźbione. Namalowane” dowodzi, że choć miejscowość z uwagi na położenie była enklawą, sposób myślenia artystów, którzy chętnie łączyli w pracach tradycję regionalną z nowoczesnymi formami, bliski był doświadczeniom awangardy paryskiej.

Villa La Fleur
Konstancin-Jeziorna, ul. Szpitalna 14
do 31 marca



Rafał Malczewski, Auto na tle zimowego pejzażu

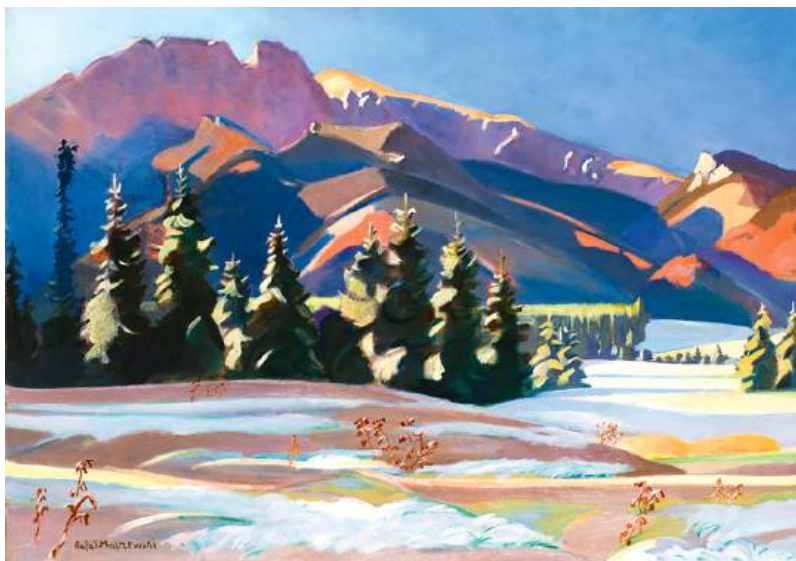


Rafał Malczewski, Deszcz



Zofia Stryjeńska, Para góralska z psem

Rafał Malczewski, Widok na Tatry



MAGICZNY!

FASCYNUJĄCY, ZJAWISKOWY

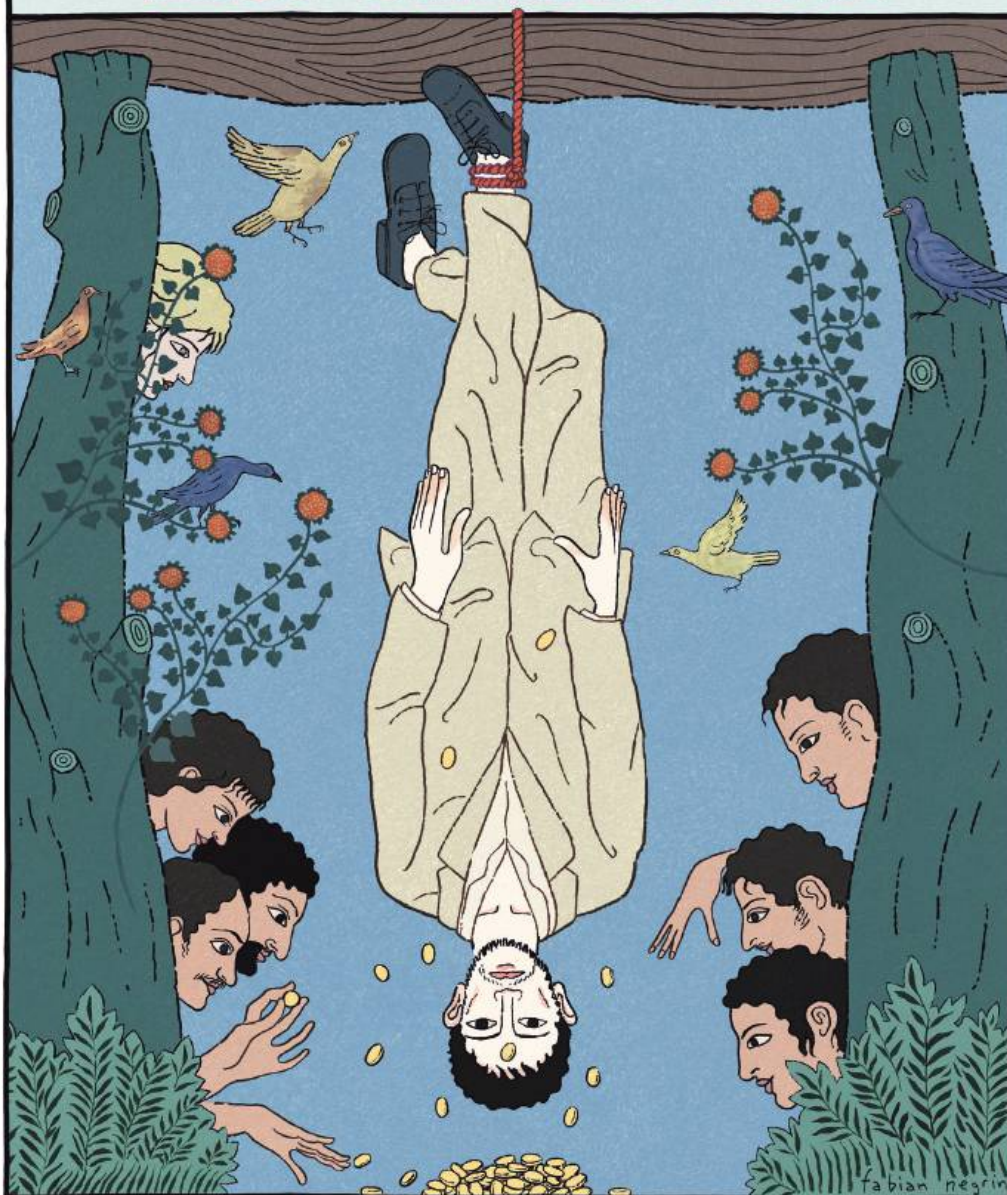
CUDOWNY!

Hollywood
REPORTER

FILM | ORG | PL

THE TIMES

La chimera



FESTIVAL DE CANNES
KONKURS GŁÓWNY

REŻYSERIA **ALICE ROHRWACHER**
(„SZCZĘŚLIWY LAZZARO”)

W KINACH OD 19 STYCZNIA

AURORA



• TEATR CAPITOL •

scenografia
Dorota Banasik

opracowanie
muzyczne
Mateusz Dębski

kostiumy
Aleksandra Reda

autor
Peter Quilter

NASTĘPNEGO DNIA RANO

przekład
Elżbieta Woźniak

reżyseria Ewelina Pietrowiak



• KUP

BILET
2024
TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl •

KATARZYNA SKRZYNECKA MAŁGORZATA OSTROWSKA-KRÓLIKOWSKA KAROLINA PIWOSZ MICHALINA SOSNA
PIOTR GAWRON-JEDLIKOWSKI MAREK KALISZUK KONRAD KORKOSIŃSKI KAMIL MRÓZ

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl b3234c8bfc